

ALFRED SIATECKI

# SZWINDEL W GRÜNBERGU



Alfred Siatecki

## Szwindel w Grünbergu

*Saga*

Szwindel w Grünbergu

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Copyright ©2021, 2023 Alfred Siatecki i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728535066

1. Wydanie w formie e-booka

Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

[www.sagaegmont.com](http://www.sagaegmont.com)

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

# Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Sobota, 23 marca 1922 roku

1

2

3

Piątek, 9 czerwca 1922 roku

4

5

6

7

8

9

10

Sobota, 10 czerwca 1922 roku

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

Niedziela, 11 czerwca 1922 roku

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

Posłowie

Słowniczek nazw

# Sobota, 23 marca 1922 roku

## 1

– Jestem doktor Skarbeck z Berlina. Reprezentuję wąski zarząd Europäischer Athleten-Club „Samson” – przedstawia się najwyżej czterdziestoletni mężczyzna przy tuszy. Kiedy wchodził do gabinetu nadburmistrza, znajdujący się tam redaktor Mischke miał przed oczami beczułkę na młode wino ustawioną przed wejściem do winiarni Goldene Traube przy Breslauerstrasse, do której lubił zajrzeć wieczorem. Mimo że berlińczyk ma niewiele więcej niż półtora metra wzrostu, to z pewnością waży nie mniej niż trzy cetnary. Niemal kopia Franza, szwagra Mischkego, który także nosił bujne wąsy przykrywające górną wargę oraz odrobinę zawsze mokrych włosów po bokach głowy podobnej do gruszki. Jenny się śmiała, że Franza jest łatwiej przeskoczyć niż ominąć. Szwagier zmarł we śnie z powodu ataku serca. Ciebie, doktorze, czeka taki sam koniec, prorokuje Mischke, kątem oka obserwując berlińczyka. Dałby sobie rękę uciąć, że gdzieś go spotkał, ale nie pamięta gdzie i kiedy. – Jest ze mną Kalihack, urodzony w Grünbergu. – Skarbeck pokazuje na swoje przeciwieństwo: co najmniej dwa metry wzrostu i ręce zwisające niemal do kolan. Wygląda na takiego, który nie zasiądzie do obiadu, póki na stole nie będzie półmiska trzęsącej się golonki w zasmażanej kapuście, kopiastej michy kartofli i dzbanka zimnego piwa. – Kalihack należy do najlepszych zawodników naszego klubu.

Nadburmistrz najpierw uściśnął pulchną dłoń doktora Skarbecka, potem zrobił krok w stronę Kalihacka, już wyciągnął do niego rękę i nagle ją cofnął, jakby zdał sobie sprawę z tego, że jeśli atleta zechce popisać się swoją krzepą, to połamie mu palce. Kalihack chyba tego się

domyślił, bo schyliwszy się, jakby się wstydził swojej postury, ledwie dotyka dłoni Alfreda Finkego.

– Grünberczyk? – Nadburmistrz zwraca się do siłacza, jednocześnie wskazując jemu i Skarbeckowi krzesła przy stole. – To znaczy, że pan urodził się w naszym mieście, Grünberg in Schlesien, a nie w Hessen, Sachsen czy tym... no... – przymrużywszy oczy i pukając palcami w blat, Finke stara się sobie przypomnieć, gdzie leży czwarty Grünberg, o którym tyle razy wspominał profesor Schmidt, ale akurat teraz wyleciało mu to z głowy, dlatego odwrócił się do sekretarza miasta, prosząc go o pomoc.

– Niewielka miejscowość wypoczynkowa koło Prenzlau w Mecklenburg – podpowiada szeptem zawsze czujny Gregor Widenka.

Nadburmistrz miał na myśli dużą wieś z niedawno rozbudowanym pałacem Raczyńskich niedaleko Samter, gdzie bywał jako radca sądowy, kiedy ten powiat znajdował się w granicach pruskiej Provinz Posen. Teraz Grünberg, a właściwie Zielonagóra, jak mówią miejscowi, znowu należy do Rzeczypospolitej. Polacy nigdy nie skrzywdzili Alfreda Finkego, nie widzi więc powodu ich ignorować czy się na nich obrażać, ale ponieważ pierwszy raz widzi doktora Skarbecka, tego nie mówi.

– Czwartego czerwca, w święto Zesłania Ducha Świętego, które który bywa nazywane Zielonymi Świątkami, będziemy obchodzili siedemsetlecie naszego miasta ogrodów. Zaprosiliśmy imienników z Hessen, Sachsen i Mecklenburg. Będzie okazja, żeby powołać związek Grünbergów. Panów także zapraszamy na tę uroczystość. – Finke wyciąga prawą rękę w kierunku Skarbecka, na co berlińczyk nie zwraca uwagi, lewą wskazuje Kalihacka, który uśmiecha się zadowolony.

– Celny zamiar, panie nadburmistrzu – chwali sekretarz, nie pierwszy raz starając się mu przypodobać. Widenka nie przypominał, że taką propozycję zgłosił zastępca Finkego, burmistrz Ouvrier jeszcze dwa lata temu i powtórzył przedwczoraj podczas sesji rady miejskiej zatwierdzającej wydatki na jubileusz.

– Z lat spędzonych w Grünbergu najmilej wspominam chłopięce czasy. Gdy coś się przeszkrobało i ojciec rozglądał się za rzemykiem, to brało się nogi za pas i gnało tam, gdzie są kopalnie. Zanosiło się na większe lanie albo padał deszcz, to nie wracało się do domu na noc.



Najbliżej było do kopalni... no...? Jak się ona nazywała? Taka z wieżą. – Mimo że Kalihack przymyka oczy, nie może sobie przypomnieć jej nazwy.

– Beust? Friedrich Wilhelm? Mathilde? – podpowiada Widenka.

– Ta na prawo od Piastenhöhe.

– Carl.

– O, o! – wykrzykuje zadowolony Kalihack, wyciągając palec w stronę sekretarza miasta. – Znałem tam wszystkie korytarze. Pewnie jeszcze trafiłbym do składziku, gdzie górnicy chowali oskardy i szufle na noc. Chociaż wykradanie węgla było zakazane, nigdy nie wracało się do domu z pustym workiem.

– Szyby i wieże pozostały, ale kopalnie już w większości są zamknięte – informuje go Widenka. – Przy obecnych cenach nie opłaca się sprzedawać węgla prosto z kopalni. Lepiej się wychodzi na brykietowaniu miału węglowego.

– Mój ojciec przyjechał za robotą z wioski koło Unruhstadt. W Grünbergu najpierw najął się za górnika w tej kopalni, co pan sekretarz powiedział, a po jej zamknięciu robił w zakładach budowy mostów. Ja jestem urodzony w Grünbergu. I jak ojciec też byłem za robotnika u Beuchelta, ale niedługo, bo dałem dyla do Berlina. – Dopiero teraz Kalihack odpowiada na pytanie Finkego, po czym uśmiecha się, jakby oczekiwał od niego uznania czy aprobaty tego, że przyznaje się do miejsca urodzenia. – Próbowałem namówić kuzyna, żeby poszedł moją drogą. Moglibyśmy stworzyć duet atletów. Peter musiał ohajtać się jeszcze przed wojną. Już zmajstrował czwórkę bachorów, piąty w drodze, a ostatniego słowa jeszcze nie powiedział. Najpierw robił w winiarni przy Hospitalstrasse, później u Beuchelta był za stolarza. Gdy wrócił z frontu, skierowali go do policji, bo taki... – Kalihack podnosi zaciśnięte dłonie, co ma symbolizować tężyznę kuzyna. – Peter mówił, że nigdzie nie było mu tak dobrze, jak u Beuchelta. Roboty huk, ale za to akuratny zarobek.

– Zapewne pan wie, że większość przepraw mostowych przez Oder od miasta Brieg po Stettin postawili grünberczycy od Beuchelta. Także Freiheitsbrücke w Breslau, drugi największy most w Niemczech, jest dziełem inżynierów i robotników z zakładów, w których pan pracował – mówi Finke do Kalihacka, na razie pomijając Skarbecka. Doktor



traktuje to jako brak szacunku dla członka zarządu Europäischer Athleten-Club „Samson”, dlatego cicho chrząka. Gdyby nie sprawa, którą musi załatwić z nadburmistrzem, powiedziałby, co myśli o jego zachowaniu.

– Pasażerowie Orient Expressu Paryż-Stambuł podróżują w wagonach restauracyjnych i sypialnych wykonanych w fabryce Beuchelta w naszym Grünbergu – wtrąca sekretarz miasta. Zganiiony karcącym spojrzeniem Finkego natychmiast się garbi.

– Jeżeli w najbliższym czasie będzie pan zastanawiał się, gdzie ulokować swój kapitał, mam na myśli przede wszystkim gotówkę, zapraszam do Grünbergu. – Nadburmistrz uśmiecha się do Kalihacka zachęcająco. – W niedługim czasie musimy postawić domy dla optantów. Najechało ich tyle, że zabrakło mieszkań w mieście. – Atletę robi pytające oczy, dlatego Finke natychmiast wyjaśnia, że to w przeważającej większości Niemcy, przesiedleńcy z Provinz Posen. – Pewniejszego i wręcz błyskawicznego zarobku nikt panu nie zagwarantuje.

Skarbeck znowu chrząka, teraz głośniej, i wysuwa dolną wargę spod wąsów. Uważa, że jest ignorowany. Berlińczyk nie lubi, gdy ktokolwiek odzywa się wtedy, kiedy on powinien być przy głosie, a tym bardziej kiedy załatwia sprawy klubowe.

– Czas pana nadburmistrza jest cenny, najwyższa więc pora wyjaśnić cel naszej wizyty – mówi do Kalihacka takim tonem, jakby wszystko wcześniej z nim przedyskutował, co nie jest prawdą. Każdego atletę Skarbeck ma za kretyna, którego zadaniem jest zrobić jedynie to, co on mu kazał.

– Na początku ubiegłego tygodnia dostałem depeszę z Oberpräsidium der Provinz Niederschlesien zu Breslau zapowiadającą wizytę przedstawiciela zarządu Europäischer Athleten-Club „Samson”. Wczoraj w rozmowie przez telefon potwierdził to sekretarz Regierungspräsidium zu Liegnitz, zaznaczając, że prezydent naszej rejencji pan doktor Zimmer jest głęboko zainteresowany inicjatywą klubu Samson. Nawiasem mówiąc pan prezydent Zimmer w młodości doskonale jeździł konno. Gdyby nie choroba, byłby uczestnikiem igrzysk w Stockholm. Miał nadzieję, że cztery lata później będzie reprezentował Cesarstwo Niemieckie na igrzyskach w Berlinie. Niestety, wojna...

– Nikt się nie spodziewał, że wojna będzie aż tak długo trwała – wtrąca Widenka i skarcony spojrzeniem Finkego znowu się garbi.

– Panowie, wszelkimi sposobami trzeba podnosić poziom ducha narodowego, aby już nigdy nie powtórzyło się to, co miało miejsce w Compiègne. Nie w pałacu rządowym, nie na polu bitewnym, a w wagonie kolejowym minister Erzberger podpisał kapitulację. Mało tego, zgodził się na warunki, które upokorzyły naród niemiecki. Mimo że jestem socjaldemokratą jak nasz prezydent Ebert, jako Niemiec źle się z tym czuję. – W głosie nadburmistrza redaktor Mischke pierwszy raz wyczuwa rozgoryczenie. Dziennikarz myśli identycznie, ale dotąd nie miał odwagi i okazji podzielić się z Finkem swoją opinią. – Jeżeli panowie z zarządu klubu podtrzymują swój zamiar, z naszej strony otrzymają takie wsparcie, jakie będzie możliwe w obecnej, bardzo ciężkiej sytuacji finansowej, gospodarczej, nawet społecznej.

– Oczywiście – tyle udało się powiedzieć Skarbeckowi.

Nie zważając na to, że berlińczycy są gośćmi, Finke kontynuuje:

– Pomimo ogromnych trudności, w tym roku świętujemy siedemsetlecie nadania praw miejskich Grünbergowi. Przygotowujemy coś wyjątkowego. Wy-ją-tko-we-go – powtarza sylabizując i urywa, jakby spodziewał się serii pytań. Zakłopotany Skarbeck wtulił głowę w ramiona. Kalihack splótł te swoje ogromne dłonie na piersiach i patrzy za okno, przez które Mischke również widzi kamiennego orła nad wejściem do apteki Adler. Nie doczekawszy się pytań, nadburmistrz przybiera poważną minę. – Szczerze mówiąc, to brakuje dokumentu potwierdzającego fakt lokacji Grünbergu w 1222 roku, ale darzymy zaufaniem badaczy dziejów naszego miasta. Może to miało miejsce kilka lat wcześniej lub nawet kilkanaście lat później. Dokładna data nikomu nie jest potrzebna do szczęścia, chociaż nie zaszkodzi ją poznać. Idzie o to, panowie, żeby po tragedii wojennej dać mieszkańcom nadzieję na poprawę ich, co tu kryć, okrutnego losu – ścisząc głos, wyjaśnia nadburmistrz. Finke nie przyznał się, że to wyjaśnienie usłyszał od swego zastępcy w ratuszu. Nie zawsze się z nim zgadza, ale akurat w sprawie obchodów siedemsetlecia miasta ma identyczne zdanie jak burmistrz Ouvrier. – Chodzi o to, żeby grünberczycy myśleli nie tylko o utraconych majątkach i odszkodowaniach, jakich zwycięskie państwa ententy żądają od Niemiec, o zabitych ojcach, mężach, braciach i synach, sąsiadach,

lecz i żyli nadzieją na zmianę swego położenia. Z wypłaty odszkodowań państwo się wywiąże, czego jako socjaldemokrata jestem pewien. Na ścianie ratusza za niedługi czas zawiesimy tablicę z nazwiskami poległych mieszkańców naszego miasta. Ona będzie świadczyła o ich męstwie. Nikogo nie trzeba przekonywać, że grünberczycy mają prawo cieszyć się tym, co już osiągnęli i co osiągną za rok, za trzy lata, za pięć. Po ciężkiej pracy, po trudach dnia powszedniego ludziom należy się wytchnienie. Dlatego, panowie, organizujemy święto z okazji siedemsetlecia nadania praw miejskich, mimo że, jak powiedziałem, nie znamy dokładnej daty, kiedy Grünberg stał się pełnoprawnym miastem. To z jednej strony powinien być odpoczynek dający radość, z drugiej szacunek i pamięć o tych, którzy między zielonymi wzgórzami wzniesli ratusz i otaczające go kamienice, kościoły, warsztaty, sklepy i banki, fabryki. Którzy założyli winnice i ogrody. Którym ta ziemia za życia stała się bliską, po śmierci będzie lekką.

Doktor Skarbeck już ma na końcu języka uwagę, że skoro brakuje dokumentu potwierdzającego nadanie praw miejskich, nieuczciwe jest świętowanie jubileuszu, gdy zdaje sobie sprawę z tego, że identyczny zarzut nadburmistrz mógłby skierować pod adresem Europäischer Athleten-Club „Samson”. Berlińczyk wyjmuje papiery z teczki.

– Proszę, tu jest upoważnienie do prowadzenia rozmów z władzami miasta na temat organizacji zapaśniczych mistrzostw Europy. – Skarbeck kładzie dokument na stole przed Finkem. Nie wyjaśnia, że chodzi o zawody w stylu dowolnym, których nie akceptuje międzynarodowa federacja zapaśnicza. To bardziej pokazy dla publiczności niż sportowa rywalizacja atletów. Ich wyniki nie będą widniały w żadnej tabeli dostępnej w biurach krajowych związków zapaśniczych. – Nasze mistrzostwa odbywają się co roku w innym mieście, jak na razie tylko w Niemczech. Przepraszam, zapomniałem, przed czterema laty gospodarzem zmagania zawodników był Bromberg, jak mówią Polacy, Bydgoszcz, ale to miasto w niemałej części jest zamieszkałe przez Niemców.

– Kiedy jako radca sądowy pracowałem w Posen, bywałem w Bromberg. Potwierdzam: miasto jest bardziej niemieckie niż polskie. Podobnie jak Posen – wtrąca Finke.

– Proponowaliśmy Czechom i Madziarom, nawet Estończykom. Ci ostatni nie tylko wyrazili ochotę, lecz i poczynili przygotowania

do organizacji zawodów i, mówię o tym z przykrością, miesiąc temu poinformowali zarząd naszego klubu, że ze względu na liczne trudności wynikające z niekorzystnej sytuacji gospodarczej kraju, rezygnują. Mieliśmy na uwadze Katowice, to znaczy Kattowitz, tyle że teraz z Polakami jakoś tak... - Skarbeck urywa. Niewiele wie o Finkem, dlatego lepiej będzie, jeśli nadburmistrz nie pozna jego opinii o Polakach. - Gdy o tym dowiedział się tu obecny Kalihack, odpowiedział, aby mistrzostwa przeprowadzić w Grünbergu. Jako uświetnienie siedemsetlecia miasta. Nie ukrywam, że zostało mało czasu na przygotowanie zawodów.

- Całe trzy miesiące - zauważa Widenka.

- Położenie Grünbergu przy linii kolejowej w połowie drogi między Berlinem i Breslau daje gwarancję, że dojazd uczestników będzie ułatwiony. Liczymy na to, że mistrzostwa odbędą się zgodnie z zasadami rywalizacji sportowej i spotkają się z dużym zainteresowaniem tak mieszkańców Niederschlesien, jak i Brandenburg, a przede wszystkim miasta słynnego z uprawy winorośli. - Skarbeck ma ochotę powtórzyć to, czego dowiedział się od Kalihacka o winiarni Gremplera, ale nie jest pewny, czy dobrze wszystko zapamiętał, a to dlatego, że nie wierzy, aby w prowincjonalnym mieście znajdowała się wytwórnia wina musującego, które smakuje tak samo jak trunek znad Renu.

Nadburmistrz jeszcze raz dziękuje za wybór Grünbergu na miejsce mistrzostw. Nie przyznał się, że ani on, ani nikt spośród jego znajomych nigdy nie przyglądał się zmaganiom atletów. Finke słyszał, że to jedna z najstarszych dyscyplin sportowych, znana jeszcze w antycznej Grecji. Na czym ona polega, tego nie wie. Domyśla się, że dwaj zawodnicy stają naprzeciw siebie i na sygnał sędziego jeden stara się tak chwycić drugiego, żeby go powalić na matę. A że zapaśnicy to mężczyźni wysocy, umięśnieni, przy tym silni, walka powinna się podobać przede wszystkim kobietom i młodzieży. W Grünbergu, jak w każdym niemieckim mieście, chłopcy biegają po boisku za piłką, nieliczni rowerzyści pedałują po ścieżkach i wzniesieniach Piastenhöhe, kto ma ochotę, czas i pieniądze, ten wsiada do omnibusu albo wynajmuje dorożkę i każe fiakrowi zawieźć się do Luisenthal, gdzie wypożycza łódkę lub kajak. W przeszłości władcy Prus zatrzymywali się w Grünbergu na nocleg, kosztowali miejscowego wina, zachwalali je,

ale nigdy nie zdarzyło się, aby nakazali swoim aprowizatorom kupować ten trunek z przeznaczeniem na królewski stół. Finke miał ochotę pochwalić się, że Grünberg jest wyróżniającym się miastem w północnej części Niederschlesien, odbył się tu nawet koncert wiedeńskiej orkiestry pod batutą samego Johanna Straussa juniora w maju 1900 roku. Nadburmistrz nigdy nie słyszał utworów Straussów. Bywał na koncertach kameralnych organizowanych przez miejscowy Suckelbund dlatego, że jest włodarzem miasta i wypadało się pokazać. W przeciwieństwie do swego zastępcy, doktora Ouvriera, który o muzyce nie tylko wie prawie wszystko, ale i czasem wspomaga organistę w kościele Zum Garten Christi, Finkego nie interesuje żadna ze sztuk.

– Kiedy te pokazy mają się odbyć?

– Mistrzostwa Europy w zapasach – poprawia go doktor Skarbeck. – Zarząd naszego klubu ustalił termin na czwarty dzień czwartego czerwca. Ześlanie Ducha Świętego. Zielone Świątki. Poniedziałek jest także dniem świątecznym, zawody więc będą mogły trwać do późnej nocy w niedzielę.

– Tego terminu nie można zaakceptować – odzywa się sekretarz miasta, gotów uzasadnić dłaczego.

Finke kręci głową.

– W niedzielę, czwartego czerwca, jak już powiedziałem, świętujemy siedemsetlecie naszego miasta – wyjaśnia. – Rozpocznijemy je w sobotę wieczorem uroczystym koncertem na placu przed ratuszem. Na niedzielne popołudnie mamy zaplanowany korowód i wielką zabawę, która z pewnością przeciągnie się do poniedziałku.

– A czy da się przesunąć świętowanie siedemsetlecia o tydzień? – pyta Skarbeck przekonany, że nadburmistrz nie będzie oponował i natychmiast przytaknie. – Przecież i tak jubileusz jest na wyrost, a taka okazja do lansowania miasta już może się nie powtórzyć.

– W Grünbergu, panie doktorze, po to uchwalamy prawo, żeby je przestrzegać – mówi Finke, zerkając na Mischkego, jakby oczekiwał od niego poparcia. – Ten termin, znany wszystkim mieszkańcom od co najmniej roku, jednomyślnie zaakceptowała rada miejska. Dotąd milczący przedstawiciel naszej prasy, pan Mischke

z „Grünberger Tageblatt”, z pewnością to potwierdzi. Zgadza się, redaktorze?

Dziennikarz przytakuje dlatego, że nie chce zawstydzić nadburmistrza. O przyjeździe organizatorów mistrzostw Mischke dowiedział się od Finkego wczoraj wieczorem podczas zebrania członków koła miejskiego Sozialdemokratische Partei Deutschlands. Redakcja bardziej poczytnego „Grünberger Wochenblatt” nie jest przeciwna nadburmistrzowi, ale i nie wspiera jego projektów tak, jak to robi „Grünberger Tageblatt”.

– W takim razie będę musiał przekonać zarząd klubu, żeby zgodził się na przesunięcie mistrzostw o tydzień, jeżeli panom nowy termin nie przeszkadza.

– A może przeprowadzić je w piątek? W sobotę przed koncertem urządzić spotkanie z tym, który zostanie mistrzem. Na pewno przyjdzie dużo ludzi – podpowiada Widenka, kierując propozycję bardziej do Finkego niż do Skarbecka.

Nadburmistrz kiwa głową, po czym pyta, czego organizatorzy oczekują od władz miasta.

– Zrozumiałem, doktorze Skarbeck, że Europäischer Athleten-Club „Samson” jest głównym organizatorem tego wydarzenia – dodaje Finke, jakby nie był o tym przekonany.

– Prosimy o pomoc w wynajęciu hoteli za niewygórowaną cenę, a najlepiej, jeśli się da... bezpłatnie.

– Pomożemy – natychmiast decyduje Finke. – Myślałem, że zacznie pan, doktorze, od pomieszczenia. Jeszcze nie mamy w mieście sali widowiskowej takiej jak Jahrhunderthalle w Breslau. Mamy salę kinową, w której zmieści się sześćset szesnaście widzów. Policja, a przede wszystkim straż ogniowa nie pozwoli na dostawienie krzeseł. W zeszłym roku nasi przewidujący kupcy, bracia Bohrowie, tu niedaleko postawili Lichtspieltheater.

– Najlepsza byłaby restauracja. Lokal z jedną salą na czterysta, pięćset miejsc i kilkoma mniejszymi, położony blisko centrum. Idę o zakład, że właściciel czy dzierżawca restauracji na pewno na tym nie straci. A jaka popularność!

– Max Blumel’s przy Katolische Kirchstrasse albo Grüner Kranz – Finke proponuje większe restauracje w pobliżu ratusza, w których

podejmował swoich gości.

– Dużo więcej miejsca znajdzie się w Café Kaiserkrone – podpowiada sekretarz miasta. – Albo, albo... – Widenka robi zagadkową minę. – Na parterze w Ressorcen przy Neumarkt jest restauracja, obok niej kręgielnia i sporo mniejszych pomieszczeń. W sali balowej na pierwszym piętrze zmieści się ze sto pięćdziesiąt par.

– Za mało, żeby pokryć wydatki związane z organizacją mistrzostw – twierdzi Skarbeck. – Powinna być restauracja na co najmniej czterysta osób.

Mischke uważa, że te wymogi spełnia jedynie sala na rogu Berlinerstrasse i Fliessweg, gdzie koncertowała orkiestra Straussa juniora, ale się nie odzywa.

– Deutsche Reichshalle! – wykrzykuje sekretarz miasta. – Co prawda restauracja nie w samym centrum, ale niedaleko od ratusza i, jakby to powiedział profesor Schmidt, z wyjściem do lasu. Duża sala główna, letni ogródek, kilka mniejszych pomieszczeń. Niezła kuchnia.

Finke ma na końcu języka pytanie, gdzie to jest, lecz żeby Mischke nie posądził go o nieznamość miasta, trzyma język za zębami.

– Zwycięzca, wicemistrz i dwaj zdobywcy trzeciego miejsca będą szczęśliwi, jeżeli ich wysiłek zostanie nagrodzony jeszcze czymś poza medalami i dyplomami. Nieśmiało podpowiadam panu nadburmistrzowi, aby przekonał właścicieli fabryk do ufundowania nagród. Zarząd klubu będzie wdzięczny grünberskim gazetom, jeżeli na swoich łamach poświęcą więcej niż troszkę miejsca temu wydarzeniu.

– Gdyby nie brak pewności jutra...

– Zgadza się z panem nadburmistrzem, że czas nie jest najlepszy. Żadna wojna nie sprzyja kulturze i sportowi, a tym bardziej wojna o zasięgu światowym – potakuje doktor Skarbeck. – W Breslau i Liegnitz powiedziano nam, że mimo kryzysu gospodarczego, wzrostu bezrobocia, słowem braku pewności jutra, Grünberg pod kierownictwem pana Finkego nieźle sobie radzi ze skutkami już gołym okiem widocznej recesji. Może być jeszcze gorzej, ale, panie nadburmistrzu, trzeba żyć nadzieją, że niebawem nasza sytuacja się poprawi i, tak jak dawniej, Niemcy znowu będą ponad wszystko – kończy Skarbeck, wyśpiewując ostatnie słowa.



Finke już chce machnąć ręką, co ma oznaczać, że nie wierzy w szybką zmianę i nie oczekuje pochwał, gdy zdaje sobie sprawę ze znaczenia opinii powtórzanej przez gościa z Berlina. Nadprezydent prowincji ani prezydent rejencji nigdy nie powiedzieli mu tego w cztery oczy, a okazji mieli niemało.

– Mimo trudnych czasów, staramy się jak najlepiej służyć mieszkańcom – nadburmistrz zapewnia Skarbecka. – Wracając do mistrzostw. Proszę o przesłanie na moje ręce formalnego wniosku. Będę rad, jeżeli Europäischer Athleten-Club „Samson” dołączy do niego program i poda nazwiska zawodników wraz z ich narodowościami. Czasy takie, że dobrze wiedzieć, z kim się ma do czynienia, szczególnie z powodu tego, co się dzieje na wschód od Grünbergu.

– Zarząd klubu zrobi wszystko, czego oczekuje pan nadburmistrz – zapewnia go doktor Skarbeck. – Niestety, zarząd nie na wszystko w sporcie zapaśniczym ma wpływ.

– Rozumiem – mówi Finke i się podnosi, co jest sygnałem do zakończenia spotkania. – Za chwilę na ten temat będę rozmawiać z moim zastępcą, burmistrzem doktorem Ouvrierem odpowiedzialnym w zarządzie miasta między innymi za sprawy społeczne. – Nadburmistrz najpierw wyciąga rękę do Skarbecka i potrząsa nią kilka razy, później do Kalihacka, ale tak, żeby siłacz nie za mocno ją ścisnął. – Pan oczywiście weźmie udział w mistrzostwach.

Kalihack się uśmiecha.

– Nie wyobrażam sobie innego reprezentanta Niemiec – odpowiada Skarbeck, zatrzymując się w drzwiach.

– Mieszkańcy Günbergu byłiby dumni, gdyby pan zdobył tytuł mistrzowski, czego z całego serca panu życzę.

– Zdobędzie. – Skarbeck uśmiecha się pod nosem. – Musi zdobyć.

– Coś mi tu nie pasuje – mówi sekretarz miasta po wyjściu gości z gabinetu nadburmistrza.

Finke zbywa go milczeniem.

## 2

Ledwie burmistrz Ouvrier wrócił do ratusza, a Finke już wchodzi do jego gabinetu. Nie pytając, czym zakończyła się rozmowa z dyrektorem Deutsche Wollenwaren Manufaktur, który podczas balu przemysłowców obiecał ufundować stypendium dla badacza dziejów miasta, streszcza przebieg spotkania z wysłannikami berlińskiego Samsona.

– To musi być wydarzenie na miarę naszego jubileuszu. Żeby tak się stało, pana w tym głowa. Pan, doktorze Ouvrier, to potrafi.

– Zrobię, panie nadburmistrzu, ile mogę. Na wiele niech pan nie liczy. Takie czasy.

– Musi pan przekonać właściciela hotelu Kaiserhof, aby bezpłatnie przenocował zawodników.

– Za darmo? – pyta Ouvrier zaskoczony poleceniem Finkego. – To jest niezgodne z przepisami skarbowymi. Jeden fenig, ale nic za darmo. Trzeba zapłacić. O ile znam właściciela Kaiserhof, a znam od dawna, nie pójdzie na to. Jeżeli się zgodzi, to za cenę czegoś, na czym miasto nie zyska.

– Chodzi o... Jakby to panu powiedzieć?

– Za małe pieniądze można mieszkać w Schwarzer Adler. Kategoria troszkę niższa, za to obsługa na odpowiednim poziomie.

– Gdzie?

– Zapomniałem, że pan jeszcze nie poznał miasta – odpowiada zaczepnie burmistrz. – Breitestrasse.

– Akurat ten adres znam, Ouvrier. – Finke ma ochotę wyrzucić z siebie, że dopiero od dnia, kiedy socjaldemokrata zajął gabinet nadburmistrza, grünberczycy mają mniej powodów do narzekania na kiepskie zaopatrzenie sklepów i ceny rosnące mgnieniu oka, ale z tego rezygnuje. Jest pewny, że stary burmistrz by się odgryzł, a on nie chce z nim zadzierać. – Zastanawiam się, w której sali będzie można przeprowadzić mistrzostwa. Ressource byłaby najlepsza, ale czy panowie z zarządu pozwolą, żeby coś takiego odbyło się w renomowanej restauracji? Jest jeszcze Lichtspieltheater.

– Restauracja Deutsche Reichshalle. Jest tam duża sala konsumpcyjna, są salki dla specjalnych gości i naprawdę wychuchany ogródek – zachwała burmistrz, nie przyznając się, że był tam tylko raz, gdy Towarzystwo Rzemieślników Polskich zaprosiło go na doroczny bal.

– Dobrze by było, gdyby właściciele fabryk ufundowali nagrody i osobiście je wręczyli podczas gali finałowej. Ma się rozumieć, że chodzi o nagrody finansowe. Pan, doktorze Ouvrier, lepiej ich zna. Mogę na pana liczyć?

Po chwili namysłu zastępca nadburmistrza odpowiada:

– Jestem prawie pewny, że uda się przekonać właścicieli fabryki filcu, odlewni żeliwa i domu bankowego. Nagrody za trzy pierwsze miejsca powinny być tak wysokie, aby ci, którzy je dostaną, długo wspominali Grünberg.

– A ta dama z Bahnhofstrasse, która w czasie wojny zbierała złoto na dofinansowanie naszej armii? Jej nazwisko wyleciało mi z głowy.

Gdybyś, partyjny szpanerze przywieziony w teczce i posadzony na fotelu w gabinecie nadburmistrza, był grünberczykiem od tylu lat, od ilu ja jestem, nie zadawałbyś takiego pytania, krytykuje go w myślach Ouvrier, a na głos wyjaśnia:

– Do pani Brand należy fabryka trykotaży. Nie będzie łatwo ją przekonać, co nie znaczy, że kiedykolwiek odmówiła pomocy miastu.

– Niech pan z nią porozmawia – poleca Finke. Uważając, że zrobił wszystko, do czego się zobowiązał, już chce wrócić do swojego gabinetu pewny, że na biurku leżą papiery, które musi pilnie przeczytać. Nie przyznaje się, że namawiał Kalihacka do wpompowania swojego kapitału w budowę domów dla optantów. – Te mistrzostwa muszą być wydarzeniem na miarę naszego jubileuszu, panie doktorze.

Ouvrier przytakuje, co jest dla Finkego zaskoczeniem. Zazwyczaj doktor nie zgadza się z nadburmistrzem. Nawet wtedy, kiedy członkowie rady bili mu brawo, stary Ouvrier siedział z założonymi rękami. Usprawiedliwia go jedynie to, że wszystko co najlepsze w mieście od początku dwudziestego wieku, powstało przy jego udziale. Grünberczycy powinni to docenić, a oni nie protestowali przeciw wyborowi na nadburmistrza Alfreda Finkego, obcego w mieście, który, żeby uciszyć zwolenników Ouvriera, zaproponował mu pozostanie

w ratuszu jako zastępca i doprowadzenie do końca wszystkiego, co dotyczy jubileuszu miasta.

Finke nie jest przeciwnikiem świętowania siedemsetlecia Grünbergu, ale i nie uważa, aby przygotowanie obchodów było najważniejszym zajęciem magistrackich urzędników. Gdy zaraz po wyborach Ouvrier powiedział mu o rozpoczęciu święta od otwarcia pierwszego w dziejach miasta muzeum, pomyśl pochwalił i po rozmowie z Widenką jeszcze tego samego dnia poprosił o dokument świadczący o tym, że Grünberg stał się miastem w 1222 roku. Takiego aktu nie widział nawet profesor Schmidt. Stary nauczyciel spodziewał się tego pytania, dlatego przygotował się do odpowiedzi. Zaproszony do ratusza, zaczął od zdania, że po przegranej wojnie mieszkańcy potrzebują czegoś optymistycznego, co podniesie ich na duchu. Przypomniał, że w czasach cesarza Oktawiana Augusta, kiedy Rzym był w podobnej sytuacji jak Niemcy po wielkiej wojnie, poeta Juwenalis zawołał *Panem et circenses!*

– Czas są bardzo trudne. Z pustego i Salomon nie naleje. Wszystkich głodnych i upokorzonych się nie nakarmi, ale można dać grünberczykom igrzyska, żeby na dzień, dwa, zapomnieli o swoich nieszczęściach – powiedział Schmidt, co się spodobało Finkemu. – Pewnie za sto lat nasi potomni zapytają o źródło, z którego zaczerpnęliśmy wiedzę na temat początków miasta. Czy na pewno w 1222 roku władca tej ziemi Henryk Brodaty nadał Grünbergowi prawa miejskie? Gdzie jest przechowywany dokument potwierdzający to wydarzenie? Tego nikt nie wie. Mimo braku źródła będzie w ludziach przekonanie, ba, niemal pewność, że taki dokument musiał być. Ten, kto podpowiedział świętowanie siedemsetlecia w 1922 roku, musiał go widzieć.

– Pan, profesorze, zna treść tego dokumentu?

Zamiast przytaknąć lub zapewnić nadburmistrza, że go nie oszukał, Schmidt uśmiechnął się, po czym dodał:

– Mundus vult decipi, ergo decipiatu.

Akurat to łacińskie powiedzonko nadburmistrz pamiętał jeszcze ze studiów prawniczych w Greifswaldzie, dlatego nie zapytał profesora, co ono znaczy. Zgadza się z jego autorem, rzymskim poetą i politykiem

Petroniuszem, że „świat chce być oszukiwany, więc niech będzie oszukiwany”.

– Na ogół potomni składają hołd swoim poprzednikom a to stawiając im pomniki ze spiżu, a to wychwalając ich czyny. – Finke usiłuje przywołać choćby jednego bohatera, lecz żaden nie przychodzi mu do głowy, a nie ma zamiaru wspomnieć o ostatnim cesarzu Wilhelmie II, którego rewolucja listopadowa zmusiła do abdykacji i ucieczki z Niemiec. – Potomni nie mówią źle o swoich poprzednikach, to i za sto lat władarze naszego miasta urządzą obchody osiemsetlecia. Oby również udane.

– Są tacy, którzy uważają, że w każdej bajce jest troszkę prawdy, czego i ja jako badacz przeszłości nie odrzucam – mniej więcej tak powiedział profesor Schmidt. Było to podczas jego wykładu dotyczącego historii miasta w Grünberger Volkshochschule, gdy pana jeszcze nie było w ratuszu. Nie wszystko zapamiętałem, ale jedno jego przemyślenie pozostało w mojej głowie. Brzmi ono w przybliżeniu tak: nie ma takiej bujdy, w którą nawet ludzie mądrzy nie byliby w stanie uwierzyć.

Finke patrzy na Ouvriera ogłupiałym wzrokiem. Chce się odgryźć, ale nie wie jak, żeby nie obrazić swego zastępcy.

– Edimus, ut vivamus, non vivimus, ut edamus – przypomina przysłowie łacińskie.

– Jemy po to, by żyć, a nie żyjemy po to, by jeść.

– Żeby wszyscy chcieli to rozumieć.

– Coś panu pokażę. – Burmistrz wyjmując książkę z szuflady biurka i zadowolony uśmiecha się pod wąsem. – Jeszcze pachnie farbą drukarską.

Na widok książki Finke otwiera usta. Słyszał, że ktoś przygotowuje jakąś publikację, która ma się ukazać tuż przed jubileuszem siedemsetlecia miasta. Kto, o to nigdy nie zapytał Widenki i nie zaciekawiał się, czego konkretnie będzie dotyczyło wydawnictwo. Za wszystko, co się wiąże z siedemsetleciem, jest odpowiedzialny burmistrz Ouvrier. Jeżeli uda się jubileusz, pochwały i gratulacje zbierze nadburmistrz. Nie uda się, Finke zwali winę na swojego zastępcę i wtedy pozbędzie się go z ratusza.

– *Geschichte der Stadt Grünberg, Schlesien*. Autor Hugo Schmidt, profesor w szkole przy Lange Gasse. Lekkość i dociekliwość. Wspaniałe pióro. Niech pan sobie przedstawi, że odkąd Schmidt zamieszkał w Grünbergu, pisze odkrywczе teksty dotyczące przeszłości naszego miasta. Robi to z taką pasją, że nie ma lepszego badacza dziejów i przy tym popularyzatora wiedzy historycznej. Trudno sobie wyobrazić sobotnio-niedzielne dodatki do „Grünberger Wochenblatt” bez choćby jednego jego artykułu. Publikacje doktora Schmidta ukazują się w czasopismach wydawanych u nas, co zrozumią. Ukazują się również w uniwersyteckim Breslau, a to świadczy o jego wysokiej pozycji wśród badaczy przeszłości regionu. – Oczy Oувriera błyszczą satysfakcją, jakby przede wszystkim od niego zależało to, ile osiągnął Schmidt. Burmistrz spodziewa się, że zaskoczony tą informacją Finke coś powie ku jego radości albo zada pytanie, na które on będzie długo i wyczerpująco odpowiadał, a nadburmistrz milczy. – Historia to jedno z wielu zainteresowań naszego profesora. Schmidt jest także znawcą przyrody, szczególnie owadów.

– Historyka interesuje entomologia? Może też komponuje, gra i śpiewa w chórze basem? – szydzi Finke.

– Opisał kilka gatunków tych żyjątek, które występują wyłącznie na naszym obszarze. Do nich należą – Oувrier zerka na kartkę leżącą na skraju biurka – na przykład osa blaszkowa i chrząszcz żółciowy. A co do uzdolnienia muzycznego... to daje lekcje gry na fortepianie i śpiewa w chórze kościelnym. Łatwiej powiedzieć, czym Schmidt się nie zajmuje, niż co go interesuje.

– Czy to ten sam nauczyciel, o którym mówią, że nie dba o swój wygląd? I któremu miałbym powierzyć prowadzenie miejskiego archiwum? – pyta Finke głosem ścisłym, jakby podejrzewał, że Widenka stoi za drzwiami i podsłuchuje ich rozmowę. Sekretarz miasta podpowiedział nadburmistrzowi, że najlepszym kandydatem na kierownika archiwum byłby doktor Klose. Nie przyznał się, że to jego kuzyn.

– Schmidt jest radnym miejskim i należy do partii socjaldemokratycznej, do której i pan należy.

– A! To ten!

– Pan już się zgodził, żeby Schmidt kierował naszym archiwum – przypomina Ouvrier. – Nominację otrzyma w trakcie jubileuszu. Będzie to coś w rodzaju gratyfikacji za to dzieło, które napisał i za które nie dostał złamanego feniga. – Dopiero teraz burmistrz przesuwają książkę w stronę Finkego. – Dotąd ukazało się kilka opracowań dotyczących dziejów Grünbergu. Zazwyczaj autorzy kolejnych prac powtarzali wiadomości podane przez ich poprzedników, a nie zawsze były to fakty potwierdzone w dokumentach, i dodawali opisy zdarzeń z ostatnich lat. Tak na przykład wygląda *Aus Grünbergs Vergangenheit: gesammelte Bilder zur Geschichte der Stadt nach vorhandenen Chroniken und sonstigen Überlieferungen* pióra Augusta Förstera z tego rodu, który dał Niemcom rektora Friedrich-Wilhelms-Universität. Dopiero profesor Schmidt sięgnął do materiałów archiwalnych. Monografia, na którą pan patrzy, liczy ponad tysiąc stron. Do tego trzeba dodać spory aneks w postaci omówienia blisko dziewięćset pięćdziesięciu map, planów i innych dokumentów. Książka jest bogato ilustrowana. Takiej monografii nie powstydziliby się nawet Breslau.

– Rzeczywiście solidna robota – twierdzi nadburmistrz. Przewraca kilka kartek bez widocznego zainteresowania. W jego głowie tkwi co innego.

– To, co pan ma przed sobą, zostało wykonane w miejscowej drukarni Levysohna. Myślę, że każdy, kto urodził się w Grünbergu i każdy, kto urodził się gdzie indziej, a mimo to uważa się za grünberczyka, zechce mieć tę książkę. Pieniądze wydane z kasy miasta na jej druk powinny się zwrócić z nawiązką. Ile na tej publikacji zarobimy, tyle wydamy na rozbudowę muzeum. – Ouvrier mówi to takim tonem, jakby nie miał wątpliwości, że Finke oczekuje tego samego. – I może wreszcie pan nie będzie miał nic przeciw zrobieniu pierwszego kroku ku postawieniu gmachu prawdziwego teatru.

Nadburmistrza irytują te wszystkie wnioski urzędników magistrackich w sprawie podjęcia decyzji, jakies podpowiedzi bez podawania, ile to ma kosztować, skąd wziąć pieniądze i czy miasto będzie miało z tego korzyść. Finke zna się na prawie administracyjnym i buchalterii. Tego, że prezydent rejencji najpierw wprowadził go do ratusza jako burmistrza, a po podniesieniu miasta do rangi powiatu grodzkiego, bez pytania o zgodę powołał na nadburmistrza, nie uważa za przypadek. Już polubił swoją nową funkcję, jednak lepiej



by się czuł jako radca sądowy, którym był w Posen do tego dnia, kiedy wbrew swojej woli został burmistrzem komisarycznym we Wreschen. Ledwie poznał miasto, musiał wyjechać do Gollnow i naprawiać błędy swego poprzednika w magistracie. Doktor Ouvrier nigdy nie powiedział wprost, że skoro przez dwadzieścia jeden lat najpierw był zastępcą, potem burmistrzem Grünbergu i przekonał nadprezydenta prowincji, aby miasto uzyskało status powiatu grodzkiego, to on powinien urzędować w gabinecie nadburmistrza, ale na każdym kroku daje Finkemu to odczuć.

– Mimo że urodziłem się w Küstrin , uważam się za grünberczyka – mówi.

### 3

Nadburmistrz rzadko wychodzi z ratusza przed wieczorem. Wprawdzie codziennie wpatruje się przez okno na pierwszym piętrze w Ring pełen kupujących, ale nie spodziewał się, że po południu ta część centrum miasta jest aż tak głośna. Przez nikogo nie zatrzymywany, jakby był przyjezdnym, miesza się z tłumem ludzi na Niederthorstrasse. Ogromne okna domu towarowego Wilhelma Graua przyciągają jego wzrok. Nie ma ochoty na zakupy, zresztą wszystko co jest potrzebne w domu, żona przywozi z Berlina. Finke po prostu chce wejść do środka i sprawdzić, czy naprawdę półki uginają się pod ciężarem towarów, których grünberczycy nie kupują dlatego, że nie mają za co, bo od zakończenia wielkiej wojny z dnia na dzień przyspiesza inflacja. Za funt chleba, który rok temu kosztował niecałe półtorej marki, teraz trzeba zapłacić aż trzy i pół. Tak twierdzi gosposia, a w tej sprawie ona jest lepiej zorientowana niż Finke. Jak tak dalej będzie się działo, to Niemcom grozi nie tylko galopująca inflacja, lecz i załamanie systemu finansowego. Skutki tego odczują wszyscy, a najbardziej ci najmniej zarabiający.

Finke nie może uwolnić swoich myśli od doktora Ouvriera, który robi więcej niż do niego należy, a i często zachowuje się tak, jakby był nadburmistrzem, co krytykuje sekretarz miasta. Od dnia zmian w ratuszu Finkemu także nie podoba się sposób bycia burmistrza, ale na razie stara się tego nie okazywać. We wrześniu, kiedy radni będą podsumowywali obchody jubileuszu Grünbergu, nadburmistrz zbierze w sobie odwagę i wygarnie swojemu zastępcy to, co dotąd pomijał milczeniem.

– Pan nadburmistrz tutaj? – słyszy Finke. Odwraca się w stronę ocienionej lipami Bahnhofstrasse, skąd idzie doktor Brucks, właściciel kliniki chirurgicznej i chorób kobiecych. – Nadburmistrz wyznaje zasadę, że pańskie oko konia tuczy. Takiego gospodarza miasta powinniśmy mieć od dawna – chwali go lekarz.

– Wie pan, doktorze, co mnie niepokoi? – odzywa się nadburmistrz. Brucks ma ochotę odpowiedzieć, że pewnie jakieś ważne problemy miejskie. Czasy są bardzo trudne, a oczekiwania grünberczyków ogromne, ale tylko kręci głową, co ośmiela Finkego. – Od dawna mam obawy, a od dnia, kiedy uczestniczyłem w pogrzebie wielkiego Sappelta niepokoję się, że zostanę pochowany żywcem. Tam, pod ziemią się obudzę. Będę wzywać pomocy. Nikt mnie nie usłyszy i się zaduszę. Umieranie z powodu braku powietrza musi być strasznie bolesne. Podobno sławny dramaturg rosyjski Gogol ostatnie tchnienie wydał nie na łożu śmierci, a w trumnie pod ziemią.

– Tafefobia.

– Co takiego? – Finke pierwszy raz usłyszał to określenie.

– Paralizujący strach przed pochowaniem żywcem – wyjaśnia lekarz. – Takie obawy nie są obce większości myślących ludzi. Nawet koronowane głowy czują lęk. Królowa Hiszpanii Élisabeth de Bourbon-Orléans Elżbieta Ludwika Orleańska nakazała w swoim testamencie, aby przed pochówkiem dwa razy przecięto jej stopy brzytwą. Pianista Chopin polecił przyjacielom, żeby po śmierci medyk wyjął jego serce, a oni włożyli je do spirytusu i zawieźli do kościoła Świętej Katarzyny w Warszawie. Jako doktor nauk medycznych zapewniam pana nadburmistrza, że współczesna praktyka lekarska zna metody potwierdzające zgon. Teraz lekarz się nie pomyli. Chociaż... – Brucks urwał, jakby nie byłby przekonany, że powinien powiedzieć więcej na temat interesujący nadburmistrza. – W literaturze przedmiotu

są podane przykłady, że u chorego zanikł puls, nie było oddechu, ustała akcja serca, uznano go więc za zmarłego, gdy po niedługim czasie zaczął dawać oznaki życia.

– I? – pyta Finke cicho.

– Zapewniam pana, że dopóki ja będę lekarzem sądowym, nikt w Grünbergu nie zostanie pochowany za żywota.

– A co mi tam – macha ręką nadburmistrz zadowolony z takiej odpowiedzi. – O zmarłych niech się martwią najbliżsi i pastor. My powinniśmy rozmawiać o przyszłości miasta. – Finke nie jest pewny, czy już ma prawo zakomunikować Brucksowi, że najbliższe mistrzostwa Europy atletów w zapasach odbędą się w Grünbergu, bo przecież berlińczycy mogą się wycofać. Czasy są niepewne. Jednak mówi, że gościł w ratuszu członka zarządu Europäischer Athleten-Club „Samson”, który złożył taką propozycję. – Razem z doktorem Skarbeckiem przyjechał siłacz Kalihack. Grünberczyk z urodzenia. Obecnie mieszka w Berlinie. Niech pan sobie przedstawi wielkoluda, który podaje panu dłoń taką jak moje dwie albo i większą. Dosłownie olbrzym. Wyrwidąb. Gigant. Prawdziwy Samson.

– Kalihack?

– O nim mówię.

– O ile dobrze zapamiętałem, Josef.

– Tak – potwierdza Finke, zaskoczony odpowiedzią Brucksa. – Pan doktor go zna? Aha, interesuje się pan zapasami?

– Kalihack, Josef. Nie znam go osobiście. To nazwisko i imię występuje w renomowanych czasopismach medycznych – mówi lekarz. – Pewnie nie utkwiliby mi w pamięci, gdyby nie fakt, że wspomniany przez pana nadburmistrza mężczyzna urodził się w naszym Grünbergu...

– To przed chwilą powiedziałem.

– ... gdzie i ja przyszedłem na świat – kontynuuje Brucks. – Pan może nie wiedzieć, że mój ojciec również był lekarzem. Z jego opowieści zapamiętałem, iż został wezwany do rodzącej kobiety bodajże na Grünstrasse, ale tego nie jestem pewny. Tam dawniej, jak i dziś, mieszkali robotnicy zakładów Beuchelta. Mój ojciec sprawował nad nimi opiekę medyczną.

– Wzór godny naśladowania.

– Poród był długi i trudny między innymi dlatego, że położnica miała zaawansowaną cukrzycę. Kobiety z tą chorobą na ogół rodzą bardzo duże dzieci. Nie będę wtajemniczał pana nadburmistrza w konsekwencje wywoływane przez cukrzycę u noworodków. Wystarczy, że powiem tak: są one poważne i odbijają się na całym życiu człowieka. – Doktor Brucks pociera palcami brodę, jakby się zastanawiał, czy nie za bardzo się zagalopował. – Gdy na ogół kobiety rodzą dzieci ważące mniej więcej siedem, osiem funtów, ta z Grünstrasse wydała chłopca o wadze, dokładnie zapamiętałem, trzynaście i pół funta. Nie dość że ważył za dużo, to i za dużo mierzył. Sześćdziesiąt jeden centymetrów, jak się teraz podaje. Gigantyzm. Makroskopia, panie nadburmistrzu. Medycyna położnicza uważa to za nienormalne. Jest jeszcze jeden taki sam. Austriak. Niestety, nie pamiętam jego nazwiska. I także czynny atleta.

– Kalihack, jak mi później powiedział redaktor Mischke, jest nazywany mistrzem podwójnego nelsona. Co to znaczy, nie zapytałem, a powinienem. Trudno, stało się. Pewnie ma to coś wspólnego z zasięgiem ramion. Mischke powiedział, że u Kalihacka wynosi on trzy i pół łokcia.

– Troszkę ponad dwa metry, jak teraz podają. – Doktor Brucks rozciąga ręce, jakby tym ruchem chciał przekonać nadburmistrza, że to jest bardzo dużo.

– A i wagę ma proporcjonalną do wzrostu. Nie pytałem go, ile. Na oko prawie trzy cetnary.

– Takich mężczyzn charakteryzuje ogromne pożądanie – informuje ściszym głosem Brucks.

– Do alkoholu? – niedowierza Finke.

– Tacy mężczyźni mają ogromne pożądanie cielesne do kobiet – odpowiada lekarz. Tym samym przyciszonym głosem dodaje: – Pożądanie seksualne, panie nadburmistrzu.

Finke ściąga usta i robi pytającą minę, jakby nie zrozumiał odpowiedzi Brucksa. Dopiero po chwili parska śmiechem i to tak donośnym, że wychodzący z domu towarowego Mischke zatrzymuje się na schodach.

– Dowiem się, czym doktor aż tak rozbawił pana nadburmistrza? – zaciekawia się dziennikarz. Nie słysząc odpowiedzi, kontynuuje: –

Czyżby nadburmistrz opowiadał doktorowi o tych fircykach z Berlina?

Finke poważnieje i coś mówi. Co, tego Mischke nie słyszy, ponieważ żelazne obręcze kół przejeżdżającego obok omnibusu tak dudnią o bruk, że zagłuszają odpowiedź nadburmistrza. Jeszcze przed wielką wojną doktor Brucks zgłosił wniosek, aby omnibusy zastąpić tramwajami. Wtedy burmistrz Ouvrier uznał to za najlepszy prezent z okazji siedemsetlecia miasta. Pewnie i tak by się stało, gdyby nie Finke, a Ouvrier zajmował gabinet nadburmistrza Grünbergu.

## Piątek, 9 czerwca 1922 roku

### 4

Z hotelu Schwarzer Adler przy Breitestrasse na Ring, gdzie od połowy piętnastego wieku stoi ratusz, przysadzisty jak straganiarka sprzedająca warzywa na Glasserplatz, otoczony wieńcem urodziwych kamienic, jest nie więcej niż pięć minut piechotą. Doktor Skarbeck jednak postanowił, że Kalihack pojedzie dorożką udekorowaną świeżymi gałązkami brzozy i czerwonymi gerberami, emblematem Europäischer Athleten-Club „Samson” oraz powiewającą na wietrze żółto-biało-zieloną flagą Grünbergu. Fiakrowi kazał ubrać się tak, jakby wioził młodą parę do stojącego blisko ratusza kościoła Zum Garten Christi. Nawet zażądał, żeby konie zaprzężone do dorożki miały duże czerwone pompony i janczary na uprzęży. Wybrał drogę okrężną, aby grünberczycy, którzy będą przechodzili przez Postplatz, Holzmarktstrasse, Breslauerstrasse i Niederthorstrasse zatrzymywali się i zaciekawieni paradnym przejazdem pytali, jakie wydarzenie zapowiada się w mieście. Wprawdzie afisze anonsujące mistrzostwa Europy w zapasach wiszą na słupach ogłoszeniowych od czterech dni, ale nie wszyscy zwrócili na nie uwagę, tym bardziej że ostatniej soboty i niedzieli miasto świętowało siedemsetlecie. Co tydzień od połowy maja „Grünberger Wochenblatt” informuje swoich czytelników, a „Grünberger Tageblatt” robi to jeszcze częściej, że dziesiątego czerwca wczesnym wieczorem rozpoczną się zawody siłaczy, jakich nie było w siedemsetletnich dziejach Grünbergu. Bilet na eliminacje kosztuje tylko piętnaście marek. Na sobotni finał jest droższy o dziesięć marek i dwadzieścia fenigów przeznaczonych na fundusz pomocy rodzinom ofiar wojny. Za te pieniądze restauracja Deutsche Reichshalle przy Grosse Bergstrasse, do zeszłego roku znana pod nazwą

Vereinshaus, gdzie odbędą się mistrzostwa, zapewnia miejsce przy stoliku z dobrą widocznością estrady i obsługę kelnerów. Za dodatkową opłatą każdy będzie mógł zamówić to, na co przyjdzie mu ochota i co kucharze przygotowują na ten wieczór. Na pewno nie zabraknie zupy z byczych z ogonów, golonki po bawarsku, pieczonej szynki, ragout z ozorków wołowych, kielbasy z kapustą, kartofli smażonych na gęsim smalcu, knedli z wątrobianki, raków w galarecie. Dla lubiących miejscowe trunki będzie sekt prosto z piwnic wytwórni Gremlera, wino od Hugona Bethkego i piwo z lokalnego browaru Bergschloss oraz specjalnie sprowadzone na mistrzostwa piwo Karamel z Löwenbergu.

Kalihack nie protestował, protestuje, kiedy doktor Skarbeck kazał mu ubrać się w trykot w biało-czarne pasy i spodenki do kolan, tym bardziej że lubi być podziwiany. Jako dziecko złościł się i zaciskał pięści, gdy ktokolwiek nazwał go bysiem, teraz staje w niewielkim rozkroku, nabiera powietrza do płuc, napina mięśnie i unosi ręce zgięte w łokciach, żeby jeszcze bardziej podkreślić swój monstrualny wygląd. Kalihack ma dwa metry i cztery centymetry wzrostu. Waży sto czterdzieści siedem kilogramów. Na każdego, kto przed nim stanie, spogląda z góry. Toteż i nikogo się nie obawia. Organizator korridy w Getafe był gotów zapłacić mu więcej niż każdemu innemu torreadorowi, pod warunkiem że raz w tygodniu będzie się pokazywał na arenie u boku matadora i chwycił byka za rogi. Propozycją podzielił się z doktorem Skarbeckiem, a ten mu wyjaśnił, że przy jego wadze jest to niebezpieczne. Mimo iż za pieniądze Kalihack zrobiłby wszystko, jednak nie pojechał do Hiszpanii. W tym samym roku został mistrzem Europy atletów. Który to już raz? Czwarty? A może piąty albo i szósty? Pamięta, że najwięcej pieniędzy dostał za zwycięstwa w Leipzig i Bromberg. Gdzie jeszcze wygrał? Na pewno w Karlsbad i Weissenstein. Miał zwyciężyć w Bamberg, lecz o tym zapomniał i dopiero kiedy poddał się Gurgullowi, przypomniał sobie o umowie. Identycznie stało się w Posen, gdzie go pokonał Maksymiak. W Grünbergu do tego nie dojdzie. Josef Kalihack musi zostać mistrzem Europy w mieście, w którym się urodził i gdzie z pewnością jeszcze go nie zapomnieli dawni sąsiedzi z Grünstrasse. Tak zdecydował doktor Skarbeck z wąskiego zarządu Europäischer Athleten-Club „Samson”. Przecież po to przyjdą ci, którzy go zapamiętali i ci, którzy



go nie poznali, ale ciekawość każe im kupić bilety wstępu do Deutsche Reichshalle, gdzie odbędą się mistrzostwa. Oni nie wiedzą, że zwycięży Kalihack, drugie miejsce zajmie Estończyk Randjärv. Kto będzie trzeci, Austriak Gurgull czy Polak Maksymiak, o tym doktor Skarbeck jeszcze nie zdecydował.

Milcząc, Kalihack wysiada z dorożki i wspina się na najwyższy stopień schodów przed głównymi drzwiami prowadzącymi do ratusza. Gdy cichną brawa, asystent podaje mu podkowę. Atleta podnosi ją wysoko, zatacza koło nad głową, jakby chciał przekonać gapiów, że to nie atrapa, i zwraca ją asystentowi. Ten podchodzi do mężczyzn stojących w pierwszym szeregu. Prosi ich, aby sprawdzili, czy podkowa na pewno jest wykuta z metalu, a gdy po badaniu to potwierdzają, innej dwójce każe chwycić ją oburącz i rozprostować. Z góry wiadomo, że się nie uda, mimo tego mężczyźni próbują zrobić to, czego domaga się asystent.

– Mistrzu, kolej na ciebie. – Asystent zwraca się do Kalihacka, ale zanim poda mu podkowę, jeszcze raz pokazuje ją grünberczykom coraz tłumniej gromadzącym się przed ratuszem.

Atleta najpierw przygląda się podkowie, jakby nie wierzył, że to ta sama, którą przed kilkoma minutami trzymał w dłoniach, po czym naprężywszy mięśnie ramion i lekko pochyliwszy głowę w prawo, zaczyna ją powoli rozginać. Gęstniejący tłum milczy. Nawet wróble na dachu kamienicy, gdzie jest apteka Adler, przestały świergolić. Dopiero gdy podkowa wygląda jak półksiężyc, rozlegają się oklaski. Finke przypatrujący się widowisku z okna ratusza też bije brawo. Niedawno nadburmistrz oglądał pokaz siły jakiegoś atlety w cyrku Buscha w Breslau, wtedy sądził, że to mydlenie oczu, ale teraz jest gotów przeprosić tamtego mocarza.

Asystent podaje Kalihackowi łańcuch połyskujący w popołudniowym słońcu. Siłacz ogląda go jak poprzednio podkowę, po czym podnosi wysoko, podzwania, aby wszyscy, którzy przyszli na Ring, uwierzyli, że to nie jest atrapa z papieru pomalowanego srebrzącą się farbą. Z tłumu gapiów wysuwają się ci sami dwaj mężczyźni, którzy mocowali się z podkową, lecz asystent wybiera dwóch innych. Wyższy próbuje przerwać ogniwa, jakby podejrzewał oszustwo. A gdy to mu się nie udaje, położywszy prawą dłoń na piersiach zapewnia, że łańcuch jest łańcuchem, jaki można kupić w sklepie żelaznym przy

Rothenburger Strasse, gdzie on jest subiektem. Drugi mężczyzna, żeby nikt nie miał wątpliwości, uderza łańcuchem o schody. Rozlega się metaliczny dźwięk.

– Firma pana Matyscyka, właściciela sklepów żelaznych w Grünbergu, Neusalz i Glogau, ufundowała tę oto nagrodę pieniężną. Otrzyma ją pan Kalihack, pod warunkiem że zdobędzie tytuł zapaśniczego mistrza Europy – obwieszcza wysoki mężczyzna z krzaczastym wąsem, pokazując, co jest w sakiewce.

Kalihack znowu staje w rozkroku. Bierze łańcuch w dłoń, przez lekko otwarte usta wciąga powietrze do płuc, po czym wypuszcza je z sykiem, gdy piersi unoszą trykot w biało-czarne pasy. Napręża mięśnie, jeszcze raz zaciąga się powietrzem i szarpie, ale chyba za lekko, bo łańcuch nie pęka, czego spodziewał się nadburmistrz i tłum. Zawiedziony tym Finke cicho jęczy. Kalihack rozluźnia mięśnie, chwilę stoi z opuszczoną głową, jakby odpoczywał przed decydującym natarciem. Znowu podnosi łańcuch, znowu zaciąga się powietrzem, przymyka oczy i stoi w posągowej pozie. Na placu przed ratuszem zalega taka cisza, że słyhać gruchanie gołębi na wieży pobliskiego kościoła Zum Garten Christi. I nagle atleta mocno zapiera się nogami, wydaje okrzyk, jakby miał dość czekania, czym wprawia gapiów w osłupienie. Jak to się stało, że taki gruby łańcuch pękł z trzaskiem, tego nawet Finke nie spostrzegł. Zaskoczenie trwa chwileczkę, po czym rozlegają się brawa i na twarze widzów powraca taka radość, jakiej nadburmistrz nie widział nawet zeszłej niedzieli, kiedy grünberczycy świętowali siedemsetlecie miasta. W zeszłym roku Finke był świadkiem popisów siłacza Siegmunda Breitbarta w Berlinie. Najbardziej utkwilo mu w pamięci to, jak Król Żelaza wbijał gołą ręką gwoździe w dębowe deski. Nie wszyscy, którzy byli świadkami tego wydarzenia w cyrku, wierzyli w nadzwyczajną siłę Żyda z Łodzi. Finke uwierzył i dlatego go podziwiał, jak teraz podziwia Kalihacka.

– Ci panowie, którzy sprawdzili prawdziwość podkowy i łańcucha, dostaną darmowe bilety wstępu na jutrzejsze eliminacje do Deutsche Reichshalle. Oraz po halbie piwa z grünberskiego browaru Bergschloss.

– Stojąc na schodach obok Kalihacka, nowy zarządca restauracji, Wilhelm Stier, unosi bilety i przez chwilę wymachuje nimi, jakby to były banknoty lub losy Deutsche Klassenloterie. – Na jutrzejsze eliminacje już nie ma miejsc ani przy stolikach, ani stojących na balkonie. Zostało

trochę na niedzielny finał mistrzostw Europy w zapasach - informuje Stier takim tonem, jakby wierzył, że uda mu się sprzedać karty wstępu co do jednej. Dla większości zebranych przed ratuszem dwadzieścia pięć marek i dwadzieścia fenigów to są ogromne pieniądze. Wiosną tona węgla brunatnego z miejscowej kopalni kosztowała dziewięć i pół marki, jesienią na pewno będzie dwa, trzy razy droższa. Od zakończenia wielkiej wojny, a to już niedługo miną cztery lata, wszystko tylko drożeje. - Chyba nikogo nie muszę przekonywać, że mistrzostwa Europy w Grünbergu są wielkim wyróżnieniem miasta i jego mieszkańców. A rozgłos będzie znacznie większy, jeżeli tytuł mistrzowski zdobędzie obecny tu Josef Kalihack, czego w imieniu personelu Deutsche Reichshalle najserdeczniej mu życzę. O naszym mieście, rozwijającym się pod szczęśliwą ręką pana Finkego, wręcz entuzjastycznie piszą berlińskie gazety. - Stier zadziera głowę ku oknu i podnosi rękę, wskazując nadburmistrza. Nie zauważa, że w drugim oknie stoi doktor Ouvrier, do niedawna burmistrz, a teraz zastępca włodarza miasta, co nie tylko restaurator uważa za ujmę. Przecież dzięki wsparciu Ouvriera Vereinigung für Heimatschutz und Heimatpflege in Stadt und Kreis Grünberg utworzyło Heimatmuseum w nieczynnej od jedenastu lat kaplicy staroluterańskiej. On namówił Hugona Schmidta do napisania *Geschichte der Stadt Grünberg, Schlesien*, dzieła życia profesora, liczącego ponad tysiąc stron bitego druku. Czwartego czerwca mieszkańcy miasta najpierw szli w uroczystym pochodzie z Neumarkt przez Ring na Kaiser-Wilhelm-Platz, później świętowali jubileusz podczas akademii w Konzerthaus przy Berlinerstrasse. Goście z Breslau i Liegnitz ucztowali w Deutsche Reichshalle, z czego był najbardziej zadowolony zarządca restauracji, bo zostawili dużo pieniędzy. Nadprezydent prowincji doktor Zimmer mógł nie wiedzieć, że Ouvrier jeszcze jako burmistrz przygotował plan obchodów siedemsetlecia, dlatego dziękował nadburmistrzowi Finkemu. Ale dlaczego prezydent rejencji doktor Büchting i burmistrzowie okolicznych miast zachowywali się tak, jakby nie pamiętali Ouvriera, tego Stier nie mógł zrozumieć. Za kilka dni doktor von Schaumburg z Breslau przyjedzie do Grünbergu z publicznym wykładem na temat pielęgnowania języka ojczystego, co także będzie zasługą doktora Ouvriera. Sytuacja może się zmienić dopiero po najbliższych wyborach. Nadciągająca wielkimi krokami

hiperinflacja, niedostatek żywności, a przede wszystkim brak pracy i mieszkań spowodują, że ludzie odwrócą się od socjaldemokratów i drugi raz nie wybiorą Finkego na nadburmistrza. Wtedy do gabinetu nad schodami wróci doktor Ouvrier, czego sobie życzy Stier jako zarządca najlepszej restauracji w Grünbergu.

## 5

Peter Ratei czeka, kiedy jego sławny kuzyn z Berlina wsiądzie do dorożki i tą samą drogą, którą przyjechał na Ring, wróci do hotelu Schwarzer Adler. Tam Josef zamieni trykot atlety na nierzucający się w oczy ancug i przez nikogo nie zatrzymywany pójdzie z nim do Wiener Café niedaleko kościoła Zum Garten Christi. Przed wstąpieniem do policji Ratei nigdy tam nie był, a po wstąpieniu będzie dopiero drugi raz. Wie, że jest to restauracja z kawiarnią dla lepszych gości, nikt więc nie przeszkodzi w rozmowie. A jeżeli w Wiener Café nie będzie wolnych miejsc, co w ciepły piątkowy przedwieczór jest możliwe, to dwieście metrów dalej, przy ocienionej lipami Bahnhofstrasse, znajduje się Café Kaiserkrone, zdaniem wachmistrza Gerlacha, najbardziej wytworny lokal w Grünbergu. Tam Ratei jeszcze nie był. Gdy w sobotę wieczorem posprzeczał się ze swoją połowicą albo miał ochotę na piwo, to najczęściej szedł do szynku Wellera przy Grosse Bergstrasse, dokąd najbliżej z jego domu i gdzie ceny są na kieszeń młodego policjanta. Tam każde piwo mu smakuje, a najbardziej Jubiläum, wyczarowane w miejscowym browarze na siedemsetlecie miasta.

Mimo ciepłego piątkowego przedwieczoru w Wiener Café jest sporo wolnych miejsc. Jeszcze zanim kelner podszedł do stolika, Ratei zajrzał do karty dań i wpatrując się w ceny zapytał Kalihacka, na co ma ochotę. Jeżeli Josef zechce jakieś frykasy, to wybułę jak za zboże, pomyślał. Takie chłopisko potrafi zjeść za pięciu. A przecież płaci ten, kto zaprasza. Taki jest zwyczaj w Grünbergu.

– Ja biorę sznaps i piwo – mówi Ratei mając nadzieję, że Kalihack zechce to samo. Jeżeli tak, to za dużo nie wydam, cieszy się. Kufel piwa kosztuje osiem marek, kieliszek sznapsu prawie dziewięć. Może Josef powie, że nie ja jego, tylko on mnie zaprosił do Wiener Café i dlatego on zapłaci za nas obu? Jeżeli powie, to dopiero po wszystkim. A jeżeli nie powie?

– Dla mnie tylko piwo. Ma być miejscowe. To warzone z okazji jubileuszu. Od razu dwie halby.

Mężczyźni, którzy siedzą przy sąsiednich stolikach, taksują wzrokiem Kalihacka. Ratei także czuje się ważny. Nawet mocniej opiera się o poręcz krzesła i splata dłonie na piersiach. Żałuje, że w Wiener Café nie ma nikogo znajomego.

– Co u ciebie? – zwraca się Kalihack do Rateia. Nie czekając na odpowiedź rzuca, jakby dobrze wiedział, co usłyszy: – Kobieta, bachory, robić trzeba, a coraz mniej da się kupić za to, co się zarobi. Takie czasy, Peter. Takie czasy. Mogą nadejść jeszcze gorsze.

– Zgadza się – przytakuje Ratei. – Ty pewnie kosisz forszę. I nie masz gdzie jej wydać, co?

Kalihack macha ręką lekceważąco. Uśmiechając się sam do siebie, pyta:

– Pamiętasz tę od rymarza? Jak jej było? Herta? Hilda?

– Helga. Jak który chłopak chciał sobie... tego no... – Ratei styka czubki dwóch palców lewej ręki. W tak powstałą szparę to wciska kciuk prawej dłoni, to go wysuwa. Śmiejąc się dodaje: – Helga była nie do zdarcia. Ale nic za darmo.

– Ile razy miałem ochotę, a miałem rano, w południe, wieczorem i jeszcze z pięć razy, ona nigdy mi nie odmówiła. Stawała tyłem, rozkraczała się, zadzierała spódnice i opierała się rękami o drzewo. Wygięta zawsze pytała, czy jeszcze długo, bo ma dużo roboty w kuchni i żeby kończyć, bo ktoś nadejdzie i ją zobaczy. Pewnie wyszła za kogoś, kto jej wcześniej nie poznał, co?

– Za jednego takiego – odpowiada Ratei, ale nie mówi, że Helga została żoną starszego asystenta kryminalnego Normanna.

– Helga była dobra, ale w tych sprawach najlepsza była Frieda. Dopiero ta mogła i umiała. – Kalihack przymyka oczy i cmoka. – Takich cichodajek nie ma nawet w Berlinie. Co z Friedą?

– Wydała się za nadzianego absztyfikanta z Altkessel i jak kamień w wodę.

– Altkessel?

– Było Polnisch Kessel, jest Altkessel.

– Dlaczego?

Tego Ratei nie wie.

– Polnisch Nettkow zamienili na Nettkau. Jakaś polityka, Josef.

Kalihack milczy. Ratei ma ochotę przypomnieć mu panią Ebeling, owdowiałą właścicielkę podupadającej wytwórni winiaków przy Breslauerstrasse, która zapraszała do swojej kamienicy takich jak oni obaj. A że była jeszcze młoda, bezdzietna i już bogata, nawet pastor z Zum Garten Christi nie potępiał jej zachowania. Zmieniła się, kiedy została żoną owdowiałego mistrza murarskiego z Neusalz i macochą jego czterech synów.

– Była jeszcze taka jedna. Mieszkała blisko tam, gdzie ty teraz. Ta to dopiero głowę zadzierała. A nosiła się tak, jakby miała ojca na stanowisku w policji. Ale i, trzeba to przyznać, była warta grzechu.

– Pamiętasz Kathrin?

– Kathrin? – zastanawia się Kalihack. – Chyba Kathe?

– Kathe to zdrobnienie od Kathrin. Jej nie wyszło.

– Co, nie wydała się? Taka szpara i żaden...?

– Wydała się za pana Krügera. Był zastępcą buchaltera w ratuszu. W niedzielę wzięli ślub, a w poniedziałek zabrali go do armii. Pewnie nawet nie zdążyli zrobić tego, co się robi w nocy poślubnej. Krüger jeszcze nie wrócił z frontu.

– Już nie wróci.

– Kathrin to przeczuwa. Nawet ubiera się jak wdowa.

– I nikt jej...?

– Jest pokojówką w Schwarzer Adler. Takie czasy, że kobieta musi na siebie zarobić, bo kto da jej jeść?

Kalihack przytakuje, jakby zgadzał się z tym, co usłyszał od Rateia. Ma jednak co innego w głowie, ale tego nie ujawnia. Stara się przypomnieć sobie, gdzie mieszkała Kathrin.

– Nadburmistrz, kiedy byłem u niego w marcu, wyczuł, że mam trochę grosza w szkatule. Coś gadał o budowie domów dla tych... – Kalihack zapomniał, jak Finke nazwał wysiedleńców z terenów, które

po wojnie wróciły do Polski, którzy nie przyjęli polskiego obywatelstwa.

- Podobno dużo ich przyjechało do Grünbergu.

- Optanci - przypomina sobie Ratei. - Tak ich nazywa nasz komendant.

- Na szczęście jeszcze zanim zaczął się krach, zdążyłem zamienić nasze coraz mniej warte marki na dolary. Teraz trzeba by je mądrze ulokować, żeby na siebie zarabiał. Czasy, Peter, takie, że...

- Już nie z dnia na dzień, a z godziny na godzinę wszystko drożeje. Moja Emmi idzie rano do sklepu po chleb i co tam jeszcze potrzeba w kuchni, i nie wie, z czym wróci. Na koniec wojny bochenek kosztował trzydzieści fenigów. Wczoraj za taki sam Emmi zapłaciła trzy i pół marki. Dziś za trzy marki dostała dwie kajzerki. W poniedziałek pewnie nie starczy na jedną bułkę.

- Powiedziałeś, że wszystko drożeje w mgnieniu oka. To prawda. Już drożeje, ale jeszcze nie tak szybko, jak będzie drożało. Wczoraj chleb kosztował trzy i pół marki. Ile będzie kosztował za tydzień, tego nikt nie wie. Może dwadzieścia, może pięćdziesiąt, może nawet sto marek. A zimą tysiąc. Za rok, jeżeli nic się nie zmieni, twoja Emmi będzie szła do piekarza z workiem pieniędzy. Dlatego ten, kto ma szmal, powinien go ulokować w czymś, co tak szybko nie straci na wartości.

- Mnie, Josef, ten sprobem nie dotyczy - śmieje się Ratei. - W policji zarobki są byle jakie. Tego, co przynoszę do domu, ledwie wystarcza na przeżycie. Ma być lepiej. Jedni pytają, kiedy? Drudzy mówią, że lepiej już było.

- Iść w budowę domów dla opantów w Grünbergu? - pyta Kalihack bardziej siebie niż Rateia. - A jeśli stracę? To może kupić coś pewniejszego. Jakby...? Jakby dochodową winnicę? Ile tu kiedyś było winiarni!

- Było.

- A co, już nie ma?

- Są, są, ale dużo mniej.

- To miasto żyło z wina.

- Z wina i sukna.

- Z wina, sukna i Beuchelta - śmieje się Kalihack, jakby powiedział coś groteskowego.

- Teraz przede wszystkim z Beuchelta.



– Jednak winnica...

– Winnica to przegrany interes, Josef. Jak nie przymrozek, to gradobicie albo inne zmartwienie. Cztery lata temu jeszcze się opłacało. Armia wzięła wszystko, co wyprodukowali tutejsi winiarze.

– Armia?

– Podpity żołnierz ofiarniej się bije. A jak dowódca zapowie, że po wygranej bitwie znowu dostanie kwaterkę wina, to żołnierz przestaje myśleć.

– Skąd tyle wiesz?

– Skąd, skąd? Przecież byłem na froncie.

– Prawda.

– Gdyby grünberskie wino było takie jak reńskie... Naśmiewają się, że to ocet. Kwas, co wypala żołądek. Zresztą, kto w dzisiejszych czasach pije wino? Piwo co innego - twierdzi Ratei, wyciągając rękę po kufel. – A wiesz dlaczego odszedłem z Gremplera? – Kalihack wzrusza ramionami, jakby nie był ciekawy, mimo to Ratei wyjaśnia: – Gdybym sam się nie zwolnił, dyrektor Bürgmann by mnie zwolnił. Te skrzynki, co ich narobiłem u Gremplera, od końca wojny stoją w magazynie pełne butelek sekta. Tylko Landkarte jeszcze się sprzedaje, ale tego taki jak ty czy ja nie weźmie do ust. Za mocno gazowane. Co innego winiak. Na winiak jest duży zbyt. I pewnie będzie długo.

– Takie czasy, Peter. – Kalihack rozciąga ręce. Pochyliwszy się nad stolikiem, krzywi usta, po czym mówi niezadowolony: – A ja myślałem, że za to, co mam w szkatule, kupię winnicę w Grünbergu i ciebie zrobię jej szefem.

– Żeby być winiarzem, trzeba się na tym znać. Ja w winiarni zbijałem skrzynki na butelki. Jak nie było bednarza, reperowałem beczki... Wiem jak trzymać dłuto, hebel, zacisk sznurowy, do czego służy kostka szlifiarska, szpachelka. Josef, ja znam się na stolarce. Teraz jestem za policjanta, ale to nie dla mnie robota. Ja muszę mieć coś konkretnego, coś...

– A jakby kopalnia? – pyta Kalihack.

– Nie ma za dużego zbytu węgla. Wokół Grünbergu było tyle kopalń... Zostały może dwie, trzy. Jeszcze trochę i te zostaną zamknięte.

– A jakby hotel?

- Kupiłbyś hotel? U nas? Który?
- Taki z restauracją. Dla gości z pełnymi szkatułami.
- Kaiserhof – podpowiada Ratei. – Najwięcej gości ma ten na Luisenthal. W niedzielę dużo gości jest w Oderwald, w pozostałe dni i tam pustka.
- A jakby Schwarzer Adler, ale tylko z Kathrin? – śmieje się Kalihack, zacierając dłonie.
- Ten tam – Ratei pochyla się nad stolikiem i kątem oka pokazuje na mężczyznę gładko uczesanego, w prążkowanej marynarce i koszuli z kołnierzykiem opiętym krawatem – co chwila zezuje w naszą stronę.
- Już gdzieś go widziałem. Gdzie i kiedy? – Kalihack próbuje sobie przypomnieć i gdy dochodzi do wniosku, że jednak nie pamięta, mówi: – W tym tygodniu jestem w Grünbergu. Za pięć dni będę w Berlinie. Potem pojedę do Kassel i Essen. Od połowy lipca będę na Ummanz i nad Hildensee. Ludzie mnie zapamiętują, a ja...
- Pewnie usłyszał, o czym rozmawiamy. Ja bym na niego uważał.
- Tyś, Peter, policjant nawet poza służbą.
- Ano, tak to jest.
- Jutro wieczorem przyjdiesz do Deutsche Reichshalle?
- Tyle marek wydać lekką ręką za bilet...
- Musisz przyjść. Zobaczysz, jak się zostaje mistrzem Europy. – Kalihack podnosi zaciśniętą pięść. – Drugi będzie Randjärv z Estonii, trzeci... Austriak Gurgull albo Polak Maksymiak.
- W sobotę od rana mam służbę. Dziesięć bitych godzin na nogach.
- Musisz.
- To przyjdę – zapewnia go Ratei i się zastanawia, czy będzie lepiej, jeżeli przyjdzie do restauracji w mundurze, czy w cywilnym ubraniu. W mundurze, postanawia. Że niby służbowo. Nie będzie musiał płacić za bilet wstępu, a i ober inaczej go potraktuje.

Leoni Baubach wolałaby pracować tylko w dzień. Jednak co dwa tygodnie musi być kilkanaście minut przed ósmą wieczorem w hotelu Schwarzer Adler, ażeby zmienić Kathrin Krüger. Dwanaście godzin później przyjdzie jej zmienniczka, Hedwig Knoblich. Pomimo tego że w dzień Leoni ma dużo więcej roboty niż po zmroku, zmianę dzienną lubi bardziej niż nockę. Najtrudniejsza jest do zniesienia każda noc z piątku na sobotę i z soboty na niedzielę, gdy do miasta przyjeżdżają trupy sceniczne z Glogau, Breslau i niekiedy z Berlina. Aktorzy późno schodzą ze sceny i dlatego późno wracają do hotelu. Zanim położą się do łóżek, wołają o piwo, a bywa, że i o sekt czy winiak, po które Leoni musi schodzić do bufetu na parterze. Zdarzyło się, nie raz i nie dwa, że podchmielony komediant klepnął Leoni w pośladek. Dawniej, gdy gość hotelowy próbował wsunąć rękę pod jej fartuch, odskakiwała jak na sprężynie. Od dnia, kiedy Hedwig powiedziała, że to jest przyjemne, przestała robić wzburzoną minę, najwyżej odwraca głowę i uśmiecha się pod nosem.

Tyle razy Leoni zbierała w sobie odwagę, żeby pochwalić się koleżankom Thomasem, który jeszcze zimą obiecywał jej małżeństwo, pod warunkiem że pójdzie z nim do łóżka. Bała się, że pierwszy raz będzie bolało albo czeka ją jeszcze coś trudniejszego do zniesienia. Co, tego nie wiedziała i wstydziła się zapytać Kathrin, mimo że kilka razy jej się radziła w sprawie warunku Thomasa. Najstarsza z nich trzech, Hedwig, twierdziła, że to nic takiego. Mało tego, po pierwszym razie będzie się dopominała powtarzania. Najlepiej szeroko rozłożyć nogi, zamknąć oczy i robić to, czego chce mężczyzna. Przecież po to Wszechmogący stworzył matkę Ewę i nakazał jej służyć ojcu Adamowi. Dopiero w zeszłym miesiącu Leoni odważyła się odpowiedzieć na prośbę Thomasa. Zabolało na początku, ale nie krzyknęła, a jak poradziła Hedwig, otworzyła usta, skrzywiła się i dla dodania sobie odwagi cicho jęknęła. Potem było przyjemniej. Od tamtego przedpołudnia Leoni nigdy nie odpowiedziała Thomasowi, że nie zrobi tego, czego on coraz częściej od niej się domaga. Przecież zostanie jego żoną, to więc, że godzi się, aby jeszcze przed ślubem robił z nią w łóżku to, co inni robią dopiero po ślubie, nie ma znaczenia. Każda zdrowa panna w jej wieku myśli jedynie o tym, kiedy wyjdzie za mąż i jaki będzie ten, który ją zechce. I każda wie, że musi urodzić kilkoro dzieci, najlepiej chłopców. Im wcześniej się to stanie, tym lepiej.

Leoni już w drzwiach pozdrawia recepcjonistę, pana Geissmanna. Uważa go za bardzo starego. Nie domyśla się, że jest o rok młodszy od jej ojca. Zanim dostał wezwanie do stawienia się w biurze meldunkowym przy Züllichauerstrasse, gdzie otrzymał kartę wcielenia do batalionu zapasowego 3. Posensches Infanterie-Regiment Nr. 58, był strażnikiem leśnym. Z wojny wrócił bez prawej nogi poniżej kolana. Kiedyś powiedział Leoni, że stracił ją na polu bitewnym pod Longwy. Jak do tego doszło, nie miała odwagi zapytać. Nie pytała też, czy gdy wspiera się na protezie i lasce, to kikut go pobolewa. Wszystkich grünberczyków, którzy wrócili z wojny okaleczeni, Leoni uznaje za bohaterów i odnosi się do nich z nie mniejszym szacunkiem, niż nakazuje pastor podczas niedzielnych nabożeństw w Zum Garten Christi.

– Takich gości chyba nigdy nie było w naszym hotelu – informuje ją Geissmann. – Ledwie mieszczą się w drzwiach. Same wielkoludy. Serb, Duńczyk, dwóch Austriaków, Litwin, Łotysz, Czech, Polak, Holendrzy, Madziarzy. Jeden, taki największy blondas, aż z Estonii. Więcej zagranicznych niż Niemców. Przyjechali na te mistrzostwa, co pisali o nich w gazetach.

Wczoraj, kiedy było po wszystkim, Thomas powiedział, że w niedzielę odbędą się zapaśnicze mistrzostwa atletów. Do Grünbergu przyjadą najsilniejsi mężczyźni z całej Europy. Każdy jest na co najmniej trzy łokcie wysoki i waży ze trzy cetnary. Narzeczony Leoni pracuje jako pomocnik kelnera w restauracji Deutsche Reichshalle, gdzie odbędą się te mistrzostwa. Zaproponował jej, aby tam przyszła i z zaplecza przyglądała się zapaśnikom, z czego się ucieszyła, ale zaraz powiedziała, że w sobotę, tak jak przez cały tydzień, przed ósmą wieczorem musi przyjść do Schwarzer Adler i zmienić Kathrin Krüger.

– Kathe! Mój Boże! – krzyczy Leoni zaraz po przekroczeniu progu służbówki dla pokojówek. – Jak ty się nie wstydzisz?!

Niczym nie przykryta Kathrin Krüger leży na brzegu sofy. Lewą nogę zgiętą w kolanie opiera o podłogę. Osłoniętą włosami lewą ręką dotyka podłogi. Głowę ma zwróconą do ściany, jakby się wstydziła swojej nagości. Leoni dostrzega coś siniego na szyi Kathrin. Uznaje to za cień rzucony przez lampę wiszącą u sufitu. Chcesz mnie wystraszyć, dlatego udajesz nieżywą? A może znowu się upiłaś, Kathe? Pan

Wachnik będzie niezadowolony. Leoni myśli jeszcze o tym, że Kathrin znowu zrobiła to, czego ona nigdy by nie zrobiła z gościem hotelowym nawet za dolary, a co niemal każdego południa robi z Thomasem, ale przecież to nic złego, skoro niedługo zostanie jego żoną.

– Byś się wstydziła, Kathe! – wybucha, zrobiwszy dwa kroki w stronę sofy. – Przestań się wygłupiać, świntucho! – Już się schyla, żeby podnieść fartuszek leżący na podłodze i narzucić go na nagą Kathrin, gdy wydaje jej się to trochę dziwne. Wybująe piersi kobiety, których nie tylko Leoni jej zazdrości, nie poruszają się przy oddechu. Czubkiem kciuka ledwie dotyka jej ramienia i nieruchomieje. – Panie Geissmann! Panie Geissmann! – Leoni wybiega na schody, wzywa recepcjonistę.

– Ciszej! Goście! Tak nie wolno. Gdyby pan Wachnik to usłyszał...

– Panie Geissmann, tam!... Kathe!

– Co, Kathe?

– Na sofie.

– Jak to ona.

– Nie oddycha. – Leoni opuszcza lewą rękę i odwraca głowę do ściany. – Leży. O tak, panie Geissmann. Ona...

– Znowu się wygłupia.

– Nie, panie Geissmann. Ona chyba nie...

– Kathe? – Recepcjonista nieruchomieje. Dopiero teraz przypomina sobie, co powiedziała Kathrin jakieś dwie, trzy godziny temu. Później do jego uszu wpadał ni to jęk, ni charkot, chwilami zamieniający się w łomot. Ponieważ nie było to pierwszy raz, gdy Kathrin miała zmianę dzienną, odgłosy dochodzące ze służbówki pokojówek uznał za coś, na co nie powinien zwracać uwagi. Ledwie Kathrin została żoną Kurta Krügera, on dostał wezwanie do armii. Bezdzienna, młoda mężatka ma prawo zachowywać się trochę inaczej niż te kobiety, które urodziły po kilkoro dzieci i co noc mogą się przytulać do swoich mężów. A przecież chodzi nie tylko o przytulanie. – Trzeba dać znać panu Wachnikowi – mówi Geissmann takim tonem, jakby przewidywał najgorsze. – Nie zaglądam tam. Chodzi o ślady – dodaje, przypominając sobie zakaz powtarzany przez poprzednika komisarza Flügela.

– A jeżeli Kathrin znowu udaje? – pyta Leoni.

– Nie żyje – oznajmia doktor Brucks wezwany do hotelu przez dyrektora Wachnika jeszcze przed przyjściem młodszego asystenta kryminalnego Schreitera.

– Rzeczywiście nie daje oznak życia. – Pomimo stwierdzenia lekarza podwachmistrz robi dwa kroki w stronę sofy i pochyla się nad ciałem, jakby sprawdzał, czy doktor Brucks się nie pomylił. Czuje woń czegoś, co może być perfumami, kremem albo pachnącym mydłem, jaką jego starsza siostra roznosi po mieszkaniu, gdy wraca do domu ze szpitala Bethesdy, gdzie jest pomocnicą pielęgniarki. – Czyżby zgon naturalny, panie doktorze? Ja bym do tego podszedł z rezerwą.

– W zasadzie nie dopuszczam naturalnej przyczyny śmierci, ale i jej nie wykluczam. Tętniak mógł ulec pęknięciu? Mógł. Na ogół nikt spośród nas nie wie, że go ma. Tętniak może zaniknąć bez interwencji lekarza. Może stać się przyczyną zgonu podczas wysiłku. Spółkowanie płciowe z pewnością jest wysiłkiem. Czy mamy do czynienia z pękniętym tętnikiem? W tej chwili nie potrafię stwierdzić, co...

– To by nie wymagało prowadzenia śledztwa – młodszy asystent kryminalny przerywa Brucksowi, czego lekarz nie toleruje. Gdyby analogicznie zachowała się pielęgniarka w jego klinice, już by ją tak obsztorcował, że na drugi raz najpierw by się zastanowiła, czy warto się odzywać.

– Moim zdaniem w Schwarzer Adler doszło do zabójstwa – mówi medyk. Dyrektor Wachnik już otwiera usta, aby zapytać, na podstawie czego doktor doszedł do tego wniosku, gdy Brucks to zauważa i się poprawia. – Doszło do zabójstwa w tym lub innym pomieszczeniu. Raczej w tym. Wyraźny brak śladów przenoszenia ciała, ale pozostała niemiała woń męskiego potu. To się stało najwyżej dwie, trzy godziny temu. Nie wcześniej niż o czwartej i nie później niż o siódmej. – Doktor Brucks nabiera powietrza do płuc przez szeroko otwarte usta i powoli wypuszcza je nosem.

To samo robi dyrektor Wachnik. Podwachmistrz Schreiter również mocno zaciąga się powietrzem, chwilę stoi nieruchomo z głową lekko zwieszoną na piersi i przymkniętymi oczami, jakby analizował to, co się

wydarzyło w hotelu. Nie czuje woni potu, ale i nie poddaje w wątpliwość stwierdzenia Brucksa. Uważa, że lekarz chorób kobiecych ma tyle wprawy, że policjant kryminalny nie powinien poddawać w wątpliwość jego hipotezy. Ponadto nazwisko doktora znajduje się na liście biegłych sądowych. Po studiach na uniwersytecie w Breslau Schreiter wrócił do Grünbergu, gdzie jest najmłodszym wśród czterech detektywów i jedynym z wyższym wykształceniem prawniczym. Widział najwyżej trzech denatów, lecz nigdy nie miał okazji poprowadzić śledztwa samodzielnie. Zawsze towarzyszył komisarzowi Flügelowi lub wachmistrzowi Normannowi i bezdyskusyjnie wykonywał ich polecenia. Niekiedy się z nimi nie zgadzał, lecz pamiętał, że obowiązkiem podwładnego jest robić to, co każe starszy stopniem. Teraz ma okazję popisać się tym, czego uczono go zimą w Liegnitz na kursie dla kandydatów na asystentów kryminalnych. Dyrektor hotelu powiadomił szefa grünberskiej policji o tym, co się wydarzyło w Schwarzer Adler i że denatka była pokojówką. Komisarz Flügel uznał to za sprawę akuratną dla podwachmistrza Schreitera.

– Jak już zaznaczyłem, śmierć nastąpiła między czwartą a siódmą. Być może denatka została zgwałcona wcześniej. Być może najpierw zamordowana i dopiero potem zgwałcona. Gdyby przyjąć to drugie, mamy do czynienia z profanacją zwłok. Nekrofilia. Rodzaj rzadko spotykanego zbrojenia. O ile wiem, w naszym okręgu sądowym na razie to się nie zdarzyło. – Doktor Brucks nie przyznaje się, że od dawna docierają do jego uszu niepochlebne opinie o pokojówkach pracujących w grünberskich hotelach. Jako właściciel kliniki chorób kobiecych i lekarz sądowy postanowił o tym najpierw porozmawiać z dyrektorem hotelu Schwarzer Adler, ale z powodu niedostatku czasu dotąd tego nie zrobił. Teraz tego żałuje. Zdecydował, że mimo iż nie ma takiego prawa, po zakończeniu śledztwa zażąda od Wachnika lepszego doboru personelu hotelowego. – Więcej będę mógł powiedzieć po bardziej szczegółowej obdukcji, oczywiście pod warunkiem że panowie z Oberthostrasse 5 uznają ją za niezbędną i zlecą jej przeprowadzenie. Niestety, nie ma takiej możliwości w Grünbergu, dlatego ciało trzeba zawieźć do Breslau.

– Powiedział pan, doktorze Brucks, że zgon nastąpił jakieś dwie, trzy godziny temu – odzywa się dyrektor Wachnik, jakby sprawdzał,

czy dobrze zrozumiał to, co usłyszał. – Czyli między czwartą a siódmą. Jest to ta pora, kiedy pokojówka powinna wykonywać swoje czynności poza tym pomieszczeniem. I pewnie jak zawsze je wykonywała, gdyż dotąd ze strony gości nie było żadnych skarg na Krüger. A może zgon nastąpił o wcześniejszej porze?

Lekarz najpierw kręci głową, dając Wachnikowi do zrozumienia, że nie ma mowy o pomyłce, a gdy dyrektor hotelu dalej ma wątpliwości, Brucks zwraca się tylko do niego:

– Jedną z metod badania zwłok polega na umieszczeniu termometru w głębszej partii ciała. Na przykład włożeniu do ust czy odbytu. W przypadku kobiety zgwałconej i zamordowanej, do wagi, ale to robi się w wyjątkowych okolicznościach. Do czasu zrównania z temperaturą otoczenia, temperatura zwłok spada o dziesięć stopni w ciągu godziny. Niestety, jest to metoda niedoskonała i niesie ryzyko błędu, gdyż zaraz po śmierci temperatura rośnie, a dopiero potem zaczyna spadać. Nie radzę na niej polegać. – Doktor Brucks zerka na Schreitera, jakby spodziewał się, że policjant potwierdzi to, co musiał usłyszeć na kursie w Liegnitz. Młodszy asystent kryminalny nie może sobie przypomnieć tamtych zajęć w szpitalnym prosektorium, mimo to przytakuje. – Pewniejsza jest druga metoda badania zwłok w miejscu zabójstwa. Pewniejsza i na ogół stosowana przez lekarzy medycyny sądowej. Chodzi o *livores mortis*, czyli tak zwane plamy opadowe, charakterystyczne przebarwienia skóry w okolicy, gdzie wskutek spadku ciśnienia i siły ciężenia krew przemieściła się po śmierci. – Brucks jest przekonany, że dyrektor Wachnik nie zrozumiał jego wypowiedzi. Tym lepiej. Zarządca hotelu nie będzie zadawał pytań, na które lekarz nie musi odpowiadać, ale ze względu na opinię o swoim zawodzie nigdy nie milczy. Policjant pionu kryminalnego najpewniej wie, co się dzieje z ciałem nieboszczyka. Brucks znowu zerka na Schreitera, jakby oczekiwał potwierdzenia. Nie doczekawszy się nawet cichego bąknięcia, kontynuuje: – Oczywiście to, o czym przed chwilą mówiłem, nie dzieje się szaleńczo szybko. Ten proces jak wszystko w przyrodzie następuje powoli. Pierwszy etap, dwie godziny po śmierci, to ustępowanie plam pod uciskiem. Po zmianie położenia zwłok, na przykład po ich obróceniu z brzucha na plecy, plamy także zmieniają swoją lokalizację. Potem ulegają stopniowemu utrwaleniu i po uciśnięciu skóry nad nimi już nie powracają. W końcu



nie ustępują i nawet po zmianie usytuowania zwłok nie zmieniają swojego położenia. Ten etap zacznie się najwcześniej za jakieś dziesięć godzin.

Schreiter stara się przypomnieć sobie, co lekarz sądowy z Breslau na kursie mówił na temat plam opadawach. Wtedy patolog podniósł prześcieradło i odsłonił część klatki piersiowej nieboszczyka. Pokazawszy na fioletowo-sine przebarwienia na skórze, przyciskał je kciukiem lewej dłoni i kazał słuchaczom w nie się wpatrywać. Plamy ani się nie zmniejszały, ani nie powiększały, ani nie znikwały. Miało to potwierdzić, że zgon nastąpił więcej niż dziesięć godzin przed rozpoczęciem zajęć w prosektorium. O czym jeszcze wspominał patolog, Schreiter nie wie, gdyż tak jak kilku innych kandydatów na starszych asystentów kryminalnych raptownie dostał takich torsji, że ledwie zdążył dobiec do łazienki. Tego dnia nie poszedł do stołówki na obiad. Jeszcze wieczorem nie otwierał ust i oddychał tylko przez nos, mimo tego czuł trupią woń.

– Jaka będzie decyzja? – Brucks zwraca się do podwachmistrza Schreitera. – Czy policję interesuje godzina zgonu potwierdzona przez biegłego sądowego? Przypominam, panie młodszy asystencie kryminalny, że będzie trzeba pokryć koszty przetransportowania denatki do Breslau i zapłacić za badanie.

– Nie wyjaśnił pan, doktorze, co było przyczyną śmierci – odzywa się Schreiter, pokazując głową na nieboszczkę.

– Gdyby doszło do badania w Breslau, z pewnością patolog, który wykonywałby obdukcję, wykluczyłby zgon z powodu pęknięcia tętniaka aorty. Potwierdziłby natomiast, czego jestem pewny, że kobieta została uduszona przy pomocy... – Lekarz rozgląda się po pokoiku. – Prawdopodobnie została uduszona przy pomocy paska, sznura lub czegoś podobnego. Świadczy o tym wyraźnie zaznaczona bruzda na szyi i sinica twarzy w okolicach oczodołowych oraz, czego nie zbadałem, a czego jestem pewny, wyboczyny podspojówkowe. Sama tego nie zrobiła.

– Zabójstwo więc? – pyta młodszy asystent kryminalny, na co doktor Brucks odpowiada skinieniem głową.

Schreiter zastanawia się, jaką decyzję podejmie komisarz Flügel, kiedy mu opowie, co się stało w hotelu. On, gdyby był szefem policji

kryminalnej w Grünbergu, kazałyby przewieźć zwłoki Kathrin Krüger do chłodni w szpitalu i za trzy dni, jak to jest w zwyczaju, pochować je na cmentarzu Grüner Kreuz. Nikt nie przywróci życia pokojówce. A to, kto ją zamordował, kiedy i dlaczego, uda się wyjaśnić albo nie. W każdym razie podwachmistrzowi Schreiterowi jako dyżurnemu policjantowi kryminalnemu niczego nie wolno zaniedbać. Od śledztwa, które zaraz powinien rozpocząć, zależy to, kiedy zostanie starszym asystentem, a potem już tylko krok do posady sekretarza kryminalnego, tym bardziej że jest jedynym policjantem w Grünbergu z dyplomem prawnika. Jego marzenie to powrót do Breslau, które poznał w trakcie studiów na uniwersytecie. Gdyby jednak inspektor Brachmann zaproponował mu pracę w dyrekcji policji w Liegnitz, nie zastanawiałby się nawet pół minuty. Z Liegnitz do Breslau jest osiemdziesiąt kilometrów. Dwie godziny jazdy pociągiem. Schreiter już dawno postanowił, że za nic w świecie nie zostanie w Grünbergu, chyba że komisarz Flügel zajmie miejsce inspektora Brachmanna w Liegnitz i wtedy on awansuje na szefa grünberskiej policji kryminalnej.

– Zanim ciało zostanie zabrane do chłodni, a stamtąd dostarczone do Breslau lub furgon z zakładu pogrzebowego pana Kleinta przewiezie je do spopieliarni przy Rohrbuschweg, jeszcze jedno spostrzeżenie. Przed śmiercią denatka odbyła stosunek płciowy – mówi lekarz, podnosząc fartuszek przykrywający krocze pokojówki, jakby chciał sprawdzić, czy się nie pomylił. Wachnik się rumieni i ucieka wzrokiem na podłogę. Schreiter to zauważa. – Tym razem zrobiła to dobrowolnie czy był to gwałt? – ni to pyta, ni potwierdza medyk, kierując wzrok na dyrektora hotelu.

– W oparciu o jakie przesłanki sformułował pan ten daleko idący wniosek, doktorze Brucks? – chce wiedzieć Schreiter, coraz śmielej się zachowując.

– W oparciu o ślady pozostawione na udach denatki i na sofie. To ejakulat, panie podwachmistrzu. Jego znaczna ilość, a jest tego sporo, może oznaczać, że mężczyzna cierpi z powodu hiperspermii. To spostrzeżenie powinna wziąć pod uwagę policja, gdy będzie przesłuchiwała podejrzanych o zabójstwo. Prawdopodobnie dużo więcej materiału zachowało się w pochwie denatki – wyjaśnia doktor Brucks, jakby uważał Schreitera za dyletanta. – Można pobrać próbkę i starać

się ustalić dawcę, a zapewne i sprawcę zabójstwa, ale, ostrzegam, że będzie to kosztowało dużo więcej niż obdukcja. Takie badanie prowadzi jedynie pracownia w szpitalu Charité należąca do uniwersytetu w Berlinie. To po pierwsze. Po drugie, istotniejsze, jednak wręcz niemożliwe do wykonania: najpierw trzeba wskazać domniemanego sprawcę i pobrać od niego ejakulat do analizy porównawczej, panie młodszy asystencie kryminalny.

## 8

Podwachmistrz Schreiter postanowił, że ze szczegółami opowie komisarzowi Flügelowi o tym, co się wydarzyło w Schwarzer Adler. Dlatego w drodze z hotelu do pokoju sekretarza kryminalnego przy Oberthorstrasse 5 ułożył sobie wyczerpujący plan. Nie pominął nawet tego, że ofiarą jest bezdzietna pokojówka, żona Kurta Krügera, który zaraz po ślubie dostał kartę powołania do 3. Posensches Infanterie-Regiment Nr. 58 i dotąd nie wrócił z wojny. Jego pułk najpierw walczył nad Marną, potem został przerzucony na front wschodni. Czy tam Krüger zaginął, tego administracja wojskowa nie potwierdziła. Zdaniem doktora Brucksa, którego dyrektor Wachnik wezwał do hotelu jeszcze przed powiadomieniem policji, co jest naruszeniem prawa, Krüger została uduszona w znajdującej się na półpiętrze służbówce dla pokojówek, ale najpierw odbyła stosunek płciowy. Czy zrobiła to z własnej woli, czy też doszło do gwałtu, tego Schreiter jeszcze nie zaczął wyjaśniać. Nie zastanawiał się też, kto ją zamordował. Zanim tym się zajmie, musi dać znać doktorowi Brucksowi, czy policja zapłaci za przewiezienie ciała Kathrin Krüger do Breslau i zleci przeprowadzenie obdukcji przez tamtejszego patologa. Nie wspomniał o badaniu ejakulatu w pracowni berlińskiego uniwersytetu, przeczuwając, że komisarz Flügel go wyśmiej.

– Twierdzicie, Schreiter, że denatka była pokojówką. A jak jej nazwisko, no? – pyta sekretarz kryminalny. Flügel rzadko zagląda

do Schwarzer Adler, ale na podstawie doświadczenia zdobytego jeszcze w Liegnitz, gdzie przed przeniesieniem do Grünbergu był starszym asystentem, nie ma najlepszego zdania o pokojówkach zatrudnionych w hotelach. Uważa je za kobiety, które zawsze zrobią to, czego zażąda gość, oczywiście wyłącznie za pieniądze. Oficjalnie dyrektorzy hoteli tego nie nakazują, lecz i nie zabraniają, by pokojówki odpowiadały na indywidualne oczekiwania gości, a te najczęściej dotyczą usług cielesnych.

– Już wymieniłem jej nazwisko, panie sekretarzu kryminalny.

– Schreiter, wy...

– Ofiarą jest pani Krüger, żona tego Krügera, który zaraz po ślubie dostał kartę powołania na front i dotąd nie wrócił do małżonki.

– Bodajże Kathrin – śmieje się Flügel. – Taka nie za wysoka, troszkę przy kości, ale nie to, żeby była gruba. Gruba to jest pani... Mniejsza z tym. Ona jest pulchniutka. Ma wszystko, co powinna mieć powabna kobieta. Nie wiedziałem, że to mężatka.

– Kathrin Krüger – powtarza Schreiter, zaglądając do notesu, jakby sprawdzał, czy na pewno o nią chodzi. – Małżonka Kurta Krügera, zastępcy buchaltera w magistracie, który dotąd nie wrócił z wojny – mówi trzeci raz, dodając, że dlatego na prośbę pana Blümela, prezesa oddziału związku kombatantów wojennych, dyrektor Wachnik zatrudnił ją jako pokojówkę.

– Dajcie sobie, Schreiter, spokój z tą Krüger. Kogo obchodzi jakaś pokojówka?

– Zabójstwo w hotelu, panie komisarzu – nie ustępuje młodszy asystent kryminalny. – Przepisy nakazują, aby...

– Nie pierwsze zabójstwo w Schwarzer Adler. I nie ostatnie. Jak nie w tym, to w innym hotelu. Im więcej i częściej, tym lepiej, podwachmistrzu Schreiter. Gdyby nie było zabójstw, policja kryminalna byłaby niepotrzebna.

– Pani Krüger została uduszona w biały dzień podczas pracy. Zgwałcona i uduszona albo najpierw uduszona i potem zgwałcona.

– Skąd wiecie, Schreiter, że Krüger została uduszona? A może serduszko? Może tętniak aorty? Może coś łyknęła? Może... – Flügel szuka w pamięci przyczyn śmierci młodych kobiet, ale nic

mu nie przychodzi do głowy. – Na jakiej podstawie wysunęliście wniosek, że została uduszona?

– Doktor Brucks przeprowadził oględziny ciała na miejscu zbrodni. Jego zdaniem także odbyła stosunek cielesny.

– Jeżeli zrobiła to dobrowolnie...

– Doktor Brucks uważa, że mogła zostać przymuszona do tej czynności, to znaczy została zgwałcona. Czy na pewno, tego nie da się stwierdzić, chyba że w trakcie śledztwa ktoś się przyzna, w co nie wierzę.

– Skoro doktor Brucks twierdzi, że Krüger najpierw odbyła stosunek płciowy i potem została uduszona, to po co wieźć jej ciało do Breslau, no? Przecież wszystko wiadomo, Schreiter. Narażanie policji na zbędny wydatek jest tak samo nie-do-pu-szczal-ne, jak nie-do-peł-nie-nie obowiązków służbowych. Za to się odpowiada głową, podwachmistrzu Schreiter.

– Doktor Brucks uważa, że mogło to się odbyć w innej kolejności.

– Co, najpierw ją udusił i dopiero potem zgwałcił? U nas? Schreiter, za kogo wy mnie macie?

– To oznacza znieważenie zwłok. Sprawa bardzo poważna. Najpotworniejsza postać wypaczenia płciowego polegająca na lubieżnym bezczeszczeniu trupa. Ohyda.

– To tylko wersja robocza doktora Brucksa – mówi Flügel, łagodząc swoją ocenę tego, co powiedział młodszy asystent kryminalny. – Doktor mógł się pomylić.

– Dlatego bez względu na koszty naszym obowiązkiem jest przeprowadzenie śledztwa tak, aby postawić sprawcę przed sądem, który wymierzy mu sprawiedliwą karę – wyprężywszy się, recytuje podwachmistrz.

– Słusznie.

– Czyli kierujemy ciało denatki do zakładu medycyny sądowej w Breslau?

– Jesteście, Schreiter, od niedawna w naszej komendzie. Ile lat po studiach?

– Dokładnie rok.

– Ile po kursie?

– Za dwa dni będą trzy miesiące.

– A ja sześć lat. Sześć lat kieruję policją kryminalną w Grünbergu. Za mnie, oprócz wiedzy, mówi doświadczenie, podwachmistrzu Schreiter. W policji wiedza też się liczy, lecz doświadczenie jest ważniejsze. Do-świad-cze-nie! Nie przeczę, że nie powinniśmy zajmować się zabójstwem tej Krüger, ale nie za wszelką cenę. Są i inne sprawy, także ważne.

– Oczywiście.

– To mnie rozumiecie?

– Rozumiem. I nie rozumiem.

– Czy pytaliście doktora Brucksa, ile będzie kosztowało przewiezienie zwłok od nas do Breslau i wykonanie badania, które potwierdzi to, co policja już wie? – Nie czekając na odpowiedź asystenta, Flügel zarzuca mu, że nie interesuje się kosztami. – A ja muszę dbać o finanse. Niekonieczne wydatki ograniczyć do minimum. Najlepiej całkowicie z nich zrezygnować. Takie dostałem polecenie. Jest kryzys gospodarczy, finansowy...? Jest. Niemcy znalazły się na skraju zapaści.

– Ale...

– Co innego, Schreiter, gdyby została zamordowana, dajmy na to, któraś córka profesora Schmidta. Tego, który napisał historię Grünbergu. O, wtedy pewnie sam nadburmistrz Finke by się domagał przeprowadzenia wyczerpującego śledztwa. Nawiasem mówiąc, powinniście, Schreiter, wziąć przykład ze starszego wachmistrza Normanna i odzalaować te dziesięć marek na książkę profesora Schmidta. Wyczerpująco przedstawione dzieje naszego miasta od najdawniejszych czasów. Wy-czer-pu-ją-co. Sam mam tę publikację z dedykacją autora.

– Pomyślę o tym – odpowiada Schreiter pewny, że nie wyda dziesięciu marek na książkę, która nigdy nie będzie mu potrzebna. Co innego, gdyby chodziło o dzieje Breslau czy Liegnitz. O mieszkaniu w jednym z tych miast marzył już jako student prawa. Jeszcze nie stracił nadziei, że któregoś dnia to się stanie. Jeżeli mu się uda wskazać zabójcę Kathrin Krüger, to napisze podanie do dyrekcji policji. Inspektor Brachmann powinien je załatwić tak, żeby przeniesienie się udało.

– Teraz, podwachmistrzu, wróćcie do hotelu i przesłuchacie kogo trzeba – poleca komisarz Flügel. – Nie wymagam od was, abyście się spieszyli. Co nagle, jak to mówią, to po diable. Spieszcie się, ale powoli. A doktorowi Brucksowi powiedzcie, że na przewiezienie zwłok tej Krüger i badanie w Breslau policja nie ma pieniędzy. Zresztą wiadomo, że przyczyną jej śmierci było zgwałcenie i uduszenie. Czym innym jest wskazanie zabójcy, a to wasze najważniejsze zadanie, Schreiter. Weźcie sobie do pomocy starszego wachmistrza Normanna. Albo nie. Sami musicie sobie poradzić. Normann będzie potrzebny jutro. Ma przyjechać inspektor Brachmann, to i znajdzie się odpowiedzialna robota dla Normanna. I jeszcze jedno, podwachmistrzu. Żadnych rozmów z dziennikarzami. Żadnych. Uważajcie na Mischkego. On tak potrafi człowieka podejść, że nie wiadomo kiedy największy niemowa się wygada. Napisze nawet to, czego nie powiedzieliście. I co mu zrobicie?

## 9

Schreiter jeszcze nie prowadził śledztwa samodzielnie. Kilka razy asystował komisarzowi Flügelowi, nawet podpowiadał mu wnioski i poprawiał błędy ortograficzne w raporcie, ale przecież to nie to samo, co układanie wnikliwych pytań na poczekaniu, zadawanie ich i jeszcze notowanie odpowiedzi. Z kursu dla asystentów kryminalnych zapamiętał, że pytania mają być takie, żeby jak najszybciej doprowadziły detektywa do winowajcy. Schreiter jednego był pewien: Kathrin Krüger zabił mężczyzna od niej większy i silniejszy. Taki, który się czegoś obawiał. Czego? Może tego, że ją zgwałcił i to się wyda? Gwałt jest przestępstwem zawsze karany więzieniem. A jeżeli pokojówka zrobiła to dobrowolnie, nie za darmo i nie pierwszy raz? Formalnie Kathrin Krüger jest mężatką od czterech lat, w rzeczywistości samotną kobietą, która musi zarabiać na swoje utrzymanie. Ile płaci jej dyrektor Wachnik za to, że zmienia pościel,

sprząta i pół doby jest na zawołanie gości? Na pewno mniej niż policja Schreiterowi jako młodszemu asystentowi kryminalnemu po studiach i specjalistycznym kursie, a przecież i jemu ledwie wystarcza od pierwszego do ostatniego dnia miesiąca. Na swoje szczęście jeszcze nie ma żony i dzieci, to i posucha w portfelu nie spędza mu snu z powiek. Podwachmistrz jest pełen wiary, że jeżeli uda mu się wytypować zabójcę Kathrin Krüger, to natychmiast zostanie asystentem kryminalnym, potem starszym asystentem albo i od razu sekretarzem kryminalnym i nikt nie będzie mu rozkazywał. Do tego czasu skończy się kryzys w Niemczech, o którym wspomniał komisarz Flügel.

Po rozmyślaniach trwających tyle, ile minut zajęło przejście z komisariatu przy Oberthorstrasse 5 do hotelu Schwarzer Adler, podwachmistrz Schreiter decyduje, że rozpocznie śledztwo od przeszukania służbówki pokojówek. Jeżeli tam znajdzie chociaż jeden banknot, będzie miał prawo oskarżyć Kathrin Krüger o czerpanie korzyści majątkowej z nierządu, za co grozi kara więzienia. Co innego, gdyby płaciła podatek, poddawała się badaniom lekarskim i stosowała się do norm określonych w przepisach. Schreiter zdaje sobie sprawę z tego, że oskarżanie zamordowanej nie ma sensu, ale tak nakazuje Kodeks karny, dlatego wywiąże się ze swojego zadania. Policjant musi stać na straży prawa nawet wtedy, gdy jest ono sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem. Po wszystkim może złożyć raport w tej sprawie, ale z góry wiadomo, że to nic nie da i jeszcze zwierzchnik go obsztorcuje.

Przez chwilę Schreiter zastanawia się, jak zareaguje komisarz Flügel, gdyby mu się nie udało wskazać zabójcy, a odpowiedzialnością za to, co się stało w hotelu, obciąży dyrektora Wachnika. W prawie jest paragraf umożliwiający wskazanie jako winnej tej osoby, która ułatwiła prowadzenie nierządu. Schreiter nie ma wątpliwości, że dając pracę Kathrin Krüger, Wachnik umożliwił jej osiąganie korzyści materialnej. Policjant musiałby udowodnić, że dyrektor świadomie zajmował się kuplerstwem, a przecież tego nie da się wykazać.

Przeszukanie służbówki nie zajęło mu więcej niż pół godziny. W szafie wisi sukienka bez kieszeni, w której Kathrin przyszła z domu do hotelu. Pod nią leżą wykrzywione sandały. Na stoliku stoi karafka do połowy napełniona wodą i dwie szklanki, za nimi wazonik z gałązką białego bzu. Zwisający z poręczy krzesła fartuch, w jaki ubierają się pokojówki w Schwarzer Adler zaraz po rozpoczęciu zmiany, ma dwie



kieszenie, obie są puste. Schreiter sprawdza, czy coś leży na podłodze pod sofą. Zagląda nawet za akwarelkę przedstawiającą pomnik pamięci wojny 1870-1871 stojący przed gmachem gimnazjum realnego przy Neumarkt. Nigdzie nie znajduje nawet jednego feniga. Stwierdza więc, że czynności wstępne należące do policjanta kryminalnego wykonał zgodnie z procedurą opisaną w regulaminie, a on nakazuje przeszukanie miejsca zabójstwa przed rozpoczęciem przesłuchania świadków i podejrzanych. O daktyloskopii jako metodzie zbierania śladów linii papilarnych zostawionych przez przestępcę słyszał troszkę na studiach i więcej podczas kursu w Liegnitz. Wspomniał o niej komisarzowi Flügelowi, a ten stwierdził, że nie ma pieniędzy na eksperymenty. Najważniejsze w prowadzeniu śledztwa jest doświadczenie i maglowanie podejrzanego tak długo, aż się przyzna. Podwachmistrz powinien więc rozpocząć przesłuchiwanie tych osób, które mogą stanąć przed sądem jako oskarżeni i świadkowie.

Schreiter uznaje, że najdogodniejszym pomieszczeniem, gdzie będzie przesłuchiwał, jest biuro dyrektora hotelu. Wachnik miał zamiar sprzeciwić się tej decyzji podwachmistrza, ale gdy policjant każe mu natychmiast wezwać recepcjonistę, bez protestu ustępuje. Pierwszy raz się zdarza, aby osoba, która nie mieszka w Schwarzer Adler i nie jest jego właścicielem, wydała polecenie dyrektorowi hotelu.

– Na co pan czeka, dyrektorze? – karci go policjant, lustrując biuro.  
– Nadburmistrz Finke nie ma takiego gabinetu.

Po tym, co usłyszał, Wachnik spodziewa się, że najgorsze dopiero przed nim. Na pewno poniedziałkowy „Grünberger Tageblatt” napisze o mistrzostwach zapaśników na pierwszej stronie, na samej górze. Na tak wielkie wydarzenie miasto czekało od siedmiuset lat – przypuszczalnie od takiego stwierdzenia zacznie autor informacji, którym będzie Mischke. Wachnik przeczytał monografię profesora Schmidta, dlatego uważa, że były ważniejsze zdarzenia w dziejach Grünbergu niż zapowiedziane mistrzostwa Europy w 1922 roku. Nie wszystkie zachowały się w jego głowie. Z kartek książki pamięta, że w mieście zatrzymali się car Rosji Mikołaj I, król Francji Karol X, elektor saski Friedrich August I, który równocześnie był władcą Polski jako August II Mocny. Królowie pruscy Friedrich II von Hohenzollern i Friedrich Wilhelm IV w drodze do Breslau zawsze nocowali w sąsiednim hotelu Zur Goldenen Krone. Gdzie się spotykał cesarz

Wilhelm II ze swoją kochanką Herminą, późniejszą żoną, tego dyrektor jeszcze się nie dowiedział. Gdyby w Schwarzer Adler, dyrektor kazałby odlać okolicznościową tablicę w brązie i zawiesić ją przy wejściu do hotelu.

Podobno wszystkie bilety na popołudniowe i wieczorne zmagania zapaśników zostały sprzedane. Wachnik żałuje, że zawody odbędą się w Deutsche Reichshalle, a nie w Schwarzer Adler. Lepszej reklamy restauracji i hotelu nikt by nie wymyślił. A jeżeli będzie je oglądał prezydent rejencji i wygra Kalihack, nadburmistrz Finke już może być pewny zwycięstwa w najbliższych wyborach. Na tej samej stronie, tyle że niżej, dziennik zamieści na pewno informację o zabójstwie pokojówki w Schwarzer Adler. I jeśli się wyda, że Krüger została najpierw zgwałcona i później zamordowana, żaden przyjezdny w najbliższych tygodniach nie zechce zatrzymać się w hotelu, którym on zarządza. Najlepiej by było, gdyby Schreiter jeszcze dziś wskazał zabójcę i żeby nikt spośród gości i pracowników nim się nie okazał. Dlatego bez protestu Wachnik zrobi to, co mu każe młodszy asystent kryminalny.

– Nazwisko, imię, imię ojca? – rzuca Schreiter, gdy utykając wysoki, lekko pochylony mężczyzna w butelkowej liberii ze złotym szamerowaniem wchodzi do gabinetu dyrektora. Zwróciwszy uwagę na łaskę, policjant pokazuje mu krzesło przed biurkiem.

– Geissmann Ewald Walther.

– Czym się zajmujecie, Geissmann?

– Niezadługo miną trzy lata, jak jestem za portiera w tym hotelu. Pan dyrektor Wachnik każe odpowiadać, że pracuję jako recepcjonista. Do wojny byłem strażnikiem leśnym. Kiedy wróciłem z frontu bez nogi – mężczyzna stuka łaską w protezę – związek weteranów wojennych...

– Były strażnik? Szkoda, że nie były policjant – zrobiwszy protekcyjną minę, Schreiter uśmiecha się szeroko. – Co możecie powiedzieć na temat tego morderstwa?

– Siedziałem jak zawsze za kontuarem w recepcji, kiedy panna Baubach, ta która przyszła zmienić panią Krüger, narobiła wrzasku. W tym tygodniu panna Baubach ma nocki. Powiedziałem, żeby była ciszej, bo to nie Oderwald. W hotelu ściany mają uszy, a ona wtedy...

Wzorem swojego zwierzchnika w komisariacie podwachmistrz Schreiter przecina ręką powietrze i krzywi usta lekceważąco. Po czym pyta:

– Waszym zdaniem, Geissmann, kto zamordował pokojówkę Krüger? Co możecie powiedzieć na ten temat? Tylko bez takich tam. Szybko i konkretnie. Jego nazwisko?

– Gdybym wiedział, panie młodszy asystencie kryminalny...

– Czy wam jako byłemu strażnikowi leśnemu, w pewnym sensie funkcjonariuszowi publicznemu, nikt nie wydał się podejrzany? – pyta łagodniejszym tonem Schreiter. W głowie ma coraz większą pustkę. Spośród pytań, które ułożył wtedy, kiedy Wachnik poszedł po recepcjonistę, zostało jeszcze jedno.

– Żeby kogoś oskarżyć, panie młodszy asystencie kryminalny, trzeba mieć niezbite dowody winy. Poszlaki to nie są dowody, chociaż, jak mówią, w każdej bajce jest troszkę prawdy. – Schreiter zgadza się z Geissmannem, ale nie mówi tego głośno. – Moje miejsce jest w recepcji. Dwanaście godzin. Niekiedy i więcej. Nawet za swoją potrzebą nie muszę daleko wychodzić. Za recepcją jest kantorek, przy nim porządna łazienka. Ja zdaję sobie sprawę z tego, panie młodszy asystencie kryminalny, co znaczy służba.

– Czyli nie wiecie, kto, i tego się nie domyślacie. A pokojówka Krüger, zanim została ofiarą, nic wam nie powiedziała? Może czymś się pochwaliła, na co wtedy nie zwróciliście uwagi? Kobiety najpierw pytlują jęzorem, potem tego żałują. Czyżby tak atrakcyjna i zapewne rozsądna kobieta niczego nie zauważyła, Geissmann?

– Kathrin miała swoje obowiązki, ja mam swoje – odpowiada recepcjonista. Nie podoba mu się to, jak z nim rozmawia podwachmistrz Schreiter. On, gdyby był policjantem kryminalnym, zadawałby pytania bardziej dociekliwie. I zaczęłby przesłuchanie od gości. Przecież nikt obcy nie wszedł do hotelu po to, żeby zabić Kathrin Krüger. To zrobił ktoś spośród tych, co zatrzymali się w Schwarzer Adler.

– Czyli nic nie wiecie i niczego nie widzieliście – policjant kwituje rozmowę z Geissmannem, wyraźnie niezadowolony. – A w czasie waszej służby w recepcji kto wchodził do hotelu?

– Ci, którzy tu mieszkają.

- Ktoś obcy?
- Nie dzielimy gości na swoich i obcych.
- A może ktoś wydał się wam dziwny?
- Zaraz po trzeciej pan Kalihack wyszedł z hotelu rozebrany jak na występ w cyrku.
- Sam?
- Przed nim szedł pan doktor Skarbeck.
- Pozostali goście?
- Teraz jest najwięcej siłaczy.
- Tego, Geissmann, nie musicie mi mówić.
- Poza panem Kalihackiem i panem doktorem Skarbeckiem nikt nie wychodził z hotelu. Chyba że do restauracji, ale przejście jest obok recepcji. Aha, zaraz po obiedzie wyszedł pan Maksymiak. Jeszcze nie wrócił. Pytał mnie o Ribbeckweg. Mówił, że tam mieszka jego stryjeczna siostra. Polka wydała się za Niemca. Mnie to nie zdziwiło, bo córka mojego starszego brata wyszła za Polaka, mieszka w Posen. Dawniej przyjeżdżała do Grünbergu, ale teraz jest granica, musowo mieć paszport i...
- O której godzinie pan Kalihack wrócił do hotelu?
- Pierwszy raz to tak za niecałą godzinę po tym, kiedy wyszedł z panem doktorem Skarbeckiem. Mówiłem, że rozebrany jak na występ w cyrku. Przed ratuszem na schodach był ten występ.
- Powiedzieliście: pierwszy raz. To znaczy, że po występie wrócił do hotelu i jeszcze raz wyszedł. Nie pytam, dokąd drugi raz, bo pewnie nie wiecie. A zapamiętaliście, Geissmann, o której godzinie wrócił?
- Jeszcze nie było szóstej. No, może już była. Najwyżej kwadrans po tym jak pan Kalihack wrócił, wyraźnie słyszałem coś jakby szwargot, trzask, skrzypienie na półpiętrze. Tam, gdzie jest służbówka pokojówek. Pewnie wtedy on...
- Kto?
- Kto, kto? Ten, co zabił Kathrin.
- Jego nazwisko?
- Trzeba było tam pójść i sprawdzić.
- Teraz plujecie sobie w brodę, Geissmann? Za późno.
- Gdyby to zdarzyło się pierwszy raz, pewnie bym poszedł, chociaż schody.. – Recepcjonista uderza laską o protezę. – A może i lepiej.

Jeszcze by i mnie... Panie podwachmistrzu, ja rozumiałem Kathrin. Kobieta młoda. Ni zamężna, ni wdowa i ni panna.

Schreiter jeszcze nie zdecydował, kogo następnego wezwie na przesłuchanie. Z Wachnikiem porozmawia na końcu. Zresztą rozmowę z dyrektorem uważa za stratę czasu, bo co on może powiedzieć na temat zabójstwa pokojówki, jeżeli całe popołudnie nie było go w hotelu? Może wcześniej ktoś się przyzna i przesłuchanie dyrektora będzie niepotrzebne.

– O, to może być ważne – odzywa się Geissmann po krótkim namyśle. – Wtedy, kiedy Kathrin sprzątała na korytarzu na pierwszym piętrze, słyszała rozmowę w pokoju. W którym, nie zapytałem. Moja wina. Byłoby teraz łatwiej.

– Ona wam to powiedziała?

– A kto by inny?

– I się nie domyślacie, o numer którego pokoju chodziło?

Recepcjonista kręci głową.

– Kathrin też powiedziała, że te mistrzostwa, co będą jutro w Deutsche Reichshalle, wygra pan Kalihack. Drugi będzie jakiś... – Geissmann urywa i się garbi. Po chwili milczenia przyznaje się, że nie zwrócił uwagi na nazwisko ani na narodowość tego, który przegra z Kalihackiem. Opiera się łokciami o biurko, za którym siedzi Schreiter, i dodaje ściszym głosem: – Te mistrzostwa, panie młodszy asystencie kryminalny, to nic innego jak wielki szwindel.

– Dlaczego szwindel?

– Oni – pokazuje ręką za siebie – wszystko wcześniej uzgodnili.

– Policję kryminalną, Geissmann, interesuje wyłącznie zabójstwo. Kto zabił pokojówkę Krüger?

– W takim razie ja nic więcej nie wiem.

Schreiter się uśmiecha, po czym nieśmiało pyta:

– A wy, Geissmann, z nią... tego, no... w nocy? Mąż nie wrócił z wojny. Pewnie i nie wróci. Kobieta młoda, samotna, wyposzczona, to czy taka nie jest chętna i warta grzechu, co?

– Panie młodszy asystencie kryminalny, Kathrin była dla mnie jak najmłodsza córka. Moja Trudchen jest w jej wieku. Po drugie, panie młodszy asystencie kryminalny, od dwudziestu ośmiu lat jestem żonaty.

Już mam czterech wnuków i dwie wnuczki. Niedługo będzie siódmy wnuk albo wnuczka.

– W nocy, kiedy jesteście sami i w hotelu nie ma za dużo gości... Krüger nigdy was nie kusiła?

– Proszę, aby pan podwachmistrz zadawał pytania dotyczące tego, co się działo na mojej zmianie w hotelu – stawia się recepcjonista. – Jeżeli potrafię na nie odpowiedzieć, to odpowiem.

Schreiter macha ręką, po czym pokazuje głową na drzwi, co oznacza, że nie ma więcej pytań.

– Geissmann, możecie odejść.

Gdy podwachmistrz się zastanawia, kogo jako następnego wezwać do gabinetu Wachnika, czuje głód. Postanawia, że zanim przesłucha kolejną osobę, a zanoszą się na prowadzenie śledztwa aż do rana, musi coś zjeść. Ale nie w restauracji hotelu Schwarzer Adler. Tu pewnie nic by nie zapłacił i byłby obsłużony co najmniej tak, jak ci, którzy jutro będą walczyli o tytuł mistrza Europy w zapasach. Gdyby jednak to doszło do uszu komisarza Flügela, musiałby się czerwienić. Od pierwszego dnia służby w policji Schreiter stara się przestrzegać regulaminów i procedur. Decyduje więc, że na późną kolację pójdzie do Deutsche Reichshalle. Przy okazji sprawdzi, jak wyglądają przygotowania do zawodów.

Podnosząc się zza biurka Wachnika przypomina sobie, że nie zapytał Geissmanna, czy ktoś spośród grünberczyków znajdował się w hotelu wtedy, kiedy doszło do zabójstwa. A komisarz Flügel właśnie na to kazał zwrócić uwagę. Nic to, po powrocie wezwie recepcjonistę ponownie. Do tego czasu Geissmann może przypomni sobie jeszcze coś, co dotąd nie przyszło do głowy Schreiterowi.

Geissmann jeszcze nigdy tak się nie spocił, jak podczas przesłuchania w pokoju dyrektora hotelu. Ma nie tylko koszulę mokną na plecach

i pod pachami, lecz i kalesony od kolan w górę. Wtedy, kiedy był strażnikiem leśnym, tyle razy maglował kłusowników i złodziei drewna, lecz nigdy nie przyszło mu na myśl, że to jest aż tak stresujące przeżycie nawet dla niewinnego człowieka. Pomyślał o kubku wody. Najlepsze byłoby zimne piwo, tyle że jeszcze jest na służbie i nie może wypić niczego mocniejszego, a przepisy to rzecz święta.

– Mischke z „Grünberger Tageblatt”. Ten od aferek, machlojek, ciemnych interesików i wszelkiej maści kurestwa w naszym mieście i najbliższej okolicy. Krótko mówiąc: pisanie o naruszaniu prawa i bezprawiu to moja specjalność – odzywa się mężczyzna, którego obecności w recepcji Geissmann się nie spodziewał. Zauważył go dopiero wtedy, kiedy przykuśtykał za kontuar z przesłuchania, nabrał wody do kubka i pociągnął pierwszy łyk. – Prawda to, że dziś przed wieczorem w hotelu Schwarzer Adler została zamordowana pokojówka, żona tego Krügera, co był zastępcą buchaltera w magistracie i dotąd nie wrócił z wojaczki? Najpierw zgwałcona, potem uduszona. Wiecie, jak się nazywa ów gwałciiciel i morderca w jednej osobie? Gość? Ktoś spośród grünberczyków?

Geissmann pierwszy raz w życiu widzi redaktora Mischkego. Codziennie rano albo wieczorem przegląda „Grünberger Tageblatt”, gazetę dostarczaną do recepcji hotelu, ale nigdy nie miał do czynienia z prawdziwym dziennikarzem. Nie wie, jak się zachować i co odpowiedzieć. Nagle przychodzi mu do głowy, że najlepiej zrobi, jeżeli odeśle Mischkego do dyrektora Wachnika. Wprawdzie podwachmistrz Schreiter nie zabronił rozmawiać z kimkolwiek na temat tego, co się stało w hotelu, ale Geissmann pamięta z czasów, kiedy był strażnikiem, że dopóki trwa śledztwo, świadkowi nie wolno niczego ujawnić. Recepcjonista jest ciekawy, od kogo redaktor dowiedział się, że Kathrin została zgwałcona i zamordowana. Pewnie gdyby o to zapytał, Mischke zbyłby go byle jaką odpowiedzią albo zasłonił się tajemnicą dziennikarską. Geissmann lubi czytać ogłoszenia o obniżkach cen i krótkie informacje o tym, co się wydarzyło w Grünbergu. Nawet się zastanawiał, dlaczego redaktorzy wiedzą więcej niż wie policja i urzędnicy. Gdyby chodziło o to, co wszyscy powtarzają, nie miałyby pytań, a oni piszą również o takich sprawach, które jemu nigdy by nie przyszły do głowy. Żona, gdy tego dociekał, zawsze miała jedną odpowiedź:

– A ty, Ewald, kiedy byłeś za strażnika na Oderwald, skąd wiedziałeś, gdzie szukać tego, który ukradł drewno czy upolował zająca?

– Są takie sposoby, moja droga Gussy. I są tacy ludzie, którzy za miłe słówko, a to przecież nic nie kosztuje, sprzedadzą własną matkę. Trzeba mieć głowę na karku i umieć z nich to wyciągnąć. W lesie jest jak na wojnie. Tam i tu wygrywa nie ten, kto ma tylko doświadczenie, lecz ten, kto potrafi przewidzieć, co siedzi w głowie przeciwnika – odpowiedział Geissmann i uśmiechnął się pod nosem. Byłby jeszcze bardziej zadowolony, gdyby to usłyszał pan Mülsch, który czasem go strofował, bo za łagodnie postępował z kłusownikami i złodziejami. Zdaniem przełożonego nikt, a tym bardziej opłacany przez państwo strażnik leśny, nie powinien się litować nad przestępcą. Była udowodniona wina, musi być kara i zadośćuczynienie.

– Domyślam się, Geissmann, że kazali wam trzymać język za zębami. – Dziennikarz przerywa jego rozmyślenia. Podeszedłszy do kontuaru, wyciąga pugilares z kieszeni marynarki i kładzie go na książce meldunkowej. – Informacja jest takim samym towarem jak sól do kuchni czy palto na zimę i trzeba za nią zapłacić, a wszystko na naszych oczach szalenie drożeje. Tydzień temu za te pingle firmy Carl Zeiss dałem sto dwadzieścia i pół marki. – Mischke zdejmuje okulary z nosa i kładzie je obok portfela. – Dziś kupiłbym takie same u Theussera za dwa razy więcej niż wydałem w zeszły czwartek. W poniedziałek będą kosztowały co najmniej trzysta marek – dodaje, robiąc poważną minę. Po czym podnosi pugilares i ledwie go rozchyła, ale tak, żeby recepcjonista zobaczył banknoty. – Nic za darmo. To, ile marek trafi do was, Geissmann – znowu powoli rozchyła i jeszcze wolniej zamyka pugilares, obserwując twarz recepcjonisty – zależy od tego, co powiecie. Im więcej się dowiem, tym więcej znajdzie się w waszej kieszeni.

– Niech pan mnie nie kusi.

– Zapewniam was, Geissmann, że nawet redaktorowi naczelnemu nie ujawnię źródła informacji. Należę do tych, którzy potrafią dotrzymać tajemnicy.

Jeżeli tak, to co mi szkodzi, myśli recepcjonista. Jako strażnik leśny mówiłem dokładnie tak samo. Tyle że ja nie musiałem nikomu dawać



pieniędzy. Przymykałem oczy na tych, którzy mi donosili, kto wywozi drewno z lasu bez zezwolenia czy kłusuje. Zresztą pan Mülsch nigdy nie pytał, jaką drogą dotarłem do szabrownika. Najważniejsze było wskazać, ukarać i podać jego nazwisko do publicznej wiadomości.

Geissmann już zdecydował, że dłużej nie będzie trzymał języka za zębami. Przecież Mischke nie ujawni źródła. Recepcjonista oblizuje usta, zerka na drzwi restauracji, jakby sprawdzał, czy nikt nie podsłuchuje i wtedy mu się przypomina to, co obiecał dyrektorowi Wachnikowi, gdy przyjmował się do pracy w hotelu. Jeżeli powie komukolwiek, nawet żonie, co się dzieje w Schwarzer Adler, natychmiast zostanie zwolniony. I kto da pracę inwalidzie?

– Panie redaktorze – Geissmann stoi oparty łokciami o kontuar – na parterze, ostatnie drzwi po prawej stronie, jest gabinet dyrektora Wachnika. Najpewniej pan go zna. Ja tu tylko pilnuję, żeby goście wpisywali się do książki meldunkowej, wydaję im klucze do pokoi, przywołuję dorożki, odpowiadam na pytania. O tym, co się dzieje w hotelu, wiem jeszcze mniej niż pokojówki.

– Przecież nie za darmo, Geissmann. – Mischke jeszcze raz próbuje go skusić, lecz recepcjonista już się prostuje, odrywa ręce od kontuaru i pokazuje głową tunel korytarza prowadzący do biura dyrektora Wachnika.

Gdy niezadowolony dziennikarz odchodzi w tamtą stronę, Geissmannowi przypomina się wczorajsza rozmowa z Leoni Baubach. Gotowy do wyjścia czekał na zmiennika, który nie pierwszy raz się spóźniał. Wtedy Leoni powiedziała, że tacy mężczyźni jak siłacze podobają się kobietom. Geissmann miał ochotę dodać, że oni bardzo dużo jedzą, zachowują się jak cyrkowcy i nie są kandydatami na mężów, gdy Leoni oznajmiła, że woli się wydać za takiego jak Thomas Fischer. Nie przyznał się, że na temat siłaczy rozmawiał z Kathrin. Właściwie to tylko słuchał. Pokojówka stwierdziła, że gdyby któryś zapaśnik kiwnął palcem, byłaby gotowa spełnić każde jego żądanie. Przecież nic jej nie ubędzie, a ile upojenia, jaka satysfakcja. I najpewniej taki jeszcze by jej zapłacił albo dał prezent. Wcześniej Kathrin powiedziała wyznała, że kiedy sprzątała korytarz na drugim piętrze, podsłuchiwała rozmowę w pokoju, gdzie mieszka pan Skarbeck. O co chodziło, tego się nie domyśliła. Powtórzyła więc Geissmannowi:

– W Grünbergu ma wygrać Kalihack. Koniec dyskusji. Na ciebie przyjdzie kolej na Ummanz i Hildensee. Tak zdecydował zarząd Europäischer Athleten-Club „Samson”. Jeżeli ci się nie podoba, Gurgull, możesz zmienić klub. Ale póki jesteś u nas, masz robić to, co postanowił zarząd.

Zaraz po tym pamięć Geissmanna przywołała osobę Skarbecka. Była szósta, może pół do siódmej, kiedy doktor zszedł do recepcji i zapytał, czy jest w Grünbergu takie miejsce, gdzie nieszpetne kobiety czekają na wygłodniałych mężczyzn. W pierwszej chwili Geissmann nie zrozumiał, wybałuszył więc oczy, otworzył usta i ogłupiały milczał. Wtedy Skarbeck powtórzył pytanie i dodał, że on nie jest zapaśnikiem i nie po to przyjechał, żeby trzy dni samotnie w hotelu. On ma ochotę się zabawić. Recepcjonista dalej milczał.

– Wyście istotnie taki trep czy tylko udajecie? O panienki pytam, człowieku.

Geissmann już wcześniej się domyślił, co interesuje berlińczyka. Przyciszonym głosem, jakby się wstydził, wyjaśnił mu, że w Grünbergu jest kilka takich miejsc. Najbliższe przy Niederstrasse na wprost hotelu Kaiserhof. Miał na myśli kamienicę należącą do Arnolda. Nie tylko on nie wiedział, czy to jest imię czy nazwisko. Wtedy Skarbeck pokiwał głową, co nie było podziękowaniem, bo i położył monetę na kontuarze, po czym wyszedł z Schwarzer Adler. Dobrze po północy wrócił do hotelu. Przechodząc obok ziewającego recepcjonisty, podniósł dwa palce lewej ręki do czoła jakby salutował i cmoknął zadowolony. Geissmann podał mu klucz do pokoju. Skarbeck szepnął, żeby go obudził przed siódmą i położył na kontuarze identyczną monetę jak tamta, którą recepcjonista już schował w kieszeni.

Że też zapomniałem o tym powiedzieć panu Schreiterowi, karci się Geissmann. Niedługo podwachmistrz wróci do hotelu, bo przecież powiedział, że będzie kontynuował przesłuchania, to uzupełnię swoje zeznanie. Tylko czy to ma cokolwiek wspólnego z zabójstwem Kathrin? Pewnie nic. Albo i coś ma. Nie moja sprawa.

# Sobota, 10 czerwca 1922 roku

## 11

Dawniej Ratei bardzo lubił lato, a to przede wszystkim dlatego, że od końca kwietnia do pierwszych dni października nie martwił się, czym napalić w piecu. Emmi nie suszyła mu głowy, bo skończyły się stare kartofle, a na młode jeszcze za wcześnie i ona nie ma pojęcia, czym nakarmić dzieci. W ogródku za domem zawsze rosło to, z czego mogła upitrasić jak nie zalewajkę, to zielone łązanki albo ślepe kluski, a w niedzielę to nawet wystarczało na garnek sytości. Latem nikt w domu Rateia nie głoduje. Od tego dnia, kiedy Peter został policjantem, Emmi nadal lubi lato, a on już ma go dość, przede wszystkim z powodu ubioru. Zimą też nosił mundur i te same ciężkie juchtowe kamasze, ale wtedy nigdy nie było mu za gorąco. Jeszcze bardziej nie lubi tego, co podczas służby musi zakładać na głowę. Dużo starszy od podwachmistrza Rateia i ważniejszy stopniem Gerlach twierdzi, że pod pikielhaubą tak się nie pocili jak pod czakiem. Byłoby najlepiej, gdyby policjanci patrolujący ulice nosili takie czapki z daszkiem, w jakich chodzą majstrowie doglądający robotników w fabryce Beuchelta.

Jak nakazał dyżurny, Ratei i Gerlach najpierw pokazali się przed hotelem Schwarzer Adler, potem skręcili w Silberberg i ruszyli w stronę parku przylegającego do Grünstrasse. Gerlach zdecydował, że nie pójdą wybrukowaną ulicą, a alejkami, tym bardziej że już robiło się gorąco. Ten ocieniony kawałeczek miasta grünberczycy z pobliskich domów nazywali Sandpfützen. Gdy policjanci skryli się między drzewami, Ratei wyjął papierośnicę z kieszeni spodni i jak zawsze zapytał Gerlacha, czy zapali, chociaż dobrze wiedział, że wachmistrz dawno przestał truć się nikotyną. Co innego halba piwa, a jeszcze lepiej

piwo i sznaps przed południem, i drugie wieczorem w knajpie tuż za kamienicą przy Rothenburger Strasse, w której mieszkał jego ojciec, także policjant, gdzie on mieszka i pewnie będzie mieszkał jego najmłodszy syn, również policjant. Gerlach wie, jakie znaczenie ma mundur, dlatego nigdy nie pije na służbie.

– Poszedłby człowiek na te mistrzostwa, co mają być dziś wieczorem, ale tyle trzeba wybulić za bilet, że...

– Co się dziwisz? Wstęp na takie coś musi dużo kosztować. Przyjechali najlepsi zawodnicy z całej Europy – odpowiada Gerlach, jakby był znawcą zapasów. Jeszcze przed wielką wojną razem z takimi jak on ganiał za piłką po placu przy Mathaeiweg. Zaraz po powrocie z frontu do domu poszedł na ten plac, czym pochwalił się starszemu wachmistrzowi, a ten mu poradził, aby dał sobie tym spokój. Ganiecie za piłką z młokosami nie dodaje powagi policjantowi rewirowemu. Powinien zapisać się do stowarzyszenia strzeleckiego. Jest takie przy Schützenstrasse. – Bilet na zawody to jeden wydatek. Jeszcze trzeba mieć jakieś pieniądze na coś do wypicia.

– Można tylko oglądać.

– Inni będą popijali piwo. Żeby tylko piwo. A ty co? Będziesz siedział przy pustym stoliku i tylko się gapił. Nie wytrzymasz. Taka chęćka cię weźmie, że... – urwał Gerlach, wycierając wierzchem dłoni ślinę z ust.

– Który wygra?

– Wiadomo. Najsilniejszy.

– Kto jest najsilniejszy?

– Austriak.

– Austriak?

– Albo Polak.

– Według mnie Kalihack. Wczoraj po południu byłem z nim w Wiener Café.

– Gdzie?

– W kawiarni. Josef zaprosił mnie do Wiener Café – chwali się Ratei, dopiero teraz zapalając papierosa. Nie przyznaje się, że on zapłacił za piwo, które wypił Kalihack. Liczył na rewanż, ale się nie doczekał. – Josef jest od nas. Urodził się w Grünbergu.

– Ten, co miał pokaz pod ratuszem jest od nas?

– Znam go od takiego – podnosi rękę.

– Cyganisz.

– Mój niedaleki kuzyn.

Gerlach natychmiast się zatrzymuje. Podniósłszy głowę na Rateia, robi wielkie oczy, jakby nie dowierzał swojemu partnerowi na służbie.

– Ten, co wczoraj rozerwał łańcuch przed ratuszem, jest twoim kuzynem?

– Ze strony matki. Za młodych lat też chciałem być jak Josef, ale potem kobieta, dzieciaki...

– Może byłoby dobrze, gdyby wygrał Niemiec. Ten twój... – Gerlach urywa, próbując sobie przypomnieć nazwisko. – Jak mu?

– Kalihack. Josef.

– Gdyby wygrał Kalihack, gazety by miały o czym pisać. Grünberczyk mistrzem Europy. – Wachmistrz zatrzymuje się, wypręża pierś i chwilę stoi z uniesionymi pięściami. – Nasz człowiek. A nadburmistrz Finke zaraz powie, że to jego zasługa.

– Jaka jego zasługa? Przecież Finke od niedawna jest w Grünbergu.

– Aha, to dlatego mamy patrolować park i ulice w pobliżu Deutsche Reichshalle – domyśla się Gerlach. – Dyżurny coś mówił, że w Schwarzer Adler znowu było jakieś zabójstwo. Podobno wczoraj przed wieczorem. Drugie w tym roku. Poprzednio jakiś przyjezdny z Breslau dostał nożem pod żebra. Zanim przyszedł doktor Brucks, było po chłopie. Wiem, bo wtedy miałem służbę. Nie zapytałem dyżurnego, kto tym razem nie doczekał niedzieli. Pewnie znowu jakiś gość hotelowy.

– Nie słyszałem. – Ratei ostatni raz zaciąga się papierosem i już ma go rzucić pod nogi i zdeptać czubkiem buta, gdy przychodzi mu na myśl, że nie wypada zaśmiecać parku. Wyrzuci go do stawku po lewej stronie alejki. – Tu ktoś leży!

– Gdzie?

– Na brzegu. Człowiek jak nic. Nogi ma w wodzie.

Gerlach podchodzi do ogrodzenia okalającego stawek, pochyla się i pyta:

– A to nie jest nasz Schreiter? Ten młodszy asystent od komisarza Flügela? Ten, co zgrywa ważniaka?

– On? Nie. To... Jakby on! – Ratei przeskuje przez płótek. Kilkanaście sekund później wyciąga mężczyznę z wody i dotyka jego

szy. Robi to tak, jak zapamiętał ze szkolenia. – Żyje!

## 12

Przejdźcie z Oberthorstrasse 5, gdzie jest komisariat policji, do szpitala Bethesda przy Rohrbuschweg, zajmuje Flügelowi prawie dwa kwadransy. Mógł wezwać dorożkę, ale musiałby jechać drogą okrężną, co by trwało więcej niż pół godziny, a komisarz chce jak najszybciej być przy łóżku podwachmistrza Schreitera. Zdecydował, że zanim poinformuje swojego zwierzchnika o tym, co się stało w parku i cokolwiek postanowi, porozmawia z młodszym asystentem kryminalnym, pod warunkiem, że lekarz nic nie będzie miał przeciw temu. Czy czegoś się dowie? Może Schreiter niczego nie pamięta, bo znienacka został napadnięty? A kiedy to się stało? Wieczorem, w nocy, nad ranem? Policjanci patrolujący Sandpfützen znaleźli go, gdy słońce już dobrze przygrzewało. Ważniejsze jest jednak wyjaśnienie, dlaczego Schreiter leżał na brzegu stawku w parku z nogami w wodzie. Niemożliwe, żeby sam tam się położył. Pewnie się pośliznął. A może ktoś go popchnął albo napadł, zamroczył i zepchnął ze skarpy, żeby się utopił? Z jakiego powodu? Komu podwachmistrz Schreiter już zdążył dać szkołę, skoro niedawno zaczął służbę w grünberskiej grupcejednostce policji kryminalnej? Przecież on jeszcze nie prowadził żadnego śledztwa samodzielnie. To w Schwarzer Adler jest pierwsze. Kolejne pytania nasunęły się Flügelowi. Na przykład, jakie licho skusiło Schreitera, żeby wejść do parku, o którym wiadomo, że nawet w dzień można tam dostać w głowę bez powodu, a po ciemku każdy, kto nie jest grünberczykiem od urodzenia, omija to miejsce z daleka. Po co młodszy asystent kryminalny tam poszedł, jeżeli dostał rozkaz przesłuchania osób, które przypuszczalnie mogły coś wiedzieć na temat zabójstwa w Schwarzer Adler? A może Schreiter dowiedział się w hotelu o jakimś zajściu w parku, które mogło być związane ze śmiercią Kathrin Krüger i chciał ustalić, o co chodzi? Ale przecież w ostatnich dniach nic się

w parku nie stało. Nic, poza tym, że Gerlach i Ratei znaleźli nieprzytomnego Schreitera na brzegu stawku.

Jeszcze wczoraj przed południem Flügel ułożył sobie plan na ostatnie dni tygodnia. W niedzielę, jak zawsze, zaraz po śniadaniu pójdzie z żoną i córką do Erlösekirche. Świątynię ufundował Georg Beuchelt pięć lat temu ku pamięci tych mieszkańców miasta, którzy nie wrócili z wielkiej wojny narodów. Wśród nich był najstarszy brat Flügela, także komisarz kryminalny. To przed południem. W samo południe przyjedzie szwagier z Glogau, który miał zawitać tydzień temu, ale wtedy grünberczycy świętowali siedemsetlecie miasta i wszyscy policjanci kryminalni mieli służbę. W sobotę po południu Flügel planował się dowiedzieć, co Schreiter ustalił w sprawie zabójstwa w Schwarzer Adler. To w razie gdyby o morderstwo w hotelu zapytał dyrektor Brachmann, jego zwierzchnik w prezydium policji w Liegnitz, który zapowiedział swoją obecność na mistrzostwach zapaśników. Nawet pochwalił się komisarzowi, że jako student prawa był mistrzem Schlesische Friedrich-Wilhelm-Universität w zapaśach klasycznych. Prezydent rejencji przyjedzie z grupką najbliższych współpracowników. Tego Flügel dowiedział się jeszcze na początku tygodnia podczas odprawy u burmistrza Ouvriera. Po zmaganiach w Deutsche Reichshalle, kiedy potwierdzi się, że Kalihack został zapaśniczym mistrzem Europy, bo tak zdecydował zarząd Europäischer Athleten-Club „Samson”, o czym w zaufaniu powiedział mu redaktor Mischke, zaprosi dyrektora Brachmanna do restauracji w hotelu Kaiserhof, gdzie w bocznej salce zjedzą spóźnioną kolację. Komisarz polecił Normannowi, aby dowiedział się, czego smakoszem jest inspektor. Ponieważ starszy asystent kryminalny wykonał zadanie połowicznie, Flügel zdecydował bez konsultacji z sekretarzem dyrektora, że oprócz półmiska z wędlinami, kiełbasek na ciepło, szparagów zapiekanych z boczkiem i kartofli nadziewanych śledziami na stole ma być butelka schłodzonego wina musującego od Fritza Briegera, piwo Jubiläum i winiak od Raetscha albo z Scharlachbergu. Wszystko z miejscowych wytwórni. Od tego, jak dyrektor Brachmann zostanie podjęty w Grünbergu, zależy kariera Flügela w policji kryminalnej. Dotąd awansował co dwa, trzy lata. Chciałby mieć biurko w pokoju inspektora kryminalnego w Liegnitz. Żona, rodowita

mieszkanca Canth koło Breslau, także nie lubi Grünbergu i dlatego chce się przenieść do większego miasta.

Tyle razy komisarz bywał w szpitalu, że nie musi pytać portiera, jak trafić na internę. Gdy zatrzymuje się zaraz za drzwiami oddziału wewnętrznego i zastanawia, w której sali może leżeć Schreiter, z dyżurki pielęgniarek wychodzi diakonisa w białym fartuchu, spod którego wystaje szary habit. Informuje, że odwiedziny chorych rozpoczną się dopiero po obiedzie. Policjant pierwszy raz ją widzi. Nowa siostra, myśli.

– Sekretarz kryminalny Flügel, komisarz policji – przedstawia się, stając niemal na baczność.

– A... – zaczyna diakonisa i się płoni. Po chwili, troszkę się zacinając, kontynuuje: – Pan pewnie do doktora Bergemanna, a on dosłownie kwadrans temu wyszedł ze szpitala. Jeśli nie wydarzy się nic nadzwyczajnego, wróci dopiero po kolacji, na wieczorny obchód.

– Dostałem informację, że dziś rano został tu przywieziony mój podwładny, podwachmistrz Schreiter. Młodszy asystent kryminalny. Muszę go zobaczyć, a jeżeli się da, to i porozmawiać o tym, co się wydarzyło w trakcie służby.

Diakonisa stwierdza, że komisarz jest w błędzie. Owszem, rano przywieziono młodego mężczyznę, znalezionego na brzegu stawku w parku za fabryką wyrobów wełnianych, ale on nie był w policyjnym mundurze. Nie miał przy sobie żadnych dokumentów, dlatego został potraktowany jak każdy, kto uległ wypadkowi i komu należy się pomoc medyczna. Doktor Bergemann zrobił tyle, ile należy do obowiązków lekarza. Wyglądało to o wiele groźniej niż się okazało w trakcie badania.

– Prawdopodobnie wstrząśnienie mózgu doprowadziło go do utraty przytomności. Przypuszczalnie został uderzony czymś w głowę. Butelką, pałą lub innym gładkim przedmiotem. Może się przewrócił? Na przykład potknął się o kamień w parku i... Doktor Bergemann dopuszcza taką okoliczność. Tylko czy wtedy na czubku głowy by wyrósł guz wielkości mojej pięści i doszło do wyraźnego otarcia naskórka? Czy mężczyzna, który się przewrócił, miałby zasinienia na prawym ramieniu? – Diakonisa robi pytającą minę. Flügel już otwiera usta, żeby ją poprosić o podanie numeru sali, w której leży



Schreiter, gdy słyszy, że doszło do wychłodzenia organizmu mężczyzny, co zapobiegło groźnym następstwom uderzenia. – Gdyby to stało się w lutym, mógłby zamarznąć, a wtedy nawet tak biegły w swoim fachu chirurg, jakim jest doktor Bergemann, nie miałby nic do roboty – twierdzi diakonisa, przyjmując niemal grobową minę. – Mogę zaprowadzić pana policjanta do sali, gdzie leży pacjent – deklaruje i nie czekając na potwierdzenie, którego by się nie doczekała, rusza przodem. – Proszę za mną.

Diakonisy, które Flügel spotykał wcześniej w szpitalu, na ogół niewiele mówiły, a jeżeli się odzywały, to jedynie odpowiadając na wybrane pytania. Ta jest młodziutka, ładna, miła, a przy tym i roztropna. Komisarz ma ochotę zapytać, gdzie się kształciła i czy jest rodowitą grünberżanką. Gdy już zdecydował, że zada to pytanie, diakonisa zatrzymuje się przed drzwiami do ostatniej sali po lewej stronie korytarza. Nic nie mówiąc, naciska kłamkę, po czym daje mu znak oczami, żeby wszedł do środka.

Osoba, która leży na łóżku przykryta kocem, ma głowę owiniętą bandażem. Gdyby nie mały wąsik i broda w kształcie trójkąta, Flügel nie poznałby młodszego asystenta kryminalnego. Jedynie Schreiter tak się nosi.

## 13

Wachnik siedzi całą noc w swoim gabinecie, czekając na młodszego asystenta kryminalnego. Zniecierpliwiony, niewyspany i głodny nawet na minutę nie wychodzi z biura na korytarz. Policjant kazał mu czekać i nie oddalać się, więc czeka. Dyrektor przeciąga ręką po brodzie. Nigdy się nie zdarzyło, a już czwarty rok zarządza hotelem, czyli zaraz od powrotu z frontu, aby ktokolwiek z personelu Schwarzer Adler zobaczył go w wczorajszej koszuli z nieświeżym kołnierzykiem. Codziennie zmienia kalessony, skarpety i podwiązki, wyciąga z komody pachnącą lawendą białą chusteczkę do nosa. Bardzo źle się czuje

nieogolony i w garniturze, który założył na siebie poprzedniego dnia. Pukanie do drzwi wybija Wachnika z rozmyślań. Przekonany, że wreszcie wrócił Schreiter, woła:

– Proszę wejść! – Gdy widzi Mischkego, w jednej chwili robi mu się gorąco. Nie tylko on, ale i wszyscy dyrektorzy na widok tego dziennikarza najpierw starają się przypomnieć sobie ostatnie wyskoki i potem uśmiechają się potulnie albo zachowują się tak, jakby byli jego podwładnymi lub nabierają wody w usta. Wachnik postanawia, że nie odpowie na żadne pytanie redaktora. Po chwili milczenia jednak mówi, jakby się usprawiedliwiał: – Czekam na pana Schreitera. Wieczorem, kiedy wychodził z hotelu, kazał mi czekać, bo niedługo wróci.

– Na pewno dziś nie wróci – twierdzi Mischke, sadowiąc się na krześle na wprost biurka, za którym siedzi Wachnik.

– Kazał mi czekać.

– Schreiter jest w szpitalu.

– W szpitalu? A po co tam poszedł? Miał kontynuować śledztwo w hotelu. Przecież trzeba wyjaśnić, kto zabił pokojówkę – mówi dyrektor i dopiero teraz przypomina mu się polecenie podwachmistrza, aby z nikim nie rozmawiał na temat tego, co się stało w Schwarzer Adler.

– Wyjaśnieniem, kto zamordował Krüger, pewnie zajmie się Normann albo osobiście Flügel. Na Oberthorstrasse jeszcze nie zapadła decyzja. Komisarz podejmie ją dopiero po powrocie ze szpitala, gdzie rozmawia ze Schreiterem. Może w ogóle nie będzie śledztwa. Policja powoła się na opinię doktora Brucksa, który nie wykluczył zgonu naturalnego z powodu tętniaka aorty. Trochę ze względu na koszty, trochę z powodu braku czasu, ale przede wszystkim dlatego, że nie żyje niewiele znacząca pokojówka.

– Ale przecież pan Schreiter...

– Gdyby chodziło o małżonkę burmistrza Ouvriera czy córkę profesora Schmidta, policja nie zwracałaby uwagi ani na koszty, ani na czas – powtarza Mischke to, co podwachmistrz Schreiter usłyszał od komisarza Flügela. – Krüger to pokojówka, jakich wiele w mieście, nie znajdzie pan nikogo w Grünbergu, kto się za nią ujmie.

Słusznie, myśli Wachnik, ale się nie odzywa. Nie tylko on uważa, że nie ma czego żałować ten, kto nie za dużo mówi przy dziennikarzu. Taki człowiek nie napyta sobie biedy. Milczenie wcale nie oznacza braku wyobraźni.

– Pamięta pan wiec na Neumarkt cztery lata temu? Tego dnia, kiedy w lasku Compiègne pod Paryżem podpisano zawieszenie broni, co oznaczało koniec wielkiej wojny? Czego domagali się ci, do których przemawiał Lücke? – Wachnik poszedł wtedy na plac przed szkołą. Od tych, którzy tam przyszedli wcześniej słyszał, że sekretarz związkowy Lücke domagał się wprowadzenia ośmiogodzinnego dnia pracy, dopłat do czynszów i zapewnienia żywności. – Ile z tego zostało wykonane? – pyta Mischke. Nie czekając na odpowiedź, kontynuuje: – Nic lub prawie nic. Mimo że nadburmistrz Finke jako przedstawiciel partii socjaldemokratycznej rządzi miastem, od tamtego wiecu niewiele się zmieniło w naszym mieście. A dlaczego? – Nad tym Wachnik nigdy się nie zastanawiał. – Ponieważ tacy jak właściciel hotelu, którym pan zarządza, jak i właściciel Bergschlossbrauerei, jak i ta pani, która... mniejsza z tym... nie chcą żadnych zmian. Im robotnikom jest gorzej, tym im jest lepiej.

– Proszę, abyśmy politykę zostawili na boku. Od nas niewiele zależy. Jesteśmy żołnierzami, a nie dowódcami.

– Nie, panie dyrektorze. Skoro udało się zmusić kajzera do ustąpienia, musi się udać zmienić świat na lepszy.

– Dajmy spokój polityce – prosi Wachnik.

– Interesuje mnie to, co się stało wczoraj wieczorem w hotelu – Mischke natychmiast wraca do sprawy. – Tylko niech pan niczego nie ukrywa. Pokojówka Krüger nie żyje. Śledztwo rozpoczął młodszy asystent kryminalny Schreiter. W hotelu od dwóch dni mieszkają wyłącznie uczestnicy mistrzostw świata w zapasach. Czy coś się nie zgadza?

Wachnik ma na końcu języka pytanie o to, skąd dziennikarz wie aż tyle w sobotę przed południem, gdy zdaje sobie sprawę z tego, że Mischke zawsze wie szybciej niż policja i dużo więcej. Zanim komisarz Flügel dostał się do gabinetu nadburmistrza Finkego i zapoznał go z wynikami śledztwa, dziennikarz już stukał palcami wskazującymi obu rąk w klawisze telegrafu. O tym, co się stało

w środę, czytelnicy „Grünberger Tageblatt” wiedzą już od rana następnego dnia. Pełniejsze i dłuższe wiadomości ukazują się dopiero każdej soboty w bardziej poczytnym „Grünberger Wochenblatt”, ale nikt nie ma pretensji do redakcji o to, że tak późno ich informuje, bo to przecież tygodnik.

– Krüger to jedna sprawa, która mnie interesuje. Jest i druga: Schreiter. Młodszy asystent kryminalny został znaleziony rano w parku.

– W parku? A ja na niego...

– Nieprzytomny.

– Nieprzytomny? Kto go?

– Kto tak urządził Schreitera? To właśnie teraz wyjaśnia Flügel. Pan, dyrektorze Wachnik, powinien się cieszyć. Komisarz najpierw przeprowadzi dochodzenie w sprawie napadu na swojego podwładnego. Jeżeli uda mu się szybko wyjaśnić, w co wątpię, kto i dlaczego to zrobił, da sobie spokój ze śledztwem w Schwarzer Adler. Jeszcze pan za to mu podziękuje. Nieprzyjemna opinia o hotelu nie pójdzie w świat.

Wachnik przyznaje rację Mischkemu. Robi to kolejny raz. Wiele lat temu, a było to jeszcze przed abdykacją ostatniego cesarza, plotkowano na temat romansu Wilhelma II z Hermine von Reuss, żoną Georga von Schönaich-Carolath. Nawet podejrzewano, że ojcem jej piątego dziecka, Henriette, jest cesarz. Miało to się stać w pokoju gościnnym pałacu w Saabor, dokąd Wilhelm II przyjeżdżał na polowania. Ślubny mąż Hermine nigdy nie zakwestionował ojcostwa Henriette. Pałacowa służba jednak zauważyła, że od czasu narodzin dziewczynki stosunki między małżonkami się popsęły. Dwa lata powielkiej wojnie narodów i wymuszonej abdykacji cesarza, w grünenberskim szpitalu Bethesda zmarł mąż Hermine. Niedługo później odeszła z tego świata cesarzowa Auguste Victoria. Wtedy redaktor Mischke napisał w „Grünberger Tageblatt”, że nie będzie zaskoczony, jeżeli pozbawiony tronu Wilhelm Hohenzollern poślubi wdowią Hermine von Reuss. I tak się stało. Małżonkowie zamieszkali w Doorn na północy Holandii. Dopiero niedawno udało się Mischkemu przekupić część służby i opublikować pikantne szczegóły na temat tego, co się działo w pałacu podczas pobytów cesarza w Saabor.

– Pan, dyrektorze Wachnik, także uważa, że tę Krüger zabił jeden z gości hotelu? – pyta Mischke nie ujawniając źródła wiadomości. – Póki

policja nie zakończy śledztwa, żadna gazeta nie poda nazwiska tego zwyrodnialca, który najpierw zmusił ją do obcowania płciowego, a później udusił. Póki... Takie są zasady.

– Od kogo pan wie, że to gość hotelu?

Zamiast odpowiedzieć wprost, Mischke nieznacznie wykrzywia usta i splata ręce na piersiach. Wachnikowi to wystarcza, żeby już o nic nie pytać. Ten redaktor zawsze wiedział szybciej i więcej niż policja, nadburmistrz, a nawet pastor z kościoła Zum Garten Christi, o którym mówiono, że w Grünbergu nic się nie dzieje bez jego zgody.

## 14

– O, widzę, że z wami, Schreiter, nie jest aż tak kiepsko, jak mi powiedziano – odzywa się Flügel przymilnym głosem, stanąwszy przy łóżku, na którym leży młodszy asystent kryminalny przykryty szarym kocem. – Dzień, dwa pobędziecie w szpitalu, odpoczniecie, doktor Bergemann każe zdjąć opatrunek i w poniedziałek wracacie do służby, co? Ale zdrowie jest najważniejsze, Schreiter. Naj-waż-niej-sze. Jak się czujecie, podwachmistrzu?

– Nie potwierdzę, że głupi ma zawsze szczęście, ale i nie zaprzeczę. Jest w tym porzekadle niemało prawdy. Trochę boli. – Schreiter wyciąga prawą rękę spod koca i dotyka obandażowanej głowy jakby sprawdzał, czy opatrunek jeszcze jest tam, gdzie jego miejsce.

Komisarz nie rozumie sensu wypowiedzi asystenta, ale nie przyznaje się do tego. Flügel hołduje zasadzie, że kto nie dopomina się wyjaśnienia, ten bywa uważany za mądrzejszego. Odmienne zdanie na ten temat ma jego zwierzchnik w Liegnitz, który za cztery godziny przyjedzie do Grünbergu tylko po to, aby wieczorem przyglądać się mistrzostwom zapaśników. Kiedyś inspektor Brachmann pochwalił się Flügelowi, że jako student prawa na uniwersytecie w Breslau demonstrował swoją tężyznę w cyrku Buscha. W ten sposób zdobywał

pieniądze na wikt i opierunek. Gdyby nie dostał się do policji kryminalnej, zarabiałby popisami cyrkowymi na utrzymanie rodziny.

– Jesteście młodzi, Schreiter. Do wesela, jak to mówią, się zagoi i nie będzie śladu. Ja też obrywam. Nie rękoma, za to słowami. Częściej od naszego zwierzchnika niż od żony – dodaje ciszej Flügel i śmieje się sam z siebie.

– Czy panu komisarzowi nikt nigdy nie groził? Nikt nie napadł na pana? Nic a nic z tych spraw?

– Niechby kto spróbował, już by sobie przypomniał, kto jest sekretarzem kryminalnym w Grünbergu.

– Nie wierzę, że żaden szumowina nie podniósł ręki na pana sekretarza kryminalnego.

– Dotąd, Schreiter, nikomu nie udało się mnie zaatakować, co nie znaczy, że nie było takich prób. – Komisarz wciąga brzuch i wypina pierś, jakby chciał podkreślić, że sam jego wygląd odstrasza przestępców. – Napad na policjanta w ogóle, a w trakcie wykonywania obowiązków służbowych szczególnie, to według artykułu... – Flügel ma ochotę popisać się dokładną znajomością prawa, ale akurat numer paragrafu dotyczącego tego, kto dopuszcza się napaści na funkcjonariusza publicznego, podlega karze pozbawienia wolności do lat dziesięciu, wyleciał mu z głowy. – O ile dobrze zapamiętałem naszą wczorajszą rozmowę, to skończyliście, Schreiter, studia w zeszłym roku, sami więc lepiej wiecie, co w tej kwestii nakazuje prawo Weimarer Republik. – Komisarz wysuwa spod łóżka stołek, na którym leżą okruchy, zgarnia je dłonią na podłogę i dopiero wtedy na nim siada. – Opowiedzcie, podwachmistrzu Schreiter, jak to się stało, że przebywacie w szpitalu jako pacjent.

– Nie wiem, panie komisarzu. To znaczy, nie pamiętam.

– Czy to możliwe, żebyście nie pamiętali? – Flügel robi taką minę, jakby nie wierzył własnym uszom. – Naprawdę nie pamiętacie, co mieliście zrobić wczoraj wieczorem? To ja wam, Schreiter, przypominam, że kazałem rozpocząć śledztwo w sprawie zabójstwa pokojówki Krüger w hotelu Schwarzer Adler. Ka-za-łem?

– Akurat to pamiętam. Zgodnie z otrzymanym poleceniem rozpocząłem śledztwo od przesłuchania recepcjonisty Geissmanna. Następnym miał być dyrektor Wachnik. Zdecydowałem, że jego

przesłucham po powrocie z kolacji. Mogłem zjeść w hotelowej restauracji i pewnie w całości za darmo. Byłoby to niezgodne z przepisami, dlatego postanowiłem udać się do Deutsche Reichshalle. Tam skonsumowałem wieczorny posiłek i postanowiłem wrócić przez park do hotelu Schwarzer Adler, aby kontynuować przesłuchanie. Nic więcej nie pamiętam, panie komisarzu.

– Czy w Deutsche Reichshalle wydarzyło się coś takiego, na co nie zwróciliście uwagi, a co mogło spowodować, że w drodze powrotnej do hotelu zostaliście napadnięci?

Młodszy asystent kryminalny znowu dotyka palcami głowy opatulonej bandażem. Stwierdziwszy, że opatrunek nie przesunął się ani o milimetr, przymyka oczy, jakby to miało mu pomóc w wiernym odtworzeniu tego, co się działo wczoraj wieczorem. Wyjaśnia Flügelowi, że po przesłuchaniu recepcjonisty poszedł do Deutsche Reichshalle, ponieważ uznał za swój obowiązek sprawdzenie, jak restauracja została przygotowana na przeprowadzenie mistrzostw Europy w zapasach. Nie tyle chodziło mu o zawodników, co o bezpieczeństwo widzów, a przecież wśród nich będzie prezydent rejencji, inspektor Brachmann, starosta grünberski Ercklentz, nadburmistrz Finke i jego zastępca doktor Ouvrier, komisarz Flügel, pastor Krebs, radni i przedsiębiorcy. Do restauracji może wejść każdy, kto kupi bilet. Czy zabójcy pokojówki Krüger nie stać na taki wydatek? A jeżeli to seryjny morderca? Z kursu dla starszych asystentów kryminalnych Schreiter zapamiętał, że zbiorowiska ludzi przyciągają osoby niepoczytalne, które pragną, żeby się ich obawiano i o nich pisano w gazetach. Tydzień temu, kiedy grünberczycy świętowali siedemsetlecie miasta, pomiędzy nimi kręciło się więcej niż stu policjantów z Glogau, Freystadt i Liegnitz w cywilnych ubraniach, o czym nie wiedział nawet burmistrz Ouvrier, a on odpowiadał za wszystko, co się wiązało z jubileuszem. Na podłodze w Deutsche Reichshalle, na lewo od bufetu była estrada, na niej rozciągnięta niebieska mata z żółtym polem w centrum okolonym czerwoną linią. Po prawej stronie stał jedyny wolny stolik, przy nim usiadł Schreiter. Zatopiwszy wzrok w jadłospisie, nie zauważył obera. Dopiero gdy usłyszał, czy to prawda, że w Schwarzer Adler została zamordowana pokojówka, podwachmistrz oderwał wzrok od karty dań. Zapytał, od kogo kelner to wie. Ten wskazał mężczyzn przy sąsiednich stolikach

dogadujących sobie piwem i zakąszających czymś, co było podobne do pieczonych parówek. Ober powiedział, że wszyscy o niczym innym nie rozmawiają. A to, czy nowinka jest wiarygodna, interesuje go dlatego, że narzeczona jest także pokojówką w hotelu przy Breitestrasse i rozpoczęła nocną zmianę. Nie wie, jak by się zachował, gdyby Leoni spotkało to samo, co Kathrin. Zamiast potwierdzić albo zaprzeczyć, czego spodziewał się kelner, Schreiter skrzywił się karcąco, po czym kazał sobie podać kielbasę ze smażoną kapustą i kartoflami opiekanymi na gęsim smalcu. Do tego zamówił halbę piwa z Löwenbergu, ponieważ, jak zaznaczył, nie może znieść odoru takich szczyn, jakie warzy grünberski browar, nazywając je Jubiläum.

– Mało. Niczego więcej nie pamiętacie, Schreiter? Na pewno? – pyta Flügel, kiedy podwachmistrz otwiera oczy i patrzy na niego z miną niewiniątka. Komisarz uważa, że młodszy asystent kryminalny coś ukrywa. Co i dlaczego? – Musicie jeszcze coś sobie przypomnieć. Musicie. To rozkaz, Schreiter.

Podwachmistrz znowu przymyka oczy. Jeżeli komisarz Flügel przyszedł do niego w sobotę, to sprawa jest poważna, dlatego on nie powinien niczego ukrywać. Jak każdy policjant, Schreiter ślubował, że będzie wykonywał rozkazy i polecenia przełożonych. Ale przecież są takie wydarzenia, o których zwierzchnik nie powinien wiedzieć. Mimo to podwachmistrz postanawia, że się przyzna do czegoś, o co nikt w komisariacie przy Oberthorstrasse 5 go nie podejrzewa. Kiedy w Deutsche Reichshalle wczoraj wieczorem włożył do ust ostatni kawałek kielbasy i wyciągnął rękę po kufel z piwem, do jego stolika dosiadł się Arnold. Utajniony współpracownik Schreitera.

– Skąd on się tam wziął? – Na to pytanie podkomisarz nie wie, jak odpowiedzieć. – Może mnie obserwował, kiedy wyszedłem z Schwarzer Adler? Może był w restauracji przede mną i tylko czekał na okazję? A może to przypadek? – Ostatnie podejrzenie Schreiter wyklucza, pamiętając z kursu, że nic nie zdarza się przypadkowo. Wszystko ma przyczyny.

Schreiter poznał Arnolda pięć lat temu na uniwersytecie w Breslau. Po pierwszym semestrze studiów więcej go nie widział, aż dopiero w Grünbergu przed ratuszem i to nie Schreiter wypatrzył Arnolda, co nie byłoby niczym zaskakującym, a Arnold dostrzegł Schreitera. Przy



piwie w Wiener Café Arnold cofnął jego myśli do tego dnia, gdy po zdanych egzaminie z historii powszechnej prawa, czego obaj się nie spodziewali, najpierw poszli do najbliższej knajpki Zur Schmiede oblać sukces na gorąco, potem wybrali się do burdelu. Schreiter wołał o tym nie pamiętać, tym bardziej, że do jego obowiązków służbowych w policji należy zdobywanie informacji o prostytutkach, narkomanach, hazardzistach i miejscach, gdzie można ich znaleźć w Grünbergu. Gdy komisarz Flügel wyznaczał mu to zadanie, stwierdził, że się nie przepracuje. Co innego w Breslau i Liegnitz. Niemało kurwiszonów pomieszkuje również w Glogau, co go nie dziwi, bo to jest miasto garnizonowe, a od starożytności wiadomo, że gdzie wojsko, tam są dziwki. Schreiter poznał większość grünberskich prostitutek, a nawet, do czego nie przyznałby się najlepszemu koledze, jedna z nich, Hilde, mu się spodobała i nigdy nie wzięła od niego pieniędzy za to, za co inni muszą jej płacić. Ale zanim na to sobie pozwolił, kazał jej pokazać książeczkę zdrowia i sprawdził, czy jest tam podpis doktora Brucksa. Arnold domagał się zapłaty za swoje usługi. Jeśli Schreiter nie wywiąże się z zobowiązania natychmiast, Arnold doniesie redaktorowi Mischkemu, co łączy podwachmistrza z Hilde. Tego Schreiter obawia się bardziej niż gdyby Arnold zagroził mu, że podzieli się tą informacją z Flügelem.

– Wydawało mi się, że ktoś za mną idzie, dlatego przyspieszyłem kroku, nawet troszkę podbiegłem. Ktoś ciężki. Jakby wielkolud – mówi młodszy asystent kryminalny, nie otwierając oczu. Gdyby to zrobił, musiałby patrzeć na Flügela, a wtedy komisarz by się domyślił, że podwachmistrz coś przed nim ukrywa.

– No tak. Wielkolud, a wy, Schreiter, to bardziej niedożywiony szczawik. Ten wielkolud mógłby was... O, tak. – Flügel zaciska obie dłonie, po czym gwizdże i chrypi. – Znacie go? Poznalibyście?

– Nie – kłamie podwachmistrz. Arnold nie jest wielkoludem, ale i nie chodzącym szkieletem. Prędzej wygimnastykowany, to i kształtny, określa go w myślach.

– Rozpoznalibyście napastnika?

– Było ciemno.

– Nic nie widzieliście?

– Nie oglądałem się.

– Kroków nie słyszeliście?

– Kiedy on tak zniecka...

– A dlaczego was, Schreiter, tak zniecka zaatakował ten wielkolud? Rozumiem w Breslau, gdzie zbieranina z całego świata. Grünberg to nawet nie Liegnitz. Tu ludzie wiedzą, jak się nazywa zawiadowca stacji, kto, mimo że jest policjantem, nie chodzi w mundurze, kto pracuje u Gremplera czy u Raetscha. Ludzie nawet wiedzą, kto jest szpiclem. Nadburmistrz Finke spokojnie nie może wrócić z ratusza do domu. Każdy mu się kłania. Pewnie są i tacy, którzy udają, że go nie widzą, ale nikt nie napada na człowieka bez powodu. Jest coś, podwachmistrzu, o czym nie wiem? – pyta Flügel i nie czekając na odpowiedź, sam sobie wyjaśnia: – Nie można wykluczyć, że napad nie ma żadnego związku ze śledztwem prowadzonym w Schwarzer Adler. Żad-ne-go.

– To również przyszło mi do głowy, panie komisarzu – odpowiada Schreiter ciesząc się, że sekretarz kryminalny nie będzie go dłużej przepytawał. Mam dwa wyjścia, myśli. Zapłacić Arnoldowi i nie przyznawać się do znajomości albo znaleźć coś, za co sąd zapuszkuje go na kilka lat, a kiedy wyjdzie na wolność, Schreiter już będzie w Liegnitz lub Breslau. To drugie wydaje mu się łatwiejsze, tym bardziej że Arnold pochwalił się włamaniem do gospody w Lawaldau. I zaraz Schreiter podejmuje decyzję, że znajdzie sobie innego kapusia, o co w tych niełatwych czasach nie powinno być trudno. Najlepszy byłby redaktor Mischke. Za cenę dostępu do wiadomości z pogranicza kryminalistyki i obyczajówki nie powinien mi odmówić, wnioskuje. Powiem, że mam coś na niego, czego nie muszę ujawnić, ale mogę to zrobić, dlatego będzie musiał się zgodzić. Nie ma ludzi niewinnych, zwłaszcza że większość chętniej wierzy kłamstwom niż prawdzie.

Zaraz za drzwiami szpitala Flügel się pośliznął i byłby gruchnął na mokrą posadzkę, gdyby nie chwycił się klamki, co oznacza, że mimo sporej nadwagi, jest wygimnastykowany, jednak zaklął. Przekleństwo wyrzucone z jego ust jest tak gorszące, że diakonisa wchodząca do lecznicy zatrzymuje się i go beszta.

– Szpital to nie knajpa, młody człowieku. Wstyd, żeby dobrze wychowany mężczyzna tak się zachowywał.

Sekretarz kryminalny nie zwraca uwagi na jej słowa. Co innego ma na głowie. Deszczowa chmura już przesunęła się za Grünbergshöhe i od strony wieży ratuszowej pokazało się słońce. Flügel powinien jak najszybciej dostać się na Oberthorstrasse 5 i zdecydować, kto dokończy śledztwo w Schwarzer Adler. Najlepiej byłoby, gdyby Schreiter wstał z łóżka i je kontynuował, ale wiadomo, że podwachmistrz zostanie w szpitalu aż do poniedziałku. Może Normann? Na sobotnie popołudnie i niedzielę komisarz nie przydzielił konkretnego zadania starszemu asystentowi kryminalnemu. Normann ma być wieczorem w restauracji hotelu Kaiserhof i czekać na polecenia zwierzchnika. Zanim Flügel przyprowadzi tam dyrektora Brachmanna, starszy wachmistrz musi sprawdzić, czy na stole na pewno jest to, co kazał mu zamówić na kolację. Ostatniej niedzieli, kiedy w tym samym miejscu Flügel gościł inspektora von Paltoniego z dyrekcji policji w Breslau, który przyjechał do Grünbergu świętować siedemsetlecie miasta, jako przystawkę kelner podał galaretę drobiową zamiast wieprzowej, później przyniósł wątróbki wieprzowe smażone z jabłkami, a miały być wątróbki drobiowe duszone z cebulką i na koniec postawił na stole winiak z miejscowej wytwórni Raetscha, za którym breslauczyk nie przepadał. A gdzie jest Normann i co robi? Pewnie siedzi przy swoim biurku, dłubie w nosie albo drzemie. Tacy są wszyscy asystenci, twierdzi komisarz. Każdemu muszę wyznaczyć konkretne zadanie i sprawdzić, czy je wykonał. Może Schreiter jest troszkę inny, ale jaki mam z niego pożytek, skoro teraz, kiedy go potrzebuję, liczy muchy na szpitalnym suficie? Pomimo tego że Flügel nieźle zna okolice lecznicy Bethesdy, nie ma pewności, czy dobrze idzie do najbliższego postoju dorożek. Postój powinien być przed domem pogrzebowym na Rohrbusweg, skąd niedaleko na cmentarz Grüner Kreuz i do szpitala stojącego po drugiej stronie ulicy, ale w tym miejscu nie ma nie tylko dorożek, lecz i nawet żadnego

ślądu po końskim łąjnie. Czyli mam do wyboru: maszerować na plac przed stacją kolejową i stamtąd wrócić dorożką na Oberthorstrasse albo zmierzać piechotą prosto do komisariatu, co będzie tańsze i szybsze. Mimo że drugie rozwiązanie uznaje za lepsze, jeszcze się waha. Gdyby ktoś spośród znajomych spotkał go na An Graben i nie daj Bóg zapytał, co sekretarz kryminalny robi koło kościoła katolickiego Sankt Hedwigs, musiałby skłamać. Jednak decyduje, że wybierze pieszą drogę, ale nie przez Am Graben, a troszkę dalszą, przez Bahnhofstrasse. To zamiast kwadransa codziennych ćwiczeń gimnastycznych, jak nakazuje regulamin służby kryminalnej, którego Flügel stara się przestrzegać.

– Pan komisarz tutaj? – dziwi się doktor Klose, gdy policjant dochodzi do niedawno otwartego muzeum przy Neustadtstrasse. – Stało się coś, o czym nie wiem? Ktoś kogoś w hotelu... – Nie czekając na odpowiedź, zapewnia Flügel, że nie musi się go obawiać. – Ja nikomu. Wiem, ile znaczy tajemnica. – Palec wskazujący prawej ręki kładzie na zamkniętych ustach. – Nie chce pan, niestety, to nie, mniejsza z tym. Poczeka, co napisze „Grünberger Tageblatt”. Redaktor Mischke ma najlepsze wiadomości. On powinien być szefem naszej policji kryminalnej.

Flügel nieznacznie kręci głową, co oznacza, że od niego kierownik muzeum niczego się nie dowie, a do poniedziałku, kiedy ukaże się „Grünberger Tageblatt”, na pewno wszystko się wyjaśni. Starszy asystent Normann dostanie takie zadanie. Czy wykona je tak, jak tego oczekuje komisarz, to inna sprawa. Zresztą w poniedziałkowej gazecie ważniejsza okaże się relacja z mistrzostw Europy atletów niż informacja o zabójstwie pokojówki w Schwarzer Adler.

– Cóż, doktorze Klose, szanuję pana, ale musi pan mnie zrozumieć, że są sprawy wagi państwowej, o których nawet z zasłużonym grünberczykiem, jakim pan jest niewątpliwie, nie mogę rozmawiać. – Policjant kłania się kierownikowi muzeum i podniósłszy głowę wysoko rusza w stronę błyszczącej w słońcu, niedawno wyremontowanej wieży ratusza. Czeką go przejście obok dopiero co zbudowanej kliniki ginekologicznej. Tylko żeby doktor Brucks nie wyglądał przez okno albo nie wyszedł mi na spotkanie, prosi w myślach. Tego medyka nie da się tak szybko zbyć jak doktora Klosego. Twórcę kliniki, pastora z Zum Garten Christi i nadprezydenta komisarz Flügel uważa za te osoby,

bez których Grünberg nie byłby Grünbergiem. Do nich dodałby radcę budowlanego Severina, nie tyle pomysłodawcę miasta-ogrodu, co rzecznika tej idei i wcielania jej w życie nawet wbrew właścicielom winnic.

Ku radości komisarza ani przed kliniką doktora Brucksa, ani w znajdującym się po przeciwnej stronie Bahnhofstrasse ogródku Café Kaiserkrone, ani przed kinem Lichtspieltheater nie ma nikogo, kto wie, czym się zajmuje komisarz Flügel. Jeżeli i przed domem towarowym Wilhelma Graua nie zostaną zatrzymani, to spokojnie minę ratusz i bez nerwów dojdę do budynku policji. Chyba że nadburmistrz nie przepuści okazji, żeby się dowiedzieć, jak przebiega śledztwo. Doktorowi Ouvrierowi mógłby powiedzieć, że to nie jego sprawa i stary najwyżej by pokręcił głową niezadowolony, ale nie Finkemu.

– Panie komisarzu!

Flügel nie ma wątpliwości, że to zawołanie jest skierowane wprost do niego. Kto? Na pewno nie nowy szef grünberskiej policji, podkomisarz von Decha, który rzadko wychodzi ze swojego gabinetu. Do Grünbergu został skierowany z Glogau na kilka miesięcy. Minął rok, a on dalej wynajmuje mieszkanie w sąsiedniej kamienicy przy Oberthorstrasse, żeby mieć blisko do pracy. Podobno, ale to nie jest wiadomość potwierdzona, niedługo zostanie zastępcą dyrektora wydziału konwojowego prezydium policji w Liegnitz.

Machając ręką, jakby odganiał natrętne muchy, sprzed hotelu Kaiserhof w stronę Flügela idzie spieszenie starszy asystent kryminalny.

– A wy, Normann, dlaczego nie na posterunku? Co tu robicie w czasie służby? – zaczyna go karcić komisarz. – Już drugi tydzień czekam na raport z przeglądu zabezpieczenia okien banków przed włamaniami. Do jesieni się doczekam?

– A ja tu... – starszy asystent urywa i milczy, ale tylko przez chwilę, jakby w tym momencie przyszło mu do głowy ważniejsze zadanie do wykonania. – Tak sobie pomyślałem, że jeszcze jest coś do załatwienia. Ma się rozumieć w związku z przyjazdem pana dyrektora Brachmanna.

– Przecież zapewniliście mnie, że wszystko jest zapięte na ostatni guzik – przypomina Flügel, zaskoczony tym, co usłyszał od Normanna. – Powiedzieliście, że takiej kolacji...

– Kolacja będzie królewska. Cesarska! Ober poda to, co pan komisarz kazał zamówić. Pan dyrektor Brachmann zje kolację i co dalej? Do pokoju i spać? – Starszy wachmistrz robi aluzyjną minę. – Nie po to on przyjedzie do naszego Grünbergu, żeby się wysypiać. Trzeba pomyśleć o tym, co będzie robił po kolacji.

– Mówcie normalnie, Normann, bo nie mam czasu na domyślanie się, co siedzi w tym waszym pustym łbie.

– Pan komisarz po kolacji wróci do swojego mieszkanka, do żoneczki i buch z nią pod pierzynkę, rachu-ciachu, góra dół i uderzy w kimono, a dyrektor Brachmann...

– ... pójdzie do pokoju, który kazałem wam zarezerwować – kończy Flügel zadowolony.

– Pomyślałem jeszcze o czymś, czego pan komisarz nie kazał.

– Czyżbym czegoś nie kazał?

– Pomyślałem, że trzeba załatwić... no... Jak pan jest w hotelu, dajmy na to w Liegnitz, to na co ma ochotę?

– Mówcie mniej, a szybciej, Normann, bo nie mam czasu na wysłuchiwanie waszych głupot. O czym zapomniałem wam powiedzieć i wyście...?

– Jak do nas przyjeżdżają panowie z Liegnitz, to? – Starszy asystent kryminalny uśmiecha się dwuznacznie. – No, panie komisarzu, to co?

– Normann!

– Biorą kurwy do pokoi.

– Normann!

– A co w tym złego? Kurwy po to są.

– Normann.

– Kazałem dyrektorowi hotelu sprawdzić, która kurwa ma świeży podpis doktora Brucksa w książeczce zdrowia, żeby nie było na nas, jak dyrektor Brachmann podłapie jakąś francę – nic sobie nie robiąc z wyraźnie marsowej miny Flügela, wyjaśnia starszy wachmistrz. – Gdyby nie to, że Schreiter jest w szpitalu, jego bym zapytał, którą kurwę poleca. – Normann robi pół kroku w stronę komisarza i ściszone głosem mówi: – Podobno nieźle sobie radziła ta Krüger, tyle że jej rewir był w Schwarzer Adler. No i już zimna. Pan komisarz jej nie poznał? Nigdy z nią... tego, no?

– Normann! – krzyczy Flügel tak głośno, że przechodzący obok hotelu pochylony aptekarz Krawutschke zatrzymuje się i oderwawszy wzrok od bruku, przypomina sobie, że ten lepiej ubrany to szef grünberskiej policji kryminalnej. Kłania się. – Za kwadrans, Normann, czekam na was w moim gabinecie – dodaje komisarz, odkłaniając się właścicielowi apteki Adler. Flügel nie przyznał się starszemu wachmistrzowi, że gdyby był na jego miejscu, zrobiły to samo. Przecież każdy policjant w Grünbergu wie, po co przyjeżdżają inspektorzy z Liegnitz.

## 16

Zniecierpliwiony długim czekaniem na wszystkich atletów doktor Skarbeck odwraca się do okna, żeby nikt nie widział jego zdenerwowania wymalowanego na twarzy i zaczyna powoli wyciągać dewizkę z kieszonki kamizelki, na końcu której jest złoty junghans, jeszcze przedwojenny prezent od zarządu Europäischer Athleten-Club „Samson”. Za dwie godziny czternastu siłaczy musi być w restauracji Deutsche Reichshalle, gdzie po południu rozpoczną się eliminacje do zapaśniczych mistrzostw Europy. Przy śniadaniu polecił, aby zaraz po wczesnym obiedzie wszyscy atleci przyszli do jego pokoju w hotelu. Dawno minęła druga, a jeszcze nie ma Randjärva, Gurgulla i Maksymiaka. Od wiosennych zawodów w łotewskim Libau ci trzej zapaśnicy nie podporządkowują się decyzjom zarządu klubu, przekazywanym im przez doktora Skarbecka, które w rzeczywistości są jego osobistymi decyzjami. W Brombergu członek zarządu, czyli Skarbeck, musiał im ulec. Gdyby tego nie zrobił, nie doszłoby do zawodów, co oznaczało nie tylko kompromitację, lecz i pokrycie kosztów wynajęcia wielkiej sali w restauracji Alt Ringlein i zwrot pieniędzy za sprzedane bilety oraz tłumaczenie się w prezydium policji, a na to klub nie mógł sobie pozwolić. Gdyby prowodyrem był Estończyk Randjärv czy Polak Maksymiak, doktor Skarbeck pozbyłby się każdego

z nich już w Libau. Przywódcą buntowników jest Austriak. Gurgull nie dość, że ma mięśnie jakby wyrzeźbione przez Myrona, przy tym jest wyjątkowo zręczny i pełen życia, czym robi wrażenie przede wszystkim na męzatkach, które stanowią większość wśród widzów, to jeszcze jest dowcipny i nie ulega bezmyślnym podpowiedziom. W przeciwieństwie do pozostałych obcokrajowców Gurgull mówi biegle po niemiecku, co zrozumiałe, chociaż twaróg w jego ustach to topfen, a nie quark, jak mówią wszyscy Niemcy, nie najgorzej rozmawia po polsku i czesku, dlatego Skarbeck musi się z nim liczyć.

– Długo jeszcze będziemy tak bezproduktywnie siedzieli? – odzywa się Kalihack z pretensją w głosie. – Niech doktor ich zawoła.

Skarbeck powoli odwraca się do niego i unosi brwi.

– Ja? – pyta zaskoczony. – Ja mam ich zawołać?... Wy to zrobicie, Kalihack. Wy. Jesteście młodszy i głupszy. I wam, Kalihack, zwłaszcza wam, powinno zależeć na tym, żeby wszyscy byli obecni na odprawie – podkreśla doktor, ale nie wyjaśnia, dlaczego tak uważa. Zresztą to nie są ich pierwsze takie zawody, wszyscy więc powinni wiedzieć, o co chodzi w tym interesie.

Skrzypią drzwi. Do pokoju pakują się ci trzej, na których czeka Skarbeck i pozostali siłacze.

– Spóźniliście się – wytyka im Kalihack, uważając, że ma do tego prawo. – Doktor już się niecierpliwił. Minuta dłużej i któryś by musiał iść po was.

– Nie któryś, Josef, nie któryś. Tobie pan Skarbeck kazał skoczyć po nich – przypomina młodszy z Kocsisów.

– Mieszkamy w dziewiętnastce na drugim piętrze. Gdybyś, Josef, wiedział, że dziewiętnastce to mniej niż dwadzieścia, trafiłbyś. Jeszcze dużo musisz się uczyć – twierdzi Maksymiak, po czym wybucha zaraźliwym śmiechem.

Wszyscy się śmieją.

Kalihack nie lubi przegrywać, a to, co usłyszał od Polaka i młodszego Kocsisa uważa za jadowite. Dlatego postanowił, że się im odwzajemni co najmniej tą samą miarą, lecz jeszcze nie wie, kiedy i jak. Na razie ma pustkę w głowie. Gdyby chodziło o starszego z Kocsisów, już by mu przyładował, młodszego Węgra i Maksymiaka się obawia.



– Jeżeli są wszyscy, to na co czekamy? – Gurgull zwraca się do Skarbecka. W jego pytaniu jest sporo pewności siebie, czego doktor nie znosi.

– Spóźniasz się i jeszcze masz chęć rządzić – zarzuca Kalihack Austriakowi.

– Milczeć! – krzyczy doktor Skarbeck. Podnosi zaciśniętą pięść, co oznacza, że wszyscy mają siedzieć cicho i go słuchać. – Dawno minęła druga. Za niecałe dwie godziny musimy być w Deutsche Reichshalle. Stąd do restauracji najwyżej kwadrans. Kalihack poprowadzi nas najkrótszą drogą.

– Piechotą? – Gurgull instynktownie oponuje.

– Piechotą przez park – potwierdza już ułagodzony Kalihack.

– Przez ten park, gdzie rano znaleziono skopanego policjanta? – dopytuje się Gurgull takim głosem, jakby się bał o swoje życie. – Mówiłeś, że Grünberg to bardzo spokojne miasto – przypomina Kalihackowi.

Jeszcze godzinę temu doktor Skarbeck nie miał zamiaru poinformować ich o tym, czego dowiedział się od komisarza Flügela, ale teraz postanawia to zrobić. Jeżeli będzie przed nimi cokolwiek ukrywać, przestaną wykonywać jego polecenia. Niedopowiedzenia i domysły to największe przeszkody w utrzymaniu dyscypliny, a w tym, czym się zajmuje, dyscyplina jest ważniejsza niż osiągnięcia.

– Gurgull wspomniał o policjancie kryminalnym znalezionym dziś rano na brzegu stawku w parku, przez który Kalihack zaprowadzi nas do Deutsche Reichshalle. Kto zaatakował policjanta, kiedy i przede wszystkim dlaczego, to miejscowe służby kryminalne starają się wyjaśnić. Być może napad ma związek ze śledztwem rozpoczętym przez tego policjanta w naszym hotelu. Być może. – Doktor Skarbeck lustruje wzrokiem twarze atletów. Skończył studia prawnicze, ma kancelarię adwokacką, od czasu jak poszerzył Samsona o siłaczy z zagranicy, rzadko bywa w sądach jako obrońca, ale jeszcze nie zapomniał, jak zachowują się winowajcy. Nawet najbardziej sprytny oprych przed nim się nie ukryje. Obiecał komisarzowi Flügelowi, że jeżeli czegoś się dowie albo tylko się domyśli, natychmiast go poinformuje. Jemu przede wszystkim zależy na tym, żeby wśród podejrzanym nie było nikogo z klubu. – Ten młody policjant, stopnia

i nazwiska nie zapamiętałem, rozpoczął śledztwo w Schwarzer Adler. W naszym hotelu wczoraj przed wieczorem doszło do gwałtu i zabójstwa. Nie żyje pokojówka.

– Jak to nie żyje? – nie dowierza Maksymiak.

– Zgwałcona i prawdopodobnie uduszona – odpowiada Skarbeck, łamiąc obietnicę daną Flügelowi. – Proszę, abyście tego nie rozpowszechniali. I tak powiedziałem za dużo.

– Ta cycata blondyna, co to... zgwałcona i uduszona? – nie daje wiary Maksymiak. – Kto ją?

– Kogoś z nas policja podejrzewa? – Widząc niepewną minę Skarbecka, pyta Gurgull: – Którego?

– Edgars, tyś ją, co? – odzywa się młodszy z braci Kocsisów do Randjärva. – Przyznaj się. Najpierw żeś ją zerznął, co? Nie dała ci w obie dziury, to ją ukatrupiłeś. A może domagała się więcej pieniędzy, sknerusie?

Doktor Skarbeck dobrze wie, jak to się może skończyć, dlatego daje znak ręką Randjärwowi, żeby został na swoim miejscu. Dwa lata temu w Bamberger Hof zaraz po zawodach, gdzie Randjärv był pierwszy w kolejce do nagrody za zwycięstwo, a wbrew jego decyzji wygrał Steinmeier, siłacze zaatakowali Alzacyjnyka z taką furją, że wezwany do hotelu lekarz poza stwierdzeniem zgonu nie miał nic do powiedzenia. Bezradni policjanci pomogli łapiduchom wynieść ważące ponad trzy cetnary bezwładne ciało Steinmeiera do furgonu zakładu medycyny sądowej. W trakcie trwającego tydzień śledztwa kryminalni nikomu nie udowodnili morderstwa, chociaż nie mieli wątpliwości, że zabójca jest wśród atletów.

– Udało mi się przekonać komisarza Flügela, że przesłuchiwanie was dziś może mieć negatywny wpływ na obraz mistrzostw, a przecież chodzi o to, aby zostawić dobrą opinię w mieście. Nikt nie wie, co jeszcze spotka na swojej drodze życia, dlatego nie wolno palić mostów za sobą. Może być i tak, że kiedy grünberczycy dowiedzą się o zabójstwie w Schwarzer Adler, a na pewno się dowiedzą, to zaczną zwracać oddawać bilety wstępu i domagać się zwrotu pieniędzy. Nie po to przyjechaliśmy do Grünbergu, żeby walczyć w pustej sali i nie mieć z tego najmniejszej korzyści. O ile wiem, a na ogół nieźle się orientuję, wśród widzów będą miejscowe władze i wysoko postawione

osoby z Regierungspräsidium zu Liegnitz. Komisarz Flügel powiedział mi - Skarbeck milknie, żeby to, co za chwilę powie, zabrzmiało sekretnie, a atleci uznali się za wybrańców dopuszczonych do tajemnej wiedzy - że swój przyjazd zaanonsował inspektor Brachmann. Flügel ma mu towarzyszyć. Kim jest ten Brachmann, nie dociekałem. Dlatego miejscowa policja nie będzie się zajmowała zabójstwem w hotelu aż do zakończenia mistrzostw - powtarza Skarbeck to, co usłyszał od sekretarza kryminalnego. Tajniacy i policjanci po cywilnemu nie będą odstępowali nas na krok, myśli doktor, ale tego nie wyjawia. - Jest i druga sprawa. Jak wspomniałem, tej nocy został napadnięty młodszy asystent kryminalny, który już wczoraj wieczorem rozpoczął śledztwo dotyczące zabójstwa w naszym hotelu. Ów podwachmistrz z niezbyt ciężkimi obrażeniami ciała znajduje się w szpitalu. W tej sprawie policja ma przeprowadzić dochodzenie. Tym bardziej że istnieje podejrzenie o związek między zabójstwem pokojówki i napadem na podwachmistrza.

- Ja mam czyste ręce - wyrywa się młodszy Kocsis. - Od obiadu spałem jak zabity.

- Ja też - zapewnia jego brat i podnosi obie dłonie. - Wczoraj zaraz po kolacji położyłem się do łóżka.

- Mnie mogą przesłuchiwać do usranej śmierci - mówi Maksymiak głosem zobojętniałym.

- W poniedziałek muszę być w Berlinie. Dwa kwadransy na dziewiątą mam bezpośredni pociąg do Reppen, tam przesiadka i prosto na Schlesischer Bahnhof. Na popołudnie zaplanowaliśmy zebranie zarządu klubu. Przed nami zawody o wielką nagrodę Paryża. Tysiąc franków w złocie za pierwsze miejsce piechotą nie chodzi, prawda Randjärv. - Skarbeck daje Estończykowi do zrozumienia, że jest wśród podejrzanych o zabójstwo w hotelu i napad na policjanta, co komplikuje uzgodnienia. Jeszcze nie wszyscy atleci wiedzą, że on ma zwyciężyć w Paryżu.

- Ja też muszę jutro wyjechać. Żona rodzi lada dzień. - Estończyk podchodzi do Austriaka. - Nos mi podpowiada, Gurgull, że nie tylko kuśką dobrałeś się do tej pokojówki. Mam rację? Przyznaj się i będziemy mieli śledztwo z głowy.

Redaktor Mischke znowu ma szczęście. Przed hotelem Kaiserhof spotyka starszego asystenta kryminalnego Normanna. Ile razy w mieście wydarzyło się coś, o czym miał zamiar napisać w „Grünberger Tageblatt”, tyle razy pomagał mu ten starszy wachmistrz. Mischke traktuje Normanna jak przygłupa, mimo tego bez jego pomocy nie byłby tym dziennikarzem, o którym grünberczycy mówią, że wie dużo więcej niż policjanci kryminalni i rewirowi, proboszcz Krebs z kościoła Zum Garten Christi i ksiądz Sappelt z parafii katolickiej oraz urzędnicy magistraccy i radcowie razem wzięci. Zapytany przez szefa redakcji poczytnego „Niederschlesisches Landpost”, czy przyjmie jego propozycję przeniesienia się do stolicy prowincji, odpowiedział, że, po pierwsze, w Breslau nikogo nie zna, a po drugie, w wielkim mieście byłby jednym wśród wielu dziennikarzy. W Grünbergu nawet burmistrz Ouvrier nie wchodzi mu w drogę, a to przecież nieustępliwy urzędnik. Zanim nadburmistrz Finke ogłosi swoją decyzję, Mischkego prosi nie tylko o opinię, lecz i pyta, jak ją przyjmą grünberczycy. To, że mieszkańcy za głośno nie protestowali przeciw wydatkom z kasy miejskiej na świętowanie siedemsetlecia, w dużej mierze jest zasługą redaktora Mischkego. Byli tacy, którym nie podobało się huczne świętowanie, ale przecież tacy są wszędzie. Rzadko się zdarza, żeby dwie osoby były zgodne w poglądach na tę samą sprawę. W Grünbergu co jedna osoba krytykuje, to druga wychwala, o czym przekonał się architekt Severin, gdy zaczął zamieniać zdziczały las na Piastenhöhe w park.

– Macie, Normann, ochotę na zimne piwko? – Mischke pyta policjanta. Starszy wachmistrz zawsze ma ochotę, a zwłaszcza wtedy, kiedy może się napić na cudzy koszt, ale odpowiada, że jest na służbie. Co innego wieczorem. Tyle że wieczorem kogo innego Mischke zaprosi na piwo albo, co jest więcej niż pewne, pójdzie tam, gdzie zawsze chodzi w piątki wieczorem. Do czekającej na niego Hilde. Redaktor wkłada dłoń do lewej kieszeni spodni, gdzie ma paczkę salem goldów, ale zaraz ją wyjmuje. Luksusowe papierosy nosi dla lepszych gości. Normann także odpowie na każde pytanie, jeżeli zostanie poczęstowany

halpausami. – Czy już wiadomo, kto udusił tę Krüger w hotelu przy Breitestrasse? Policja ma podejrzanego? A może od razu zabójcę? – pyta jakby od niechcienia.

– Do prowadzenia tej sprawy komisarz Flügel wyznaczył Schreitera. Od niego pan redaktor niczego się nie dowie.

– Służbista jak każdy początkujący policjant, co? Popracuje tak długo jak wy, Normann, to inaczej będzie się traktował służbę.

Zadowolony starszy wachmistrz wypręży się dumnie.

– Wczoraj wieczorem Schreiter przepytał recepcjonistę i zamiast dalej prowadzić przesłuchania, jak nakazują przepisy, zrobił sobie przerwę na kolację. Żeby chociaż zszedł do hotelowej restauracji, gdzie byłby obsłużony co najmniej tak jak pan burmistrz, to poszedł aż na Grosse Bergstrasse do Deutsche Reichshalle.

– Pewnie był ciekawy, jak wyglądają przygotowania restauracji do tych mistrzostw, co mają się zacząć dziś przed wieczorem – domyśla się Mischke. – Chyba pierwsze wydarzenie tej rangi w naszym Grünbergu.

– Kiedy po kolacji wracał z restauracji do hotelu, żeby dalej prowadzić przesłuchania, w parku ktoś na niego napadł.

– W nocy ktoś napadł na policjanta kryminalnego w Sandpfützen? – Mischke już to wie, ale robi wielkie oczy i kręci głową z udawanym niedowierzaniem. – Czy ten ktoś, kto na niego napadł, zdawał sobie sprawę z tego, co mu grozi? Przecież za samo podniesienie ręki na policjanta rewirowego, co jest tylko zniewagą, można dostać grzywnę albo i rok spędzić za kratami. A za napad na policjanta kryminalnego, do tego w trakcie wykonywania obowiązków służbowych, dużo więcej. Być policjantem to odpowiedzialne zadanie, lecz i wyjątkowo niebezpieczne.

Normann nie pamięta treści tego paragrafu Kodeksu karnego, w którym jest mowa o naruszeniu nietykalności funkcjonariusza, ale się zgadza z tym, co powiedział Mischke.

– Rano nasi z patrolu znaleźli Schreitera na brzegu stawku. Jeszcze był zamoczony. Podobno dostał czymś w głowę.

– Żyje?

– Jest w szpitalu.

– I u nas robi się niebezpiecznie – mówi Mischke bardziej do siebie niż do policjanta. – Czy już wiadomo, kto go tak załatwił?

– Wiadomo jedynie, panie redaktorze, że wieczorem po kolacji Schreiter wyszedł z Deutsche Reichshalle i szedł do Schwarzer Adler. W parku ktoś go zaatakował. Po mojemu – Normann ścisza głos i pochyla się do ucha dziennikarza – to ma jakiś związek z tymi mistrzostwami, co zaczną się wieczorem w Deutsche Reichshalle. Jaki? – Rozciąga ręce i przechyla głowę na prawą stronę. – To musowo wyjaśnić. Mu-so-wo – sylabizuje, naśladując Flügela, co uważa za podniesienie swojej rangi. – Teraz komisarz pewnie mnie wyznaczy do prowadzenia śledztwa.

– Kiedy już czegoś się dowiedziecie... Jak zawsze przyjdziecie z tym do mnie, prawda?

– Na mnie pan redaktor może liczyć – zapewnia go policjant. Ma nadzieję, że Mischke ponownie poczęstuje go halpaussem. – Innemu... bym za żadne pieniądze, a panu redaktorowi to ja zawsze.

Ocienioną koronami lip Bahnhofstrasse od strony kina idzie Arnold. Jego Mischke uważa za źródło lepszych informacji niż te, które dostaje od Normanna. Starszy wachmistrz czasem coś ukrywa albo szachruje, a Arnold zawsze potrzebuje pieniędzy. Mischke się dziwi, na co on wydaje marki pobierane od niego i od Schreitera, a może i jeszcze od kogoś. Gdyby miał żonę i dzieci na utrzymaniu, wiadomo, rodzina to studnia bez dna. Pewnie na kurwy. Ale przecież miejscowe kurwy on ma za darmo, to znaczy odwdzięczają mu się tym, za co Mischke im płaci. Arnold zauważa redaktora i policjanta przed hotelem Kaiserhof, dlatego nagle skręca w Niederstrasse i znika za narożnikiem najlepszej cukierni w mieście. Coś ma na sumieniu, podejrzewa Mischke. Albo wie to, czego jeszcze nie wie Normann i dlatego przed nim ucieka. Chyba nie przede mną? Jeszcze dziś muszę go dorwać.

Ostatni raz Mischke był w Deutsche Reichshalle jesienią zeszłego roku, kiedy jeszcze nad drzwiami restauracji wisiała niewielka tablica z wyblakłym napisem Vereinshaus. Najczęściej zagląda do Wiener Café, do której ma dosłownie kilkadziesiąt kroków z budynku zajmowanego przez redakcję i gdzie znajdują go wszyscy kelnerzy. Nie poszedłby do restauracji przy Grosse Bergstrasse i dziś, gdyby szef „Grünberger Tageblatt” nie kazał mu ustalić wcześniej niż zrobi to policja, kto napadł na młodszego asystenta kryminalnego. A gdyby udało mu się dotrzeć do sprawcy napadu i usłyszeć odpowiedź na pytanie, dlaczego to zrobił, jeszcze dziś miałby gotowy artykuł i mógłby spodziewać się jeśli nie premii, to na pewno pochwały. Na razie dowiedział się tyle, że po przesłuchaniu recepcjonisty Geissmanna podwachmistrz Schreiter poszedł na kolację do Deutsche Reichshalle.

Ledwie dziennikarz przekroczył próg i jeszcze nie powiesił melonika na wieszaku, już w jego stronę idzie Wilhelm Stier, jakby czekał na takiego gościa. Podniósłszy ręce, uśmiechając się szeroko, zarządca Deutsche Reichshalle wita Mischkego jak starego znajomego. Już nie ma mu za złe tego, co napisał o tym miejscu, gdy jeszcze nazywało się Vereinshaus.

– Kogóż moje oczy widzą! Nie za wcześnie? Zawody rozpoczną się dopiero za dwie godziny, redaktorze. I to eliminacje. Finał dopiero wieczorem. Naprawdę będzie co oglądać. – Stier bierze Mischkego pod ramię i prowadzi do stolika blisko szynkwasu. – Może obiadek? Polecam ragout z ozorków wołowych. Naprawdę pyszne, a z kartofelkami smażonymi na gęsim smalcu, jak mówi doktor Klose, palce lizać. Coś podobnego podają u Haasego w Breslau. Ile razy jestem w naszym Breslau, załatwiam, co mam do załatwienia i idę do restauracji Haasego. Panu mogę się przyznać, że to w celu szpiegowskim. – Stier puszcza oko do Mischkego. – Czyli ragout z kartofelkami? I po smakowitym obiadku kieliszek scharlachbergu. Zostało troszkę z siedemsetlecia. Proszę sobie wyobrazić, że specjalnie sprowadziłem osiem skrzynek. Osiem – podkreśla. – Została jedna, akurat będzie na mistrzostwa. Oczywiście pierwszy kieliszek na koszt restauracji. Co pan redaktor na taką propozycję?

Mischkego nie trzeba namawiać na darmowy poczęstunek. Jak każdy dziennikarz lubi dobrze zjeść i wypić, a jeśli Stier proponuje kieliszek winiaku, na jaki stać niewielu grünberczyków, i to na własny koszt,

byłby głupcem, gdyby nie skorzystał z okazji. Chociaż, zastanawia się, czy Stier na pewno każe go poczęstować scharlachbergiem. Trzeba być nie byle jakim znawcą trunków, żeby odróżnić ten winiak od również oszałamiających wyrobów z grünberskiej wytwórni Raetscha.

– Najpierw piwo. Ma się rozumieć nasze Jubiläum – mówi, wycierając czoło przepoconą chusteczką. Wolałby halbę Hohbergier z Löwenbergu, ale ponieważ nie zna Stiera za dobrze, dlatego udaje, że popiera wszystko, co jest grünberskie. Jeszcze burmistrz Ouvrier nie przekonał nadburmistrza Finkego, że miasto powinno hucznie świętować swoje siedemsetlecie, a Mischke już podał w gazecie, kiedy odbędą się obchody i że miejscowe fabryki powinny wziąć przykład z browaru Bergschloss, który z tej okazji będzie warzył piwo o nazwie Jubiläum. O książce Schmidta *Geschichte der Stadt Grünberg, Schlesien* napisał, że to arcydzieło, jakiego nie powstydziliby się Breslau.

– Dwa razy jubiläum i dla pana redaktora ragout z ozorków. Po obiedzie podacie kieliszek scharlachbergu – poleca Stier oberowi.

– Czy wczoraj wieczorem on także obsługiwał gości? – pyta Mischke, pokazując głową na drzwi, za którymi zniknął kelner.

– W tym tygodniu Heinrich przychodzi na dzionek. Jest od ósmej rano do piątej po południu. Zmienia go Thomas. Na dzisiejszy wieczór kazałem zatrudnić jeszcze dwóch oberów z Wiener Café. U nich pustki, a u nas będzie więcej niż dwie setki gości do obsłużenia. Przyjadą panowie z Liegnitz. Taka okazja może się nie powtórzyć. Jak będą pisali o mistrzostwach, bo będą pisali, to muszą podać, że odbyły się w Deutsche Reichshalle. Reklama za darmo.

– Wczoraj wieczorem pan też był w restauracji?

– Wszedłem zaraz po ósmej. A coś...? – zaczyna Stier i nie kończy pytania. Jego małe oczy robią się jeszcze mniejsze.

– Gdzie mieszka ten ober, co obsługiwał gości wczoraj wieczorem? Thomas. Jak się on nazywa?

– Fischer. Thomas mieszka przy Hohe Strasse? – upewniając się, zarządca pyta kelnera, który stawia przed Mischkem talerz z zamówionym ragout. Ten przytakuje. – Za dwie godziny powinien przyjść. Dziś ze względu na mistrzostwa cała załoga restauracji pracuje



na zdwojonych obrotach. A Fischer coś... tego? Znowu? Prawda, jest porywczy, ale nie zamieniłbym go na innego. Czasem mnie zastępuje.

## 19

Po każdej nocce Leoni Baubach wraca z hotelu do domu rodziców przy Brauereiweg i zawsze na cztery, pięć godzin kładzie się do łóżka. Pomimo nakazanej przepisami ciszy nocnej jako pokojówka w Schwarzer Adler ma pełne ręce roboty. Najtrudniejsza do zniesienia jest każda noc z piątku na sobotę i z soboty na niedzielę. Wtedy niemal bez chwili odpoczynku krąży między restauracją na parterze i pokojami na obu piętrach. Zdarza się, że podchmieleni goście mają ochotę z nią porozmawiać dłużej albo, przed czym pan Wachnik ostrzegł, gdy przyjmował ją do pracy w hotelu, wciągnąć do łóżka i nawet zapłacić. Ostatnia noc była bardzo trudna, ale nie ze względu natręctwo czy żądania gości, a z powodu tego, co się wydarzyło w służbówce dla pokojówek. Ktoś zgwałcił i udusił Kathrin Krüger.

Zawsze między dwunastą a pierwszą Leoni się budzi. Umyta pachnącym mydłem, w świeżej sukience przemyka na Hohe Strasse do domu Thomasa. On jeszcze leży w łóżku, jakby na nią czekał. Robią to, co każda młoda żona robi z mężem, chociaż jeszcze nie są małżeństwem, ale przecież będą od Bożego Narodzenia. Thomas na pewno się z nią ożeni, mimo iż jego matka uważa, że mógłby poszukać sobie bardziej posażnej panny. Pani Fischer najbardziej podoba się Else, córka pana Glaubitza, właściciela warsztatu szewskiego i sklepu z obuwem niedaleko ratusza. Thomas też miał być szewcem, nawet rozpoczął naukę tego fachu, ale przyszła wojna i razem z tysiącami mężczyzn został wcielony do 3. Posensches Infanterie-Regiment Nr. 58. Siedmuset grünberczyków nie wróciło z frontu, a jemu udało się nie tylko wrócić do domu rodzinnego, lecz i bez najmniejszej rany. Kiedyś przyznał się Leoni, że gdyby nie był pomocnikiem ordynansa w polowym kasynie sztabu regimentu,

to zostałyby zabity pod Verdun, gdzie zginęło najwięcej żołnierzy niemieckich i francuskich, a jeśli nie tam, to nad Sommą albo na jeszcze innym polu bitwy.

– Z powodu wojny najbardziej cierpią żony i matki – powtórzyła Leoni po Kathrin Krüger, czego nie rozumiała, a mimo to z czym się zgadzała. – Gdyby kobiety władały państwami i dowodziły armiami, nie byłoby konfliktów zbrojnych. Dlaczego mężczyźni wywołują wojny?

Tego Thomas nie wiedział, ale odpowiedział, że na wojnie nie chodzi o pokój, a o zwycięstwo.

– Dowódca naszej kompanii codziennie rano powtarzał, że ten, kto zabije najwięcej żołnierzy nieprzyjaciela, wieczorem powinien spodziewać się odznaczenia medalem za waleczność. Najczęściej ci, którzy zasługiwali na Militär-Ehrenzeichen, także ginęli albo dostawali Verwundetenenabzeichen.

– Ktoś puka – mówi Leoni, odsuwając się od Thomasa i unosząc się na łokciach, czym daje mu do zrozumienia, że powinien wstać z łóżka i sprawdzić.

– Przesłyszałaś się. Kto by przyszedł o tej porze? – Thomas ignoruje jej stwierdzenie. Odwraca się na lewy bok, schyla się nad nią i wezbranymi wargami otacza sutek jednej piersi, a prawą dłoń kładzie na drugiej, tej większej. Leoni przymyka oczy. Czuje szorstkość i zarazem delikatność oraz gorąc jego wilgotnego języka. Nic nie słyszy, niczego nie widzi i pragnie, żeby to trwało jak najdłużej. Thomas przesuwa prawą rękę wzdłuż jej ciała, na moment zatrzymuje dłoń nad pępkiem i wędruje dalej. Jego palce powoli przekraczają granicę wstydu, docierają do kępki, mierzwią włosy, aby za chwilę wślizgnąć się między spojenie nóg. Nawet nie zauważa, kiedy Leoni je rozchyła.

Pukanie do drzwi się powtarza. Leoni nieruchomieje.

– Twoja matka – mówi szeptem, ale jeszcze nie zwiera nóg i nie otwiera oczu. Nasłuchuje, bo może to wiatr uderza w drzwi. Chciałaby, żeby to był wiatr, a nie matka Thomasa. Gdy pukanie się powtarza, Leoni łączy nogi i naciąga pierzynę na ramiona. – Twoja matka.

– O tej porze moja matka jest w pralni. Wróci nie wcześniej niż wieczorem, kiedy ty znowu będziesz w Schwarzer Adler i ja w Deutsche Reichshalle. Zresztą, ma klucz, to dlaczego by pukała?

– Jednak ktoś puka. Słyszysz?

– Niech sobie puka – odpowiada Thomas, ponownie wciskając prawą dłoń między jej nogi.

Mimo niewyspania, bo co to pięć godzin snu, Leoni czuje się szczęśliwa. Nawet jeśli po tym, co każdego dnia robi w Thomasem w jego łóżku okaże się, że jest w ciąży, nie będzie na niego zła. Na siebie też nie. Wolałaby jednak, żeby do tego nie doszło przed ślubem, ale to przecież nie tylko od niej zależy. Jeszcze zanim zbliżyła się do Thomasa, chciała zapytać matkę, po czym kobieta poznaje, że już jest w ciąży, lecz się wstydziła. Zresztą matka pewnie by nie wyjaśniła, dlatego zadała to pytanie Kathrin Krüger. Ta długo milczała, jakby nie знаła odpowiedzi, co zastanawiało Leoni, bo przecież niedługo miała się wydać za Kurta. Potem, nie wdając się w szczegóły, Kathrin odpowiedziała, że każda kobieta powinna to czuć.

– Pierwszym znakiem jest brak krwawienia miesięcznego, ale to czasem jeszcze nie oznacza rzeczywistej ciąży. Jeśli oprócz braku miesiączki kobieta zauważy powiększanie się piersi i towarzyszący temu ból brzucha, będzie senna i zmęczona – wyjaśniła Hedwig Knoblich dodając, że nie zawsze tak jest. Ona urodziła czworo dzieci, a z tymi, które umarły, byłoby siedmioro, ale tylko przy pierwszej ciąży nie wiedziała, dlaczego często zbierało się jej na płacz i miała apetyt na kiszzone ogórki. Przy kolejnych nie czuła się ani senna, ani zmęczona, ani nie płakała, ledwie zjadła, już była głodna. – I do tego ciągnęło mnie do chłopca nawet w biały dzień.

– A jednak ktoś puka.

Thomas niechętnie podnosi się z łóżka. Na nagie ciało naciąga tylko koszulę i spodnie. Wychodzi z pokoju, kładąc palec wskazujący na ustach. Leoni rozumie, że ma milczeć, a jeszcze lepiej zrobi, jeżeli ukryje się pod pierzyną.

– Fischer? – pyta ktoś, komu Thomas otworzył drzwi. Powinien się przedstawić, Leoni przypomina sobie polecenie pana Wachnika. Dyrektor hotelu nakazał pokojówkom, żeby pukały do drzwi i zawsze informowały gości kim są. A może to policjant w mundurze? Robi jej się jeszcze bardziej gorąco niż wtedy, kiedy czuła palce dłoni Thomasa między swoimi udami. Ktoś z policji po nią przyszedł. Zastanawia się, od kogo policjant dowiedział się, gdzie jej szukać. Pewnie pani Borek

stała za oknem i patrzyła, dokąd idę. Przed tą szantrą nic się nie ukryje. Gdyby kobiety przyjmowano do policji kryminalnej, pani Borek byłaby ponadprzeciętnym detektywem.

– Pan to kto? – stawia się Thomas.

– Mischke z „Grünberger Tageblatt”.

Aha, to jest ten dziennikarz, który wczoraj wieczorem był w Schwarzer Adler i pytał pana Geissmanna, co się wydarzyło w hotelu. Dziś rano Leoni widziała, jak redaktor Mischke wszedł do gabinetu pana Wachnika i jak po rozmowie trwającej może pięć minut z trzaskiem zamyknął za sobą drzwi. Stała wtedy na korytarzu za rogiem i prosiła w myślach, żeby nikt jej nie zauważył.

– Fischer to ja – słyszy odpowiedź Thomasa. – Czym mogę służyć?

– Pracujecie w restauracji Deutsche Reichshalle jako ober?

– Zgadza się, proszę pana.

– Czy wczoraj wieczorem był u was młody asystent kryminalny podwachmistrz Schreiter?

– Był, proszę pana.

– O której godzinie?

– O której? – powtarza Thomas i po dłuższym milczeniu odpowiada:

– Między ósmą a dziewiątą. Bliżej dziewiątej.

– Kto go obsługiwał?

– Ja, proszę pana.

– A czy pamiętacie, Fischer, co mu podaliście?

– Tak, proszę pana.

– Co to było?

– Kiełbasa ze smażoną kapustą i kartoflami opiekanymi na gęsim smalcu. Do tego halba Hohbergbier.

– Jak się zachowywał podwachmistrz Schreiter?

– Zwyczajnie, proszę pana.

– Zwyczajnie, czyli jak?

– Zamówił, zapłacił, zdjął cylinder z wieszaka i wyszedł z restauracji.

– O coś was, Fischer, pytał?

– Obowiązkiem kelnera jest grzeczne odpowiadanie na pytania gości, proszę pana.

– O co zapytał Schreiter?

– Czy restauracja już jest przygotowana na przyjęcie gości, którzy w sobotę po południu i wieczorem będą przypatrywali się mistrzostwom zapaśników.

– Tylko o to?

– Tak, proszę pana.

– A was, Fischer, nie zaciekało, dlaczego policjant kryminalny interesuje się mistrzostwami?

– Nie, proszę pana.

– Podobno Schreiter rzadko zaglądał do Deutsche Reichshalle?

– Tylko dwukrotnie obsługiwałem pana podwachmistrza. Pierwszy raz wtedy, kiedy pan Stier odpowiadał na pytania komisarza Flügela. Było to po włamaniu do magazynku broni na strzelnicy przy Schützenstrasse, proszę pana.

Tamto wydarzyło się w sierpniu. Niedługo minie rok, a policja jeszcze nie wpadła na ślad złodzieja Judenflinte, jak ci, którzy wrócili z wielkiej wojny, nazywają Gewehr 88. Mischke jest przekonany, że ten, kto włamał się do magazynku i ukradł karabinek, zrobił to po to, aby napadać na domy zamożniejszych rodzin grünberskich i je ograbiać. Takie zdarzenie miało miejsce zimą przy Bahnhofstrasse, kiedy pod nieobecność właścicieli nieustalony dotąd sprawca włamał się do willi i przy pomocy karabinka sterroryzował służbę, a potem zabrał biżuterię znajdującą się w sypialni. Zdaniem komisarza Flügela napastnik dobrze wiedział, gdzie pani domu przechowuje swoje klejnoty.

– Powiedzieliście, że Schreiter pytał, czy restauracja jest przygotowana na przyjęcie gości mistrzostw. Czy was, Fischer, nie zastanowiło, dlaczego akurat tym interesuje się asystent kryminalny?

– Pan Stier kazał pytać gości, czy im smakowało to, co zamówili.

– I zrobiliście tylko tyle, ile kazał pan Stier. Pamiętacie, co Schreiter odpowiedział?

– Że mu smakowało, proszę pana.

– Aha, smakowało, Fischer. A czy w restauracji był jeszcze ktoś, kto obserwował Schreitera?

- Było dużo gości. W piątki wieczorem zawsze jest ich dużo, proszę pana.
- A może ktoś przysiadł się do stolika Schreitera?
- Tak, proszę pana.
- Kto?
- Pan Arnold.
- Arnold? To było spotkanie przypadkowe?
- Tego nie wiem.
- Rozmawiali?
- Tak, proszę pana.
- O czym?
- Nie podsłuchiwałem. Nigdy tego nie robię.
- Mam wam wierzyć, Fischer? Każdy ober podsłuchuje. I każdy jest na usługach policji. Każdy ober, każda dziwka, każdy fiakier, każdy subiekt. Nawet każdy szewc i krawiec.
- Ja nie.
- Wy nie? Ha, ha.
- Tak, proszę pana.
- Jak wyglądała ta rozmowa? To znaczy może Arnold wygrażał Schreiterowi? Albo Schreiter straszył Arnolda?
- Nie, proszę pana.
- Co nie?
- Niczego takiego nie zauważyłem.
- Jak się zachowywali?
- Pan Schreiter siedział oparty plecami o poręcz krzesła i pił piwo. Pan Arnold oparł się łokciami o blat stolika.
- Długo to trwało?
- Nie więcej niż kwadrans.
- Mówili podniesionymi głosami?
- Nie, proszę pana.
- Co było potem?
- Potem pan Arnold wrócił na miejsce, gdzie siedział zanim podszedł do stolika pana Schreitera.
- Sam tam siedział?
- Było jeszcze dwóch młodych panów. Pierwszy raz ich widziałem.

– A Schreiter?

– Wypił piwo, zapłacił, wziął cylinder z wieszaka i wyszedł z restauracji.

– Arnold i ci dwaj, z którymi siedział przy stoliku?

– Co, pan Arnold?

– Pytam, Fischer, czy Arnold i ci dwaj, z którymi siedział przy stoliku, też wyszli.

– Niedługo po panu Schreiterze pan Arnold także wyszedł z restauracji. Ci dwaj goście zostali.

– Arnold wrócił?

– W piątki i soboty Deutsche Reichshalle jest otwarta do północy. Wczoraj pan Stier kazał zamknąć restaurację o dziesiątej, żeby przygotować lokal na dzisiejsze mistrzostwa.

– Niewiele od was, Fischer, można się dowiedzieć. Udajecie albo jesteście... Gdyby jednak coś się wam przypomniało... wiecie, gdzie mnie szukać.

– Tak, proszę pana.

– Radzę sobie przypomnieć. Każdy, kto jest ze mną, nieźle na tym wychodzi.

Thomas wraca do pokoju, siada na brzegu łóżka i ukrywa twarz w dłoniach. Zastanawia się, kto powiedział Mischkemu, gdzie mieszka i dlaczego dziennikarz tak długo pytał go o podwachmistrza Schreitera. Przecież wczoraj wieczorem nic takiego nie stało się w restauracji, co powinno interesować policję.

– Kto to był? – Leoni poznała Mischkego po głosie, ale udaje, że nie wie z kim Thomas rozmawiał.

– Redaktor z „Grünberger Tageblatt”.

– Redaktor? Do ciebie? A czego on...? – Leoni urywa, bo nie wie, jak dokończyć pytanie, a nie ma zamiaru zdradzić się, że wszystko słyszała. Póki Thomas nie wspomniał o Arnoldzie, Leoni wsłuchiwała się w rozmowę bez ciekawości. Towarzystwo Arnolda niczego dobrego nie wróży. Po krótkim namyśle pyta, czy Thomas zna redaktora, z którym rozmawiał.

– Znam tak jak wszyscy, którzy czytają gazetę.

– Przyszedł w konkretnej sprawie?

– Pytał o tego młodego asystenta z policji kryminalnej, pana podwachmistrza Schreitera.

– Gdy pan doktor Brucks stwierdził, że Kathrin została zamordowana, pan Schreiter rozpoczął śledztwo. Że ktoś z hotelu ją udusił. Przesłuchał pana Geissmanna i wyszedł na kolację. Po powrocie miał przesłuchać pana Wachnika. Pan dyrektor do rana na niego czekał. Rano przyszedł ten redaktor, Mischke, rozmawiał z panem Wachnikiem. Pytał, czy to prawda, że ktoś spośród gości hotelu najpierw zgwałcił Kathrin i później ją udusił. Boże, miałam nikomu o tym nie mówić. – Policzki Leoni nagle robią się jeszcze bardziej czerwone niż pierzyna, pod którą leży.

– Pan Mischke już coś wie. – Thomas nie przyznaje się, że zastanawia go wczorajsza rozmowa Arnolda z Schreiterem. Do jego uszu niewiele dotarło. Z układu ust i gestów wywnioskował, że pytanie Arnolda dotyczyło pieniędzy. Domagał się zapłaty. Za co, tego wczoraj Thomas się nie domyślił. Dziś przypuszcza, że za jakieś usługi. Wszyscy kelnerzy w Grünbergu wiedzą, czym zajmuje się Arnold. Muszą to wiedzieć, bo właściciele i zarządcy restauracji tego od nich wymagają, a goście czasem pytają o prostytutki.

Leoni podnosi pierzynę i przesuwają ją na środek łóżka, zginając nogi w kolanach i rozsuwając je na boki tak, żeby Thomas nie miał wątpliwości, na co znowu ma ochotę.

## 20

Tyle, ile Mischke dowiedział się od Fischera na temat tego, co w piątek wieczorem działo się w Deutsche Reichshalle, wystarczyło mu do utkania hipotezy, że tym, który napadł na podwachmistrza Schreitera w Sandpfützen, był Arnold albo ktoś, kogo Arnold do tego wynajął lub zmusił. Dlaczego to zrobił, tego Mischke jeszcze się nie domyśla. Przypuszcza, że poszło o zaległą zapłatę. Za co? Pewnie za jakieś usługi. Schreiter zobowiązał Arnolda do donoszenia na kogoś,



kogo policja wzięła na cel, albo Arnold z własnej woli mu donosił, za co miał dostać pieniądze. Nikt tak dobrze nie wie jak dziennikarz, kto jest jawnym i kto niejawnym współpracownikiem policji. Mischke nigdy nie był konfidentem i choćby redaktor naczelny wydał mu takie polecenie, nikogo nie wsypie za żadne pieniądze. Ważniejsza jest własna godność niż zaszczyty i nakazy. Chociaż czasem nie miał innego wyjścia, jak podzielić się informacją z komisarzem Flügelem, ale nigdy za pieniądze i nie w budynku przy Oberthorstrasse 5, dokąd z redakcji „Grünberger Tageblatt” jest tak samo blisko jako do Wiener Café. Wiele razy zdarzało się, że przy halbie piwa w restauracji obok kościoła Zum Garten Christi Mischke naprowadzał sekretarza kryminalnego na trop czegoś, na co on nigdy by nie wpadł. W rewanzu komisarz odwzajemniał się dziennikarzowi sekretnymi wiadomościami z zastrzeżeniem, że pod żadnym pozorem nie może go zdemaskować. Dlatego codzienne wydanie „Grünberger Tageblatt” nigdy długo nie czeka na czytelników, a Flügela i podległych mu asystentów inspektor Brachmann uważa za najlepszych policjantów kryminalnych w rejencji.

Nikomu nie uda się wmówić redaktorowi Mischkemu, że Arnold nie jest tajnym współpracownikiem policji, czego nigdy nie potwierdził komisarz Flügel, ale i nie zaprzeczył temu zdecydowanie. Gdyby nim nie był, asystenci kryminalni deptaliby mu po piętach wszędzie, w dzień i w nocy. Mischke jest niemal pewny, że Arnold nie tylko im donosi, lecz i świadczy usługi cielesne za darmo. To znaczy nie Arnold osobiście. Robią to kurwiszony, którym on wynajmuje pokoje w kamienicy przy Niederstrasse, w czym lepiej orientują się przyjezdni z okolicznych miejscowości niż grünberczycy.

Mischke jest przekonany, że ma dwie drogi wyjścia. Śmigać do szpitala, gdzie leży Schreiter i mu powiedzieć, że wie z pewnego źródła, kto i dlaczego napadł na niego w parku, co będzie oczywiście blefem, i wyciągnąć z niego, ile się da. Jeśli policjant będzie mataczył, to go postraszyć tym, że w najbliższym numerze „Grünberger Tageblatt” napisze o jego poufnym zbrataniu się z Arnoldem. Mischke jeszcze nie wie, co połączyło Schreitera z Arnoldem, ale jest pewny, że tego się dowie. Przecież nawet policjant rewirowy ma swoich współpracowników wśród mieszkańców miasta, o czym powiedział mu komisarz Flügel. Drugie wyjście jest takie: iść do mieszkania

Arnolda i bez pardonu rzucić mu prosto w oczy, że napadł na podwachmistrza Schreitera. Tylko co to da dziennikarzowi? Gdyby Arnold zamordował policjanta w parku, sprawę by przejęli podwładni inspektora Brachmanna i dopiero wtedy Mischke miałby o czym pisać.

Postanawia, że jednak pójdzie do mieszkania Arnolda. Zaskoczy go stwierdzeniem, że wie, kto i dlaczego napadł na Schreitera. Z jego twarzy może uda się wyczytać, czy trafnie wycelował. I co dalej? Przecież Arnold do niczego się nie przyzna. I jeszcze mnie tak zaatakuję, jak zaatakował Schreitera, obawia się Mischke.

A może Arnold najpierw zabił Kathrin Krüger, czego Schreiter dowiedział się od recepcjonisty, a potem, żeby się nie wydało, napadł na policjanta wyznaczonego do prowadzenia śledztwa? Jeżeli Arnold zgwałcił i udusił Kathrin, to dlaczego to zrobił? Pewnie wiedziała o nim coś, czego się obawiał i zagroziła, że to ujawni. Albo nie chciała być dłużej kurwą.

Mischke najpierw delikatnie zapukał w drzwi. Nikt mu nie otworzył nawet po tym, jak kilka razy grzmotnął w nie pięścią. Cisza była i po drugiej stronie korytarza, gdzie znajdowały się pokoje do wynajęcia. Poczekam na ulicy, postanawia.

Oparłszy się plecami o ścianę hotelu Kaiserhof, wpatruje się w okna kamienicy na pierwszym piętrze, z której przed chwilą wyszedł. Żadna firanka się nie porusza. Podejrzewa więc, że jednak Arnolda nie ma w mieszkaniu. Wróci wieczorem, ale Mischke tak długo nie będzie na niego czekał.

– A redaktor jeszcze nie w Deutsche Reichshalle?

Mischke jest tak pochłonięty wpatrywaniem się w okna, że nie zauważa, że Widenka wyszedł z restauracji hotelowej i przy nim się zatrzymał.

– Nie jestem w Deutsche Reichshalle tak, jak i pan, sekretarzu, tam nie jest – odpowiada zakłopotany dziennikarz, nie tłumacząc swojej nieobecności na eliminacjach mistrzostw zapaśników.

– Ja sprawdzałem, czy Kaiserhof jest przygotowany na przyjęcie gości z Liegnitz. Pan prezydent naszej rejencji zapowiedział swój przyjazd na finał mistrzostw. Zazwyczaj magistrat wynajmuje gościom pokoje w Schwarzer Adler, gdzie taniej i bardziej domowo, lecz teraz tamten hotel został zajęty przez zawodników. No i ze względu

na zabójstwo pokojówki nie byłoby to najlepsze miejsce dla dostojnych gości – wyjaśnia sekretarz miasta. – A co pan redaktor robi w tym miejscu? Aha, czeka pan na kogoś. Z Breslau? Wszyscy w Breslau przypomnieli sobie o Grünbergu. Gdyby nie mistrzostwa, nie wiedzieliby, gdzie leży nasze miasto. Nie lubię breslauczyków.

Mischke już ma powiedzieć prawdę, ale skoro Widenka zdekonspirował się taką opinią o urzędnikach z Breslau, którą pewnie powtórzył po nadburmistrzu Finkem, mówi:

– Jak najbardziej, panie sekretarzu miasta. Jak najbardziej.

– Dawniej na dole w kamienicy na wprost była cukiernia i kawiarnia. Na pierwszym piętrze mieszkali Bierbaumowie. Doktor Klose twierdzi, a jemu wierzę co najmniej tak, jak własnemu ojcu, że w tej kamienicy urodził się drugi syn cukiernika Ottona i Henrietty i że chodził do czerwonej szkoły na Neumarkt. Czy pan wie, kim był Otto Julius Bierbaum? Przepraszam za niestosowne pytanie. Zapomniałem, redaktorze, że pan wie wszystko, co było, jest i będzie w naszym Grünbergu.

Polechtany tym Mischke uśmiecha się i twierdząco kiwa głową. Każdy dziennikarz chciałby mieć tak lekkie pióro jak Bierbaum. Wtedy i jego nazwisko by się znalazło wśród twórców niemieckiej kultury. A tomiki z jego wierszami były tak samo czytane, jak powieści młodszego Manna. Ale musiałyby zakończyć swoje jeszcze młode życie w domu dla alkoholików z odchyłami, a przed tym Mischke się broni. Byłoby lepiej, gdyby udało mu się wejść na drogę wytyczoną przez Karla Wilczyńskiego, także grünberczyka z urodzenia i także pisarza oraz, co podoba się Mischkemu, librecisty i autora scenariuszy filmowych.

Nie da się zaprzeczyć, że redaktor Mischke jest inteligentny, jak prawie każdy dziennikarz sprytny, pewny siebie, nawet z zalewu wrzawy i z pomieszania z poplątaniem potrafi wyłowić to, co jest najciekawsze. I jak większość dziennikarzy nie uważa się za dyletanta. Wie tyle, ile usłyszy, zobaczy, przeczyta, wywęszy i się domyśli. Dawno się przekonał, że to wystarczy, aby czytelnicy „Grünberger Tageblatt” go podziwiali i szanowali, a najpierw burmistrz Ouvrier i obecnie nadburmistrz Finke prosili o opinię. Od swojego zwierzchnika usłyszał, że dobry dziennikarz identycznie jak dobry polityk jest osobą, która na niczym się nie zna, ale nikt poza nim o tym nie wie.

– Przydałaby się tablica z informacją mniej więcej takiej treści: w tym domu urodził się i mieszkał późniejszy poeta, prozaik, podróżnik, współtwórca podwalin teoretycznych kabaretu literackiego Otto Julius Bierbaum – mówi Mischke, zastanawiając się, dlaczego wcześniej nie przyszło mu to do głowy. Taką tablicę widział na kamienicze w Breslau, gdzie urodził się Adolf Anderssen, redaktor sławnego periodyku „Deutsche Schachzeitung”. Z niej dowiedział się, że to szachowy mistrz świata, o czym wcześniej nie wiedział, mimo iż profesor Schmidt uważa go za szachistę lepszego niż doktor Brucks.

– Była taka okazja podczas obchodów siedemsetlecia – odpowiada bez namysłu sekretarz miasta. – Nic to, usuniemy niedopatrzenie, a za odpowiedź dziękuję, redaktorze. Z pewnością nadburmistrz Finke nie będzie miał nic przeciw takiemu wydatkowi z kasy miasta. O sławnych grünberczykach trzeba pamiętać.

– To i na budynku przy Berlinerstrasse, gdzie urodził się Wilhelm Foerster, powinna zawisnąć podobna tablica. Może nawet wykonana przez tego samego rzemieślnika, żeby było porządnie i ze smakiem.

– Czy redaktor mówi o tym profesorze od astronomii, który był rektorem Friedrich-Wilhelms-Universität?

– I z którego inicjatywy postawiono wieżę widokową z restauracją na Grünbergshöhe, jak się śmieją grünberczycy, w kształcie rondla z maczugą. – Mischke lubi to miejsce dlatego, że tam pierwszy raz wygrał z Maksem Schaeferem, o którym profesor Schmidt mówił, że jest lepszym szachistą niż organistą i kantorem w kościele Zum Garten Christi. – Był jeszcze jeden sławny przedstawiciel tej rodziny, również urodzony w Grünbergu, Fritz Foerster. Profesor chemii. Także sprawował funkcję rektora.

– I także w Friedrich-Wilhelms-Universität?

– W Königliche Sächsische Technische Hochschule w Dresden.

– A tak, tak. Gdzieś o nim przeczytałem. Czy to nie w „Grünberger Tageblatt”? Już wiem! Profesor Schmidt pisał o nim w „Grünberger Heimatbeilage”.

– W Grünbergu urodził się Nicolaus Fabri, który dodawał do swojego zlatynizowanego nazwiska określenie Viridimontanus, czyli grünberczyk.

– Fabri?

– Był profesorem uczelni protestanckiej w Lutherstadt Wittenberg w czasach, kiedy wyznanie luterańskie dopiero zaczęło się objawiać. Wskazanie domu, w którym urodził się Fabri jest niemożliwe. Tak samo, jak i nie da się ustalić miejsca, gdzie stał dom, w którym przyszedł na świat Abraham Scultetus, pierwsza osoba na dworze palatyna reńskiego Friedricha I Wittelsbacha, który przeszedł do historii Czech jako król jednozimowy.

– Na pewno obaj rodowici grünberczycy? – nie dowierza Widenka, który został prawą ręką Finkego jeszcze w Golnow i razem z nim przyjechał do Grünbergu.

– Wspomina o nich profesor Schmidt w tej książce, którą miasto wydało na siedemsetlecie. O nich i o wielu innych koryfeuszach sztuki, nauki, oświaty, wojskowości, polityki...

– Jednak trzeba będzie do niej zajrzeć – postanawia sekretarz miasta.

– Znakomitości związanych z Grünbergiem jako miejscem urodzenia było dużo więcej. Na przykład Thaddäus Kuntze, przez Polaków nazywany Koniczem i uważany przez nich za krajana. Zanim Francisco Goya został najwybitniejszym malarzem hiszpańskim złotego wieku, pobierał nauki u mieszkającego wtedy w Rzymie Taddeo Polacco, jak Włosi nazywali Konicza vel Kuntzego. Kaznodzieja kalwiński, astronom i matematyk Bartholomäus Pitiscus wprowadził przecinek w zapisie ułamków dziesiętnych. A do historii przeszedł jako ten, który po raz pierwszy użył słowa trygonometria w swoim dziele *Trigonometria. Sive de solutione triangulorum Tractatus brevis et perspicuus*. – Mischke chce dodać, że Grünberg nie jest wyjątkowym miastem w Niederschlesien. Największy niemiecki liryk barokowy, za jakiego uchodzi Andreas Gryphius, urodził się i pędził żywot syndyka w Glogau. Astronom, matematyk i astrolog Johannes Kepler, autor pierwszej na świecie powieści fantastyczno-naukowej *Somnium*, ostatnie lata swojego pracowitego życia spędził w Sagan. Poeta, prozaik i dramaturg Alfred Henschke, podpisujący swoje utwory pseudonimem Klabund, urodził się w Crossen an der Oder. – Uzdolnieni ludzie przychodzą na świat nie tylko w metropoliach, ale także poza ich granicami.

Mischke jest miłośnikiem historii. Nawet się zastanawiał, czy z okazji siedemsetlecia Grünbergu napisać pogłębioną monografię

miasta, opartą o nowe dokumenty i źródła naukowe. Miał zamiar udowodnić grünberczykom, że mieszkają w mieście, w którym urodziło się niemało sławnych postaci, z czego współcześni powinni być dumni i dać temu wyraz w nazwach ulic, placów czy szkół. Gdy poszedł ze swoją propozycją do ratusza, nadburmistrz Finke najpierw go pochwalił za troskę o miasto, a potem powiedział, że mocno się spóźnił.

– Jak mi powiedział burmistrz Ouvrier, profesor Schmidt zgłosił wolę napisania takiej pracy. Ale przecież nie ma przeszkód, aby na łamach „Grünberger Tageblatt” pan, redaktorze Mischke, przypominał zasługi grünberczyków dla świata. Może z tego urodzi się encyklopedia, na wydanie której, jeżeli jeszcze będę nadburmistrzem, obiecuję, wydobędę fundusze jak nie ze szkatuł przedsiębiorców, to z kasy miasta. Mieszkańcom taka publikacja powinna się spodobać.

Mimo że od Widenki jako prawej ręki nadburmistrza nie wszystko zależy, będąc sekretarzem miasta zapewnił Mischkego, że:

– Na tych kamienicach, w których urodzili się Foersterowie, Bierbaum, Wilczyński i pozostali, będą umieszczone tablice informacyjne.

– Znamy domy tych trzech pierwszych. Ale musimy się dowiedzieć, gdzie przyszli na świat pozostali...

– Komisarz Flügel dostanie zadanie do bezwzględneho wykonania. Kto lepiej od niego zna się na prowadzeniu śledztw?

Mischke przytakuje, chociaż zdaje sobie sprawę z tego, że jedyną osobą w Grünbergu, która mogłaby wykonać to zadanie, jest Hugo Schmidt. Może też doktor Martin Klose. Flügel ani żaden policjant do tego się nie nadaje. Chyba że podwachmistrz Schreiter.

– To byłoby... - Mischke zaczyna i nie kończy zdania. Kątem oka zauważył, że firanka w oknie na pierwszym piętrze kamienicy przy Niederstrasse się poruszyła. Arnold albo ktoś inny jest w mieszkaniu i mnie obserwuje, myśli. Ktoś, kto ma coś na sumieniu i mnie się obawia, dlatego się ukrywa.

Pożegnawszy się z Mischkem, Widenka skręca w Niederthorstrasse, któredy najbliżej na Ring. Wróci do ratusza i zaraz wejdzie do gabinetu Finkego, który pewnie od nowa analizuje program pobytu prezydenta Regierungsdpräsidium w Grünbergu. Poprzedniej niedzieli coś ważniejszego niż siedemsetlecie miasta uniemożliwiło doktorowi Bühtingowi uczestniczenie w świętowaniu jubileuszu. Jego sekretarz przeprosił nadburmistrza i zapewnił, że choćby się waliło i paliło, prezydent rejencji przyjedzie na mistrzostwa atletów. Spędzi w Grünbergu wieczór, noc i być może pójdzie na niedzielne nabożeństwo w tym nowym kościele Erlöserkirche, o akustyce którego słyszał tyle pochlebnych opinii. Mimo iż Finke ma głowę zajętą myślami na temat prezydenta Büchtinga, Widenka powtórzy mu to, o czym rozmawiał z redaktorem Mischkem, ale nie przyzna się, od kogo wie aż tyle. Powie również, że wzorem Breslau na kamieniczkach, w których mieszkali ci wspaniali grünberczycy, zdałoby się umieścić tablice informacyjne odlane z brązu lub z tańszego żeliwa. Za to Finke na pewno go pochwali, bo temu nadburmistrzowi bardzo zależy, żeby Grünberg był wymieniany wśród najważniejszych miast prowincji Niederschlesien.

Mischke czeka, aż Widenka zniknie za narożnikiem hotelu Kaiserhof. Dopiero wtedy przechodzi niespiesznym krokiem na drugą stronę Niederstrasse i nie rozglądając się, jakby kamienica z mieszkaniem na pierwszym piętrze przestała go interesować, skręca w Bahnhofstrasse. Zatrzymuje się przy schodach Lichtspieltheater na wprost kliniki doktora Brucksa. Z kieszeni marynarki wyjmuje srebrną papierośnicę z wytłoczonym znakiem wytwórni Halpaus w Breslau. Pałac wallrutha, rozważa, którą drogą wślizgnąć się do kamienicy przy Niederstrasse. Jako dziennikarz Mischke tyle razy był w podobnej sytuacji, że dostania się do mieszkania na pierwszym piętrze nie traktuje jako czegoś, co jest niemożliwe do wykonania. Musi to zrobić w szybkich ancugach i tak sprytnie, żeby Arnold nie zdążył wy dostać się ze swojego gniazdka. O ile go poznał, to na pewno teraz

główkuje, u której ze swoich podopiecznych ma się zamelinować po ucieczce z kamienicy.

– Stąd, alfonsie, nie uda ci się bryknąć – mówi sam do siebie Mischke. W myślach dodaje: tak cię przyduszę, że wszystko mi wyśpiewasz.

Wypalonego do połowy wallrutha rzuca pod nogi i jak pluskwę rozgniatą czubkiem półbuta. Już ma odejść, gdy wyobraża sobie, że doktor Brucks stoi za oknem i go obserwuje, dlatego tym bardziej nie powinien brudzić ulicy przed kinem. Co innego w parku na Piastenhöhe, gdzie między gałązkami i liśćmi nikt nie zauważy niedopałka. Zresztą popiół papierosowy użyźnia ziemię. Schyla się, podnosi rozdeptanego peta i z obrzydzeniem wrzuca go do kosza stojącego przy schodach do kina, po czym opuszcza dłoń, żeby wytrzeć palce o spodnie, gdy znowu przychodzi mu na myśl doktor Brucks. Wyjmuje białą chusteczkę z wewnętrznej kieszeni marynarki, rozkłada ją, najpierw wyciera nos i dopiero później oczyszcza kciuk i palec wskazujący. Teraz musi zrobić to, co sobie zaplanował paląc papierosa.

– Dzień dobry, redaktorze – odzywa się aptekarz Krawutschke, wychodzący z kliniki doktora Brucksa, ale Mischke go nie słyszy i nie widzi.

Nie dostrzegając ogródków odcinających kamienice od ulicy, idzie wzdłuż Bahnhofstrasse do narożnika, gdzie odkąd pamięta zawsze był sklep z odzieżą dla mężczyzn. Przystaje, ogląda się i mając pewność, że nikt go nie śledzi, raptownie skręca w lewo. Minutę później chyłkiem wsuwa się do kamienicy przy Niederstrasse i przystaje na parterze. Podniósłszy wzrok, wsłuchuje się w ciszę, po czym planuje następne kroki.

Gdy jest na półpiętrze słyszy, że ktoś wyszedł z mieszkania wyżej i za chwilę zamknie drzwi na klucz. Arnold? Niewiele myśląc, przeskakując po dwa schody, rusza przed siebie tak szybko, że gdy zatrzymuje się na pierwszym piętrze, Arnold nie zdąża przekręcić klucza w zamku. Na ucieczkę z kamienicy jest za późno. Arnold może jedynie zabarykadować się w mieszkaniu, ale i na to brakuje mu czasu.

– Do środka! Wracaj! – rzuca Mischke, chwytając Arnolda za kłapy marynarki i wpychając go do mieszkania. Dopiero teraz widać, kto jest



wyższy, silniejszy, a mimo to nie czuje się pewnie. – Chciałeś zwać, alfonsie. Przede mną? A dokąd?

– Niech pan mnie puści.

– Puszczę cię albo i nie. To zależy od tego, ile mi wyśpiewasz. – Mischke popycha go na ławkę przed lustrem w przedpokoju.

– Jakim prawem pan mnie więzi? – stawia się Arnold, próbując wstać, ale Mischke znowu chwyta go za klapy marynarki i przydusza do ławki. – Nic złego nie zrobiłem.

– Na pewno?

– Tak.

– Gdybyś był niewinny, to pół godziny temu wpuściłbyś mnie do swojego mieszkania. Dlaczego nie miałeś ochoty mnie widzieć? Dlaczego chciałeś zwać? Powiesz, puszczę. Nie powiesz...

– Nic złego nie zrobiłem – powtarza Arnold takim głosem, że inny na miejscu Mischkego by mu uwierzył.

– Jeżeli to prawda, włos z głowy ci nie spadnie, ale jeśli kłamiesz...

– Kto dał panu prawo nachodzić niewinnego człowieka?

– Nie ma ludzi niewinnych.

– Poskarżę się panu Flügelowi.

– Najpierw odpowiesz na moje pytania, alfonsie. – Mischke lewą ręką chwyta go za klapy marynarki, prawą dłoń zaciśniętą w kułak wdusza w jego brzuch tak, żeby Arnold nie miał wątpliwości, co się stanie, jeżeli będzie unikał odpowiedzi na pytania. – Nie pozwoliłeś Schreiterowi poprowadzić śledztwa, żeby wyjaśnił, kto zamordował Kathrin Krüger, to ja je poprowadzę. Aha, zapytałeś, kto mi dał do tego prawo. Na to zaraz sam sobie odpowiesz. Ale zanim zaczniesz, to wiedz, że dotąd nawet policji nie udało się mnie wyprowadzić w pole. A teraz gadaj, alfonsie.

– Co?

– Dlaczego udusiłeś Kathrin Krüger?

– Ja udusiłem Krüger? Stracił pan rozum? Ja jeszcze nikogo nie...

– Jeżeli nie ty zamordowałeś Kathrin, to kto miał powód, żeby...? Może ten beznogi recepcjonista? Geissmann najpierw ją wydymał i potem, żeby nikomu się nie poskarżyła, udusił?

– Może on. Może kto inny. Na pewno nie ja.

– Na pewno nie ty, czyli wiesz kto. – Mischke pociąga za kłapy marynarki i wali pięścią w jego brzuch.

Arnold rozdziawia usta, nie może chwycić powietrza, robi się blady. Po chwili na jego twarzy pojawia się przerażenie. Wytrzeszcza oczy i mimo że jest wyższy i tęższy od dziennikarza, milczy.

Mischke dochodzi do wniosku, że zmuszając biciem Arnolda do odpowiedzi, niewiele albo i nic się nie dowie. To twardy kapuś. Dlatego musi wymyślić coś innego, ale nic nie przychodzi mu do głowy. Robi krok do tyłu, gotowy uskoczyć w bok, gdyby Arnold chciał go zaatakować.

– Niech pan idzie do hotelu i tam popyta atletów. Kto by, jak nie któryś z nich zerznął tę Krüger – odzywa się Arnold, teraz już bardziej pewny, że włos z głowy mu nie spadnie. Mischke tylko go postraszył.

– Tego, kto zerznął i zabił Krüger, od ciebie, alfonsie, muszę się dowiedzieć. Ty mi to powiesz.

– Ja, panie redaktorze, mam czyste ręce.

– Jesteś... jesteś... – Mischkemu brakuje słów, którymi mógłby opisać to, że Arnold udaje szlachetnego grünberczyka, a przecież wszyscy wiedzą, ile tkwi w nim szubrawstwa. To skurwiel, jakich mało.

– Za napad mogę się poskarżyć komisarzowi Flügelowi.

– Napad? Są świadkowie?

– Znajdą się.

Mischke zaciska zęby, oburącz chwyta Arnolda za kłapy marynarki, podnosi go i usiłuje potrząsnąć, co przychodzi mu z trudem. Arnold robi się blady.

– Niech mnie pan puści – prosi w chwili, gdy Mischke uderza go kolanem w krocze. – Aa! Za co?

– Za to – odpowiada Mischke, ale niczego nie wyjaśnia, tylko jeszcze raz wali w to samo miejsce.

– Aa! Powiem wszystko.

– Nie wszystko mnie interesuje, alfonsie. Zabójstwo w Schwarzer Adler to sprawa policji. Nawet mnie nie obchodzi to, że jesteś męską kurwą. Że za pieniądze zabiłbyś własną matkę. Mnie interesuje jedno: dlaczego napadłeś na Schreitera w parku?

– Skąd pan to wie?

– Wczoraj wieczorem byłeś w Deutsche Reichshalle, dosiadłeś się do stolika Schreitera, wygrażałeś mu, poszedłeś za nim do Sandpfützen.

Arnold już nie dopytuje się, od kogo Mischke wie aż tyle. Na razie milczy i się zastanawia, co odpowiedzieć, żeby się nie wygadać, lecz nic rozsądnego nie przychodzi mu do głowy, mówi więc, że Schreiter jest mu winny pieniądze.

– Już to, co miał mi dać, straciło na wartości. Ale ja mu...

– Za co jest ci winny pieniądze?

– Moja sprawa.

– Za co Schreiter jest ci winny pieniądze? Odpowiadaj! – wydziera się Mischke, robiąc pół kroku przed siebie. – Liczę do pięciu. – Podnosi zaciśniętą pięść i załamuje palec wskazujący lewej ręki. – Raz, dwa...

Arnold nie ma innego wyjścia, jak powiedzieć prawdę. Najpierw zdawkowo wyjaśnia, że domagał się zapłaty za swoje usługi. Gdy Mischke znowu robi pół kroku w jego stronę, dodaje, że od czterech miesięcy Schreiter mu nie płaci, a powinien robić to co dwa tygodnie. Umówili się, że Arnold będzie informował podwachmistrza o wszystkim, co dotyczy grünberskich kurewek. W mieście zawsze było niemało kobiet, które się prostytuowały, ale nigdy aż tyle, ile od zakończenia wielkiej wojny. Ich mężowie nie wrócili z frontu, kobiety więc nie mają innego wyjścia, jak tą drogą zarabiać na swoje wydatki i na utrzymanie dzieci. Arnold wynajmuje im pokoje na godziny. Nie za darmo, bo przecież on także ma koszty, a o jakkolwiek pracę nie jest łatwo. Kobiety dzielą się z nim pieniędzmi i przekazują mu to, co usłyszały od klientów. On z kolei dzieli się informacjami ze Schreiterem, za co młodszy asystent kryminalny zobowiązał się mu płacić co dwa tygodnie. Tak było do końca stycznia, kiedy Schreiter poznał Heidi. Od tego czasu kobieta przestała pokazywać się w kamienicy przy Niederstrasse. Mischke także korzysta z usług grünberskich prostytutek, dotąd był pewny, że wie o nich wszystko, ale to, że Schreiter zadawał się z Heidi, go zaskoczyło.

– I dlatego go napadłeś?

– Chciałem dać mu nauczkę.

– Nauczkę? A za co?

– Moja sprawa.

– Za napaść na policjanta w trakcie służby... – zaczyna Mischke i nie kończy. W tym momencie przychodzi mu do głowy, że może trzymać Arnolda w szachu. – Od tej chwili, alfonsie, o wszystkim, co się dzieje w twoim otoczeniu, będziesz mnie informował. Daję słowo, że nigdy nie ujawnię twojego nazwiska. Ja będę milczał, a jeżeli ty złamiesz tę umowę, komisarz Flügel dowie się, kto napadł na Schreitera. Oczywiście za przydatne informacje moja redakcja ci zapłaci. Nie dwa razy na miesiąc, jak do tego zobowiązał się młodszy asystent kryminalny podwachmistrz Schreiter. Jedynie wtedy, kiedy na to zasłużysz. A ile, to zależy od tego, jaką wartość będą miały twoje informacje. Sztama, alfonsie? – Mischke pochyla się nad nim, chociaż dobrze wie, że Arnold nie ma innego wyjścia i się zgodzi. – Sztama? – powtarza i się prostuje.

Zamiast przytaknąć lub odrzucić propozycję, Arnold zrywa się z ławki i najpierw wystrzela głową w pierś Mischkego, odskakuje na bok i z ukosa wali kolaniem w jego krocze. Zgięty w pałąk dziennikarz syczy z bólu i osłania to miejsce rękoma, jakby spodziewał się następnego uderzenia. Arnold nie pierwszy raz jest w takiej sytuacji, ma więc gotowy plan. Przechyla się w lewo i wyciąga rękę, a gdy Mischke odrywa dłonie od krocza i się prostuje, żeby zejść z linii ciosu, Arnold ślizga się prawą pięścią po jego brodzie i zaraz po tym celuje lewą nogą w krocze. Tego Mischke się spodziewał. Oburącz chwyta go za nogę i mocno pociąga. Arnold zwała się na podłogę, uderza tyłem głowy o kant wysokiego progu między korytarzem i pokojem. Nie rusza się.

– Cholera – mówi cicho sam do siebie Mischke, czując krople potu staczające się po plecach. Klękając nad Arnoldem, dostrzega krew wzbierającą się w małżowinie lewego ucha. – Nie chciałem. Naprawdę nie chciałem.

Komisarz Flügel każe Normannowi spacerować wzdłuż chodnika przed hotelem. Sam wchodzi do recepcji Kaiserhofu, gdzie postanawia wypalić salema. W biurze i w domu pali pospolite reichsadlery, ale przecież takich papierosów nie wyciągnie z kieszeni i nie poczęstuje nimi inspektora Brachmanna. To muszą być salemy gold albo astory w oryginalnym opakowaniu, tyle że po astory musiałyby jechać aż do Breslau, chyba że złoży zamówienie w sklepie Hofrichtera, ale wtedy musiałyby kupić kilka kartonów papierosów. Kiedyś burmistrz Ouvrier spotkał Flügela z papierosem przed zakładem pogrzebowym Zur Ruhe przy Breitestrasse i szepnął mu do ucha, że nie wypada, aby sekretarz kryminalny palił w takim miejscu. Co innego asystent albo policjant rewirowy, lecz pod warunkiem że nie jest na służbie. Mężczyzna w mundurze musi dawać przykład. Gdy zawstydzony Flügel zaczął się tłumaczyć, burmistrz wziął go pod ramię i wyrecytował:

– „Wierzę w niemiecką matkę, która mnie urodziła. Wierzę w niemieckiego rolnika, który orze ziemię. Wierzę w zmarłych, którzy dali życie tym, co nadeszli po nich. Albowiem moim bogiem jest mój naród”. Kto to napisał?

Flügel pierwszy raz usłyszał te zdania, do czego się nie przyznał. Powie, że Goethe, to Ouvrier zapyta o tytuł dzieła. Może kanclerz von Bismarck? Może ktoś z Grünbergu, na przykład profesor Schmidt? Patrzył na Ouvriera czując, że się czerwienieje.

– Nie wiem – wydusił z siebie zawstydzony.

– Ja też nie wiedziałem dopóki nadburmistrz Finke mi tego nie zadeklamował. Chamberlain Houston. Anglik z Bayreuth. Takie czasy, że angielska przybłęda przypomina nam, co jest naszym celem. Do czego to doszło?

Flügel już miał ochotę powtórzyć po prezydencie rejencji, że niedługo wrócą takie czasy, kiedy Niemcy znowu będą potęgą, ale przypomniało mu się ostrzeżenie inspektora Brachmanna skierowane do komisarzy kryminalnych podczas odprawy w Liegnitz, aby policjanci nie wypowiadali się w sprawach politycznych. Od tego są ministrowie i posłowie oraz funkcyjni członkowie partii aktualnie rządzącej.

Zanim Flügel wszedł do Kaiserhofu, nakazał Normannowi, żeby miał uszy i oczy szeroko otwarte, a gdy automobil zatrzyma się przed

głównymi drzwiami hotelu, ma natychmiast dać mu znać. Komisarz żałuje, że nie zapytał sekretarza, czy inspektor Brachmann przyjedzie adlerem, czy mercedesem, co zresztą nie ma znaczenia. Najważniejsze jest, aby ci grünberczycy, którzy znajdą się w pobliżu hotelu, widzieli Flügelą, jak podchodzi do samochodu i wita zwierzchnika policji kryminalnej w rejencji.

Starszy wachmistrz Normann zawsze robił tylko to, co mu kazał komisarz Flügel. Z rękoma założonymi do tyłu, trzymając głowę wysoko, najpierw wolno idzie chodnikiem wzdłuż Niederthorstrasse, na wprost sklepu papierniczego Paula Mohra zawraca, mija główne drzwi Kaiserhofu, skręca w prawo i wpatruje się w tunel ocienionej lipami Niederstrasse, skąd ma przyjechać samochód z inspektorem Brachmannem. Stojąc tak za narożnikiem hotelu, słyszy trzaśnięcie drzwiami w kamienicy po przeciwnej stronie ulicy. Natychmiast przenosi tam swoje spojrzenie i wtedy widzi Mischkego. Mimo odległości, jaka dzieli policjanta od dziennikarza, Normann dostrzegł jaśniejsze plamy na rękawie i ramieniu marynarki Mischkego. Pomyślał, że redaktor otarł się o świeżo malowaną ścianę. Komu innemu nie zwróciłby uwagi, ale ponieważ uważał Mischkego niemal na równi z komisarzem Flügelem, bez wahania przechodzi na drugą stronę Niederstrasse.

– Uświadził się pan redaktor – mówi półgłosem. Nie dostrzegając reakcji Mischkego, powtarza głośniej i chwyta go za rękaw. – Musowo wyczyścić.

Dopiero teraz dziennikarz go zauważa i wyhamowuje. Przed chwilą myślał o ucieczce, ale teraz, kiedy Normann trzyma go za rękaw, rezygnuje z tego.

– Co takiego? – pyta w jednej chwili pogodzony z tym, że stanie przed sądem za zabójstwo Arnolda.

– O, tu ma pan redaktor kawałek ściany. – Normann pochyla się i ściera białą chmurkę z rękawa marynarki. – Jeszcze na ramieniu.

– Tam. – Mischke pokazuje głową na kamienicę, z której wyszedł. – Chyba go zabiłem.

– Pan zabił? Kogo?

– Arnolda.

– Tego szuję? – śmiejąc się, pyta starszy wachmistrz. Po chwili poważnie. – Na niego już tyle razy.. I nic. Pan komisarz Flügel to nawet chciał go przyskrzynić na jakiś czas, ale podwachmistrz Schreiter tak długo go bronił, aż go wybronił.

– Chciałem porozmawiać z Arnoldem. Tylko porozmawiać, a on na mnie napadł. Bronilem się.

– Jak byłem na froncie we Francji, to przed każdą bitwą nasz dowódca przypominał, że najlepszą obroną jest atak. I tak przegraliśmy.

– Arnold wyrznął tyłem głowy o próg. Nie podnosi się. Chyba go zabiłem – mówi Mischke coraz bardziej przerażony.

– Nic mu nie będzie. – W głosie Normanna pobrzmiwa nuta ironii.  
– On tyle razy dostał i ciągle żyje. Jak mówi pan komisarz Flügel: złego diabeł szybko nie weźmie, bo wie, że jest jego.

– Widziałem krew w uchu.

– Krew?... A to poważniejsza sprawa. Musowo wzywać doktora Brucksa.

Mischke już nie słucha starszego wachmistrza. Wbiega do kliniki przy Bahnhofstrasse. Kobieta w białym fartuchu przykrywającym szarą sukienkę odpowiada, że od południa każdej soboty dyżuruje doktor Pfeiffer. Lekarz jest w porodówce, gdzie mężczyznom wstęp surowo wzbroniony. Za godzinę, może i wcześniej powinna zacząć rodzić pani Gerasch. Wprawdzie żona właściciela fabryczki narzędzi ogrodniczych dotąd wydała na świat osiem zdrowych córek, więc i dziewczęta zapewne urodzi się bez komplikacji, ale póki to się nie stanie, doktor Pfeiffer nie może odejść od łóżka położnicy.

– Pan Gerasch ma nadzieję, że będzie chłopak. Wreszcie urodzi się następca.

– Natychmiast jest potrzebny lekarz! – woła Mischke, nie zważając na to, co mówi pielęgniarka.

– Doktora Brucksa nie ma w klinice, a doktor Pfeiffer jest zajęty.

– Może da się go uratować.

– Uratować? Kogo, panie redaktorze? Kogo uratować? Niech pan mówi! – dopomina się wyjaśnienia pielęgniarka.

– Arnolda. Chyba go zabiłem. Leży tam. – Mischke wyciąga rękę najpierw w stronę ściany, za którą jest porodówka, potem przed siebie i zaraz ją opuszcza, ponieważ stracił orientację.

– Gdzie leży Arnold?

– W swoim mieszkaniu. Popchnąłem go...

– Panie Vorweg! – Pielęgniarka otwiera drzwi do gabinetu zabiegowego, który jest też laboratorium i apteką, gdzie młody mężczyzna siedzi przy mikroskopie. – W tej chwili niech pan to zostawi, weźmie torbę z opatrunkami i idzie za panem redaktorem. Tylko szybciotko – mówi tonem rozkazującym. Mischkego informuje, że Vorweg za rok skończy studia medyczne na uniwersytecie w Breslau. – Będzie chirurgiem. Doktor Brucks szykuje go na swojego następcę. Na razie pan Vorweg odbywa praktykę w naszej klinice.

Normann nie wie, co robić. Flügel kazał mu spacerować wzdłuż ulicy przed hotelem i gdy tylko zobaczy automobil, natychmiast dać znać komisarzowi. Intuicja i jeszcze bardziej doświadczenie każe mu, aby wszedł za Vorwegiem i Mischkem do kamienicy i sprawdził, czy na pewno Arnold nie żyje. Jeżeli Mischke go zabił, to on jako starszy asystent kryminalny musi wejść do hotelu i powiadomić o tym komisarza. Flügel zrozumie, że automobil z Liegnitz zatrzymał się przed Kaiserhofem, co nie będzie prawdą i znowu go zruca. Normann postanawia, że jednak poczeka, bo może się przesłyszał albo Arnold udaje nieboszczyka.

I dobrze robi. Ledwie zdążył wypalić halpauza, którego dostał od Mischkego, Vorweg wychodzi z kamienicy, za nim redaktor.

– Co z Arnoldem? – pyta policjant, chowając niedopałek papierosa w kieszeni spodni. Jeszcze dwa pety i wystarczy na skręta.

– Chwilowa utrata przytomności. Nic mu nie będzie – odpowiada Vorweg, z czego Normann jest zadowolony. – Za tydzień rana się zagoi i...

– Arnold wróci na stare śmieci – śmieje się Normann.

– Przez takiego alfonsa tylko najadłem się strachu. Jak przywalił głową w próg, to się nie ruszał. Myślałem, że nie żyje, a on był tylko zamroczony. Pan doktor już go otrzeźwił. Dziękuję panu – zwraca się Mischke do Vorwega, ale Normann tego nie słyszy.

Obciągnąwszy mundur i nasunąwszy czako na czoło, wachmistrz wpatruje się w tunel Niederstrasse. Kiedy do jego uszu wpada jeszcze daleki warkot samochodu, który pewnie dopiero wspina się



na Hirschberg, Normann pędzi do hotelu. Zatrzymawszy się zaraz za drzwiami, widzi Flügela palącego papierosa.

– Panie komisarzu, starszy asystent kryminalny starszy wachmistrz Normann melduje, że pan inspektor Brachmann już jest w Grünbergu. Zaraz automobil będzie przed hotelem.

## 23

Mimo że od dnia poświęcenia Erlöserkirche Mischke tylko tam się modli, wchodzi do stojącego blisko ratusza kościoła Zum Garten Christi. Nigdy nie był w tej nowej świątyni przy dawnym Kaiser-Wilhelm-Platz, który na wniosek burmistrza Ouvriera ma się nazywać Freiheitsplatz. Sąsiadująca z nim Kaiser-Wilhelm-Strasse, do której przylega cmentarz Grüner Kreuz, ma być Freiheitsstrasse. Niedługo po wybuchu wojny narodów z placu zniknął pomnik cesarza, teraz znikają inne znaki pamięci kajzera. Mischke jest przekonany, że ten plac długo nie będzie opustoszały. Stanie na nim może jeszcze bardziej okazały i wyższy cokolwiek niż ten, z którego Wilhelm I z dynastii Hohenzollernów przez dwadzieścia lat słuchał pochlebstw i pomruków grünberczyków. I znowu najbardziej zadowolone będą dzikie gołębie. Pomnik będzie stał tak długo, dopóki ktoś nie ogłosi, że to miejsce należy się jemu lub jego protegowanemu. Pomimo nieuniknionej śmierci wiele osób domaga się nieśmiertelności.

Mischke siada na ławce i wpatruje się w Chrystusa na krzyżu w centralnej części ołtarza. Popołudniowe nabożeństwo w Zum Garten Christi zakończyło się godzinę temu, ale jeszcze unosi się zapach świec przemieszany z niemłą wonią potu pozostawionego przez wiernych. Wszedł do kościoła, żeby w jego chłodnym wnętrzu ochłonać po incydencie w kamienicy przy Niederstrasse. Gdyby Vorweg stwierdził śmierć Arnolda, Mischke do końca życia miałby go na sumieniu, chociaż sąd mógłby uznać to, co się stało w mieszkaniu na pierwszym piętrze, za krok wykonany w obronie własnej.

Patrząc na Chrystusa rozpiętego na krzyżu Mischke się zastanawia, dokąd iść. Do szpitala i porozmawiać z podwachmistrzem Schreiterem? Powiedzieć, że nie tylko wie, kto na niego napadł wczoraj wieczorem w parku, ale i dlaczego to zrobił? Dosłownie przyduszony do ściany Arnold przyznał się jedynie jemu, a to za mało, żeby go oskarżyć o napaść i pobicie policjanta na służbie. W sądzie Arnold może zaprzeczyć lub przypisać mu łgarstwo. Przecież nie pójdzie do Flügela i nie powie, żeby przymknął Arnolda do poniedziałku, kiedy będzie po mistrzostwach i wtedy go przesłuchał. Mischke może zrewanżować się policjantowi za pomoc zaproszeniem na piwo, ale nie wolno mu donosić. Gdyby środowisko dziennikarskie o tym się dowiedziało, do grobowej deski będzie wzdurzany. Jemu jest wolno wszelkimi metodami i sposobami, nawet podstępem, zdobywać informacje, analizować je, ganić i chwalić bohaterów, komentować, puentować na łamach gazety, ale nic więcej. Gdyby nawet napisał w „Grünberger Tageblatt”, że młodszy asystent kryminalny Paul Schreiter korzystał z usług prostytutki, której nie płacił, to jedni w to uwierzą i potępią policjanta, drugich ta informacja nie zainteresuje. W całym mieście nie znajdzie się nikt, kto ujmie się za kobietą. Podwachmistrz nie jest pierwszym i nie jedynym funkcjonariuszem, który o tym wie i dlatego wykorzystuje swoją funkcję. A czy ja każdemu czytelnikowi mogę spojrzeć w oczy, bo na pewno nie mam żadnego szubrawstwa na sumieniu? Przecież także za to, jaką drogą dowiedziałem się, dlaczego Arnold zaatakował Schreitera w parku, powinienem ponieść karę. Sutener i kapuś Arnold napadł na policjanta dlatego, że ten nie wywiązał się ze swojej obietnicy. Ja go zaatakowałem, ponieważ chciałem się dowiedzieć, czego ta obietnica dotyczyła. Jestem winny.

Dziękuję Ci, Panie, że darowałaś życie Arnoldowi i uchroniłaś mnie przed więzieniem, mówi w myślach, wlepiając wzrok w Chrystusa na krzyżu. Mischke robi to pierwszy raz w swoim trzydziestodwuletnim życiu.

Poczuwszy ulgę postanawia, że jednak nie pójdzie do szpitala. Tego, czego dowiedział się od Arnolda, nie może przedstawić w poniedziałkowej gazecie. W tym wydaniu najważniejsza będzie relacja z mistrzostw Europy w zapasach. A jeżeli zwycięży Josef Kalihack, na co liczą grünberczycy, i na pierwszej stronie będzie jego

zdjęcie, dziennik rozejdzie się jeszcze przed południem. Redaktor naczelny przekonywał właściciela wydawnictwa, aby co najmniej dwukrotnie zwiększył nakład poniedziałkowej gazety, ten jednak go nie posłuchał.

Niedługo po tym, gdy Mischke był niemyim świadkiem rozmowy nadburmistrza Finkego z doktorem Skarbeckiem i Kalihackiem w ratuszu, zaczął interesować się siłaczami. Ciekawiło go, czy naprawdę jest tak, jak opowiadał członek zarządu Europäischer Athleten-Club „Samson”, że do sal, gdzie odbywają się turnieje atletów, ściągają tłumy. Nawet w tej sprawie pojechał do Brombergu, to znaczy do Bydgoszczy. Od właściciela restauracji w hotelu Lengning dowiedział się, że turnieje są ustawiane. Wygrywa nie najlepszy zapaśnik, lecz ten, którego wskaże doktor Skarbeck. Bydgoszczanin nazwał to cyrkiem adresowanym przede wszystkim do naiwnych kobiet. Po ostatnim turnieju słyszał, że miały one pretensję do swoich mężów, narzeczonych, braci, kuzynów o to, że nie wyglądają tak, jak ci, których podziwiałały w Lengningu. Gdy Mischke zapytał właściciela restauracji, dlaczego wynajmował salę zapaśnikom na turnieje, skoro wiedział, że to szwindel, ten odpowiedział:

– Organizatorowi turnieju się opłacało i mnie się opłacało. Tylu ludzi, ile tego wieczoru przyszło do restauracji, nie było nawet podczas balu sylwestrowego. Dochód ze sprzedaży biletów zabrał przedstawiciel Samsona. Moje były wpływy za konsumpcję i wynajęcie sali. Pewnie pan sobie nie wyobraża, ile tego wieczoru kucharze usmażyli sznycli, ile ugotowali kartofli, ile litrów herbaty i kawy zaparzyli. Ile poszło piwa. A kapusty i marchwi zabrakło. Spoceni kelnerzy nie mieli czasu się wysikać. Tak było tego wieczoru. Jeszcze następnego dnia restauracja pękała w szwach. Większość to kobiety.

– Zameżne?

– Założę się, że kilka z nich pewnie by nie odmówiło zapaśnikowi, gdyby któryś je zaprosił do swojego pokoju w hotelu – odpowiedział właściciel Lengningu, uśmiechając się pod wąsem. – Przypuszczam, ale to tylko do pana wiadomości, że większość spośród tych, które następnego dnia wróciły do restauracji, miało nadzieję, że...

– I zawiedzione, zachmurzone, rozdrażnione wracały do swoich domów, gdzie wygłaszały pretensje do małżonków, dlaczego nie są tacy jak gladiatorzy, w których się wpatrywały w Lengningu.

– Mężatki wychodziły z restauracji niedługo po zakończeniu turnieju. Pewnie tego wieczoru nie odzywały się do swoich mężów albo, tak jak pan powiedział, miały do nich pretensję, że nie są tacy jak gladiatorzy. Zdarzały się i takie, które zamiast wrócić do swojego domu, zostawały w restauracji. Siłaczom nie trzeba było tłumaczyć, w jakim celu to zrobiły. Zdradzę panu tajemnicę, że wielkie powodzenie miał Austriak, a jeszcze większe Niemiec o polskim nazwisku. Proszę sobie wyobrazić chłopca, który jest wyższy od pana co najmniej o głowę i waży dwa razy więcej. Tylko niedowidząca kobieta nie zwróci na niego uwagi. A ten nie dość że wyglądał jak wyrwidąb, to jeszcze wygrał turniej.

– I?

– Co, i? A! – wybuchnął śmiechem po chwili. – Pyta pan o wyczyny w łóżku? Pewnie też był mistrzem, ale tego nie mogę potwierdzić. Pewien położnik, który bywa częstym gościem mojej restauracji, kiedy rozmawialiśmy o siłaczach, powiedział, że opinia kobiet: im mężczyzna jest większy, tym bardziej sprawny w łóżku, na ogół nie pokrywa się z rzeczywistością.

Mischke wzruszył ramionami, jakby to stwierdzenie jego nie dotyczyło. Jeszcze nigdy żadna kobieta nie robiła mu wyrzutów.

– Wzorcowy jeśli chodzi o proporcje tak zwany człowiek witruwiański mierzy tyle, ile wynosi dziesięć modułów – powiedział bydgoszczanin, przypomniawszy sobie informację z *Realencyclopädie der Classischen Altertumswissenschaft*. – Jeden moduł to długość jego głowy. Statystycznie szeregowy Europejczyk ma wzrost równy stu siedemdziesięciu pięciu centymetrom. Kalihack to nieco więcej niż dwa metry. Szeregowy mężczyzna powinien ważyć nie więcej niż siedemdziesiąt kilogramów. Kalihack waży coś ponad sto pięćdziesiąt. Zastanawia mnie, co te kobiety, które przyszły do restauracji na turniej, widziały w nieproporcjonalnie zbudowanym chłopisku? W dodatku ponoć marnym w łóżku? – Chciał dodać to, co doktor Brucks powiedział nadburmistrzowi o temperamencie Kalihacka, ale nie był pewny, czy Finke czegoś nie pokręcił.

– Pan przywołał model Witruwiusza narysowany przez Leonarda da Vinci. Ten wzorzec pasuje do pana i do mnie. Mniej do zapaśników, którzy bywali w mojej restauracji. Pana wzrost i mój wzrost jest równy długości wyciągniętych w poprzek ramion. Gdy Kalihack wyciągnie

ramiona, to się okaże, że są one dłuższe od jego wzrostu aż o trzydzieści cztery centymetry. Odstępstwo od normy, które mu pozwala opasać rywala na macie prawie dwa razy. Dlatego jest nazywany mistrzem podwójnego nelsona.

Muszę iść do Deutsche Reichshalle i sprawdzić, ile prawdy jest w tym, czego dowiedziałem się w Bydgoszczy, postanawia Mischke, wychodząc bocznymi drzwiami z Zum Garten Christi.

## 24

Po wyjściu z kościoła Mischke przystaje na niemal pustym Ringu, jeśli nie liczyć przepełnionych omnibusów kursujących sprzed dworca kolejowego dziś wyjątkowo aż na Grosse Bergstrasse, gdzie po południu w Deutsche Reichshalle zaczęły się eliminacje do zapaśniczego mistrzostwa Europy. Regulaminowo omnibusy jeżdżą dłuższą trasą i zatrzymują się na przystankach mniej więcej co dziesięć minut. Z Wiener Café nie dochodzą głosy klientów, a przecież przed wieczorem w letnie soboty zawsze był tu taki hałas jak na festynie z okazji Święta Wina. Piątek i świątek drzwi gwarnej winiarni Rathskeller powinny być szeroko otwarte, a są zamknięte. Z apteki Adler nikt nie wychodzi. Na postoju dorożek pusto. Nawet mniej gołębi przed ratuszem czeka na okruchy chleba.

– W letnie soboty wczesnym wieczorem grüberczycy zawsze gromadzą się na Ringu, a dziś ten centralny punkt miasta jest wymarły. Ma rację ten, kto powiedział, że ludzie oprócz chleba i pracy potrzebują igrzysk – mówi sam do siebie, przystając przed zamkniętym domem towarowym Hofrichtera.

Mała wskazówka zegara na wieży ratusza wskazuje siódmą. Za godzinę rozpocznie się finał mistrzostw w zapasach klasycznych. Mimo tego że ta dyscyplina sportu nie interesuje Mischkego i wie o niej nie więcej niż przeczytał w encyklopedii i usłyszał od doktora Klozego, zapewnił redaktora naczelnego „Grünberger Tageblatt”, że pójdzie

do Deutsche Reichshalle. Zaraz po zakończeniu zawodów zda najbardziej rzetelną relację. Jeszcze w zeszłym tygodniu uzgodnił z właścicielem studia fotograficznego przy Holzstrasse, że tekst zilustruje zdjęciem zwycięzcy, które wykona Paul Linckelmann. Wygra najlepszy zapaśnik, a kto, tego Mischke nie wie. Wczoraj przed południem rozmawiał z doktorem Skarbeckiem. Wyjaśnił mu, że ponieważ mistrzostwa zakończą się bardzo późno, fotograf choćby miał skrzydła, nie zdąży zrobić zdjęcia tryumfatorowi, wrócić do laboratorium, wywołać je i przed północą zanieść do drukarni. Mischke chciał, żeby Linckelmann sfotografował zapaśników w dzień, na przykład przed Deutsche Reichshalle albo pod ratuszem na Ringu. W podpisie pod zdjęciem wyjaśni, kogo ono przedstawia i który jest mistrzem.

– Po co wszystkich fotografować? – zapytał głosem przyciszonym Skarbeck. – To musi dużo kosztować.

– A jak inaczej?

– Wystarczy cyknąć jednego. Mistrza.

– Nie potrafię przewidzieć, kto wygra. Dlatego najlepszym wyjściem, powszechnie stosowanym przez redakcję, jest zrobienie zdjęcia zbiorowego i w podpisie pod nim umieszczenie wyjaśnienia, że zwycięzca to zapaśnik, na przykład, drugi z lewej strony. Rozmowę z mistrzem i jego zdjęcie przedstawimy w następnym wydaniu gazety.

– Jeżeli pan przysięgnie, że to, co powiem, zachowa dla siebie... – Berlińczyk cmoknął znacząco i mrugnął do dziennikarza.

– Przysięgam – Mischke nie pozwolił mu dokończyć zdania i żeby Skarbeck nie miał wątpliwości, że nie puści pary z ust, podniósł prawą dłoń na wysokość piersi.

– W takim razie powiem panu w zaufaniu, ale tylko do pana wyłącznej wiadomości, że mistrzem będzie... – Skarbeck urwał i tymi małymi oczami lustrował Mischkego, jakby mimo zapewnienia o dochowaniu tajemnicy jeszcze mu nie wierzył.

– Kto zostanie mistrzem, doktorze?

– Jeżeli się rozniesie, będę wiedział, skąd wyszła wiadomość i wtedy klub pozwie pana do sądu. Będziemy domagali się odszkodowania i przeprosin. Niech pan ma na uwadze to, że jestem prawnikiem,

właścicielem renomowanej kancelarii. Dotąd jako adwokat nie przegrałem żadnej sprawy.

– Niepotrzebnie pan strzępi sobie język.

– Nie znamy się, więc...

– Dałem słowo.

– Mnie idzie o to, żeby tajemnica się nie wydała. Nikomu. Nigdy. Nawet księdzu na spowiedzi.

– Nie jestem katolikiem.

– Ale jeżeli to wyjdzie na wierzch...

– Szkoda czasu na rozmowę. Jeśli w tej chwili pan nie powie prawdy, napiszę w tytule, że mistrzostwa w Grünbergu to szwindel. Że wszystkie mistrzostwa organizowane przez Europäischer Athleten-Club „Samson” nie mają nic wspólnego z rywalizacją zawodników. To wielki szwindel.

– Kalihack.

– Co, Kalihack?

– Wygra.

– Nasz Kalihack?

– Jest jeden Kalihack.

– Nasz Kalihack jest taki dobry? – Mischke nie dowierzał. – Dlaczego Kalihack? Postawiłbym na Austriaka. Ostatecznie na Polaka.

– Jakby to wyglądało, redaktorze, gdyby Kalihack nie wygrał w mieście, w którym się urodził i podczas turnieju, gdzie ludzie przyszli z nadzieją, żeby fetować jego zwycięstwo? – zapytał przyciszonym głosem doktor Skarbeck. – Sport zawodowy ma coraz mniej ze sportu, a coraz więcej z cyrku.

– Ale to jest okłamywanie widzów.

– To jest taki sam geszeft jak wydobywanie węgla spod ziemi czy wypiekanie chleba. Gdyby ludzie tego nie lubili, nie byłoby mistrzostw – nic sobie nie robiąc z wątpliwości Mischkego, spokojnym tonem wyjaśnił berlińczyk. – Do finału dojdzie czterech zawodników. Oprócz Kalihacka znajdzie się w nim Estończyk Randjärv, Austriak Gurgull i Polak Maksymiak.

– Czy wszyscy zapaśnicy o tym wiedzą? – Skarbeck kiwnął głową i chciał coś dodać, gdy Mischke zapytał: – Zgodzili się?

– Musieli.

– Ja na miejscu każdego z nich bym protestował. Przecież to jest...

– Oni nie mają innego wyjścia, jak tylko podporządkować się decyzjom zarządu klubu. Chcą dobrze zarabiać, muszą nas słuchać. Niech pan nie sądzi, że źle na tym wychodzą. – Skarbeck podniósł lewą dłoń i rozcapierzył palce, po czym kolejno je załamywał. – W Grünbergu zwycięży Kalihack, drugi będzie Estończyk, trzeci Austriak. Pojedziemy do Fünfkirchen, tam pierwsze miejsce zajmie któryś z braci Kocsisów. W Maastricht na najwyższym stopniu podium będzie stał Holender, w Memel pozwolimy wygrać Litwinowi. I tak dalej.

– To niewiele ma wspólnego ze sportem.

– Tak pan uważa?

– W prawdziwym sporcie chodzi o to, żeby zwyciężył najlepszy zawodnik.

– Niech pan napisze to w swojej gazecie – roześmiał się Skarbeck przekonany, że dziennikarz już zrozumiał, dlaczego Europäischer Athleten-Club „Samson” urządził zapaśnicze mistrzostwa Europy w Grünbergu.

Dlatego Mischke nie poszedł do Deutsche Reichshalle na popołudniowe eliminacje. Pomimo tego że usłyszał, kto ma wygrać i zagarnąć główną nagrodę, będzie tam wieczorem. Musi sprawdzić, czy to, co Skarbeck powiedział mu w tajemnicy, się potwierdzi.

Stier, gdy Mischke powątpiewał, czy będzie aż tylu chętnych, aby zapełnić restaurację w trakcie mistrzostw, przyznał się, że jeszcze na początku czerwca miał wątpliwości. Podzielił się nimi z nadburmistrzem. Kilka dni później dowiedział się od sekretarza miasta, że trzecią część widowni w restauracji będą stanowili pracownicy zakładów Beuchelta. Nie urzędnicy i nie ochotnicy, a robotnicy z najdłuższym stażem. Tacy nie pożałują pieniędzy na piwo i zakąski. Właściciele innych fabryk kupili prawie dwieście biletów wstępu. Gdy pozostało osiemdziesiąt wejściówek przy drzwiach i na końcu sali, magistrat zafundował połowę z nich członkom związku weteranów wojennych.

– A pana redaktora mistrzostwa Europy nie zajmują? – Pochłonięty myślami Mischke słyszy pytanie. Zatrzymuje się, podnosi głowę, ale jeszcze nie wie, skąd ten głos. Rozgląda się i gdy zauważa siwą czuprynę Krawutschkego, stojącego w drzwiach apteki Adler,



pozdrawia go uniesieniem dłoni. – To mam czekać aż do piątku, kiedy „Grünberger Wochenblatt” napisze, kto wygrał? – pyta aptekarz tonem karcącym.

– Idę, idę – zapewnia go Mischke. – Niechętnie to robię, ale muszę. Tak zarabiam na chleb.

– Wygra ten... no... Że akurat teraz. – Krawutschke próbuje sobie przypomnieć nazwisko. – Ten, co urodził się w Grünbergu. Jak mu tam? Kalihack! On musi wygrać.

– Już pan wie? Finał mistrzostw rozpocznie się dopiero za niecałą godzinę.

– Pan to nazywa mistrzostwami? – śmieje się aptekarz. – Wszystko zostało wcześniej ustalone.

– Nie wierzę – odpowiada Mischke takim głosem, jakby rzeczywiście o niczym nie wiedział. Obiecał Skarbeckowi, że to, co od niego usłyszał, zachowa dla siebie. – Kto panu powiedział, że wygra Kalihack?

– Założymy się? – prowokuje go Krawutschke, wyciągnąwszy rękę. – O butelkę wina od Pilza albo lepiej od Kulczyńskiego. Mniej będzie pana kosztowało przegranie zakładu.

– Dlaczego ma wygrać Kalihack, a nie Węgier czy Estończyk albo Czech?

– Bo ma wygrać i już.

– Wygra najlepszy – mówi wbrew sobie Mischke. – Może będzie nim Kalihack. Może Austriak albo Polak. To jest sport. Zwycięży najlepszy.

– Redaktorze, to, co się będzie działo w Deutsche Reichshalle ma tyle wspólnego ze sportem, ile ja mam brudu za paznokciami. – Krawutschke podnosi prawą dłoń, pokazując wypielęgnowane palce. – To jest gra, w której główne role zostały rozdzielone już zanim zaczęły się te tak zwane mistrzostwa Europy. Widowisko pod publiczność. Prowincjonalna gawiedź jeszcze nie zdaje sobie sprawy z tego, że chodzi o wyciągnięcie jak największych pieniędzy z jej kieszeni.

Mischke też tyle wie, lecz tego nie ujawnia. Odgrywa rolę zaskoczonego. Dał słowo honoru Skarbeckowi, stara się więc go dotrzymać.

– To i może pan wie, kto zamordował Kathrin Krüger? Kto napadł na podwachtmistrza Schreitera?

– Niech pan, redaktorze, nie udaje, że tego nie wie – odpowiada stary aptekarz.

## 25

Przed Deutsche Reichshallejak przy Grosse Bergstrasse stoi nie mniej ludzi, niż tydzień wcześniej na Ringu przed ratuszem. Wtedy odbywał się darmowy koncert z okazji siedemsetlecia Grünbergu. Następnego dnia historyczny korowód paradował głównymi ulicami miasta przez prawie dwie godziny. Przed hotelem Kaiserhof i przed domem towarowym Wilhelma Graua rozsiadły się kramy z pocztówkami pachnącymi świeżą farbą drukarską, z kubkami i talerzami ozdobionymi widoczkami miasta, z dziesiątkami innych pamiątek specjalnie wykonanych na jubileusz. Na ulice w centrum winiarze wytaszczyli beczki z tańszym winem, na droższe trunki zapraszały restauracje i kawiarnie wokół ratusza. Amatorzy piwa byli zachwyceni smakiem Jubiläum, wyczarowanym przez warzelników z Bergschlossbraurei. Świętowanie zakończyło się dopiero nad ranem w poniedziałek, z czego najbardziej cieszyli się policjanci. Tylu przyjezdnych i podchmielonych nie pamiętał nawet starszy wachmistrz Gerlach, a on zaczął nosić mundur policyjny jeszcze przed tym wielkim pożarem w budynku zajmowanym przez redakcję „Grünberger Tageblatt”. Zanim przyjechali strażacy, ogień wdarł się do sąsiednich kamienic i wypalił ich wnętrza. Może lepiej, że tak się stało, bo na pogorzeliisku ich właściciele postawili domy murowane, większe i wyróżniające się nowoczesnym wyglądem. Mischke jest przekonany, że za sto lat, kiedy miasto będzie świętowało swoje osiemsetlecie, kamienice wokół ratusza nadal będą zachwycały mieszkańców. Przyjezdni również zwrócą na nie uwagę.

– Pan redaktor dopiero teraz na mistrzostwa? – dziwi się Gerlach. – Sala pełniutka. Głównymi drzwiami nie da się wejść. Trzeba przez kuchnię. Jeżeli tamtędy wpuszczają.

O tej drodze Mischke nie pomyślał. Wchodzi więc do ogródka restauracyjnego, gdzie także wszystkie miejsca są zajęte, skąd dostaje się do korytarza. Pamięta, że po prawej stronie jest kuchnia, zaraz za nią magazyn produktów, zmywalnia naczyń i przebieralnia dla personelu. Za przebieralnią kancelaria z sekretnymi drzwiami do pokoju dla specjalnych gości. Do tego pomieszczenia, urządzonego tak, jakby to była prywatna garsoniera, Mischkemu udało się wejść tylko raz: kiedy Alfred Finke został nadburmistrzem. Tam wśród najbliższych współpracowników nowy władarz opowiedział, co robi, żeby miasto stawało się coraz bardziej sławne i mieszkańcy byli mu tak życzliwi, jak byli życzliwi burmistrzowi Ouvrierowi, mimo że nie urodził się w Grünbergu. Niedawno komisarz Flügel poskarżył się Mischkemu, że na piętrze znajduje się pokój, do którego nawet on nigdy nie został wpuszczony. Takie pomieszczenie jest na zapleczu każdej większej restauracji, o czym najlepiej wiedzą niektóre prostytutki.

– O, pan redaktor tu? – słyszy za sobą. Odwraca się i widzi spoconego mężczyznę w czarnym garniturze i śnieżnobiałej koszuli, którego gdzieś spotkał, ale nie pamięta gdzie i kiedy. – Fischer. Dziś w południe pan redaktor był u mnie w domu. Mieszkam przy Hohe Strasse.

– A! – Mischke uśmiecha się, jakby byli starymi znajomymi, po czym klepie obera w ramię. – Gdzie znajdę pana Stiera? – pyta z nadzieją, że kelner zaprowadzi go do zarządcy restauracji, a ten pozwoli mu wejść do pomieszczenia na zapleczu, z którego będzie mógł przypatrywać się siłaczom.

– Jest gdzieś. W głównej sali tyle ludzi, że trudno się przepchać. Szef pewnie obskakuje pana prezydenta rejencji. Taka gratka zdarza się rzadko, a nasz szef jak każdy szef lubi nadszkakiwać tym z wysokiego szczebla. Wydaje mu się, że wtedy pyłki ich kariery i na niego spadają. – Mischke poważnieje, ale ober nie zwraca na to uwagi. – Gdyby pan redaktor chciał zobaczyć to, co rozgrywa się na macie, trzeba wejść do sekretnego pokoiku za gabinetem szefa. Tam jest takie okienko, przez które widać, co się dzieje w sali.

Mischke robi tak, jak mu podpowiedział kelner. Na stole przykrytym białym obrusem są talerzyki i kieliszki ozdobione srebrnym hełmem rycerskim i złotym półksiężycem z herbu Grünbergu. Po obu stronach

talerzyków leżą srebrne sztucce i haftowane serwetki z takimi samym znakiem jak ten na kieliszkach. Znosi się na coś lepszego, domyśla się dziennikarz. A kto będzie tu ucztował? Prezydent rejencji zanocuje w Kaiserhofie, tam też nadburmistrz zaprosi doktora Büchtinga i resztę jego świty na wystawną kolację, za którą magistrat zapłaci markami z podatków ściągniętych od mieszkańców.

Przez okienko Mischke widzi jedynie głowy zapaśników i to tylko wtedy, gdy wyprostowani prężą mięśnie przed publicznością. Nawet nie wie, kto z kim weźmie się za bary, ale to nie ma znaczenia. Wiadomo, kto wygra, kto będzie drugi i kto trzeci. Mischke przyszedł do Deutsche Reichshalle nie po to, żeby przypatrywać się siłaczom i temu, co się dzieje na macie. Po zakończeniu mistrzostw doktor Skarbeck wszystko mu wyjaśni, a on tak to przedstawi w „Grünberger Tageblatt”, że nawet ci, którzy podziwiają zapaśników i cokolwiek znają się na tej dyscyplinie sportu, będą mu zazdrościli wiedzy. Tak jak podpowiedział Skarbeck jeszcze przed zawodami, Paul Linckelmann sfotografował Kalihacka, Randjärva, Gurgulla i Maksymiaka. Przecież tym, który ma wygrać, jest Kalihack. A jeżeli tak się nie stanie? Jeżeli wygra Maksymiak, o którym Mischke wie tylko tyle, że jest Polakiem? Albo Estończyk Randjäv czy Austriak Gurgull? Takie pytania przychodziły mu do głowy już wczoraj. Miał je zadać Skarbeckowi dziś przed południem, lecz zapomniał, a teraz tego żałuje. Przecież może wydarzyć się coś, czego nie da się przewidzieć. Co? Gdy w zeszłym tygodniu o tym rozmawiał z doktorem Brucksem, chirurg powiedział, że zmorą dyscyplin siłowych są częste urazy. Na przykład zapaśników wyklucza z zawodów naciągnięcie lub naderwanie mięśni, kontuzja pleców, zwichnięcie lub wybicie stawu barkowego. Brucks powiedział też, że każdy atleta ma za sobą jak nie złamanie przedramienia, to zwichnięcie stawu barkowego czy łokciowego, a naderwanie mięśnia piersiowego jest tak samo częste jak zdeformowany łokieć oszczepnika. Po kilku latach walki na macie uszy zapaśnika są tak zniekształcone, że swoim kształtem przypominają kalafiora.

– Panie redaktorze, proszę iść za mną! – Mischkego zaskakuje głos. Odwraca się. W półotwartych drzwiach widzi tego samego kelnera, którego spotkał na korytarzu. – Coś pan zobaczy.

Fischer odwraca się i podprowadza Mischkego pod drzwi magazynu na produkty. Rozglądając się, czy nikt nie wychodzi z kuchni, uchyla je tak, żeby dziennikarz wsunął się do środka.

– Niech pan redaktor tam wejdzie i posłucha. Za ścianą jest nasza przebieralnia z łazienką, teraz zamieniona na szatnię dla siłaczy.

Kelner zamyka drzwi za Mischkem, ale nie zapala światła, jakby uważał, że tak będzie najbezpieczniej. Redaktor stoi przy ścianie i stara się przyzwyczaić oczy do ciemności. Pociąga nosem, czuje zapach kapusty i jeszcze czegoś, czego nie potrafi nazwać. Skoro to magazynek na produkty, nic mi tu nie grozi, myśli. Wysunąwszy prawą rękę przed siebie, powoli robi kilka kroczków i zatrzymuje się przed czymś, co wydaje się być regałem. Podnosi głowę. Pod sufitem za okratowanym okienkiem ledwie tli się światło. Stamtąd docierają do niego podniesione głosy. Oparty ramieniem o coś wystającego z regału, łowi je i stara się zapamiętać.

– Ma być tak, jak powiedziałem. – Mischkemu wydaje się, że to zdecydowany głos doktora Skarbecka.

– Może jednak...

– Koniec dyskusji.

– Maksymiak, powiedz coś.

– Milczeć!

– Randjärv ma rację. Dlaczego...?

– Milczeć, Maksymiak. Ma być tak, jak powiedziałem i ani słowa więcej. Albo wynocha z naszego klubu. Chętnych do Samsona są dziesiątki. Jest w czym przebierać, z czego wybierać. Jak będzie trzeba, to skaperuję nawet samego Hackenschmidta.

– Akurat. Hackenschmidt to nie Kalihack czy Gurgull. On ma honor.

– Nie tacy jak doktor z nim próbowali i się nie dał.

– Był w Bufallo?

– Też miałem propozycję z Ameryki. Żaluję. Dopiero tam bym tłukł szmal.

– Dlaczego, Maksymiak, nie przyjęliście tej propozycji, tylko jesteście w Samsonie? – pyta Skarbeck tonem ironicznym i odpowiada: – Bo lubicie gadać, żeby sobie pogadać. Każdy z was jest mocny w gębie.

– Tu żona, dzieci.

– Gdybyście naprawdę mieli propozycję z Ameryki, nie oglądalibyście się na rodzinę. Żaden z was by się nie oglądał. Nic tak nie pachnie jak amerykańskie dolary.

– Pojadę.

– Kiedy?

– Przekona się doktor.

– Ostatni raz powtarzam: w Grünbergu ma zwyciężyć Gurgull.

– Takiego wała.

– Dlaczego akurat Gurgull?

– Milczeć, Maksymiak!

– Gurgull swoje dostał w Salzburgu.

– Przecież dziś ma wygrać Kalihack. Tak pan, doktorze Skarbeck, powiedział na odprawie w hotelu.

– W Grünbergu wygra Kalihack, w Fünfkirchen któryś z Kocsisów, we Frankfurcie Pinetzky, w Maastricht na najwyższym stopniu podium będzie Hauer albo van der Lubbe. Christian, czy tak było ustalone?

– Nie musicie pytać Gurgulla. Ja potwierdzam, że tak powiedziałem w hotelu.

– Czyli Kalihack?

– Zarząd Europäischer Athleten-Club „Samson” zmienił tamtą decyzję.

– Kiedy zdążył zmienić?

– Jaki znowu zarząd?

– Pan, doktorze Skarbeck, sam zmienił.

– Zarząd, Maksymiak, to ja. Ja, ja i jeszcze raz ja. – Mischke już nie ma wątpliwości, kto jest w szatni. W marcu, kiedy przysłuchiwał się rozmowie Finkego i Widenki ze Skarbeckiem w ratuszu, domyślił się, kto rozdaje karty w Samsonie, ale do głowy mu nie przyszło, że zapaśnicze mistrzostwa Europy to oszukanie niczego nie podejrzewających grünberczyków. One są po to, aby zarobili atleci i przy nich Skarbeck. – Nie mam zamiaru przypominać wam, Maksymiak, kto ten klub stworzył.

– Mówił pan, że ponieważ Kalihack urodził się w Grünbergu, to dlatego ma tu wygrać – powtarza Maksymiak. – Ci, którzy przyjdą do Deutsche Reichshalle, będą się cieszyli. Ludzie chcą się cieszyć.

Trzeba im na to pozwolić. Przecież wychodzimy na matę nie tylko dla pieniędzy. Tak pan, doktorze Skarbeck, mówił.

– A teraz mówię co innego. Jasne?

– Nie. – Kto się sprzeciwił, tego Mischke nie poznał po głosie. Najczęściej odzywał się Polak, może więc on. – Nie i nie, doktorze Skarbeck. W Grünbergu ma wygrać Kalihack. Tak było ustalone?

– Było – ktoś potwierdza. Mischkemu wydaje się, że to Austriak.

– W pierwszym półfinale Maksymiak podda się Kalihackowi. Jeżeli się nie podda, zostanie zdyskwalifikowany – przypomina Skarbeck.

– Za co dyskwalifikacja? – pyta Maksymiak.

– Sędzia jest po to, żeby coś wymyślić. Za to klub mu płaci – odpowiada ze śmiechem Skarbeck. – W drugim półfinale Gurgull rozłoży Randjärva.

– Szkoda go.

– Milczeć, Hauer.

– Ma być tak: Kalihack ze mną w finale, ale ja mam zostać mistrzem Europy? – Mischke łowi uchem pytanie i stara się nie wybuchnąć nawet cichym śmiechem. Domyśla się, że Gurgull prosi o potwierdzenie tego, co wszyscy słyszeli.

– Powiem wam o czymś, o czym nie miałem zamiaru dziś powiedzieć. Jutro ktoś inny by to wam powiedział. Powiem teraz, bo do tego mnie zmusiliście.

– Jakiś nowy szwindel, doktorze Skarbeck?

– Jestem więcej niż przekonany, że wkrótce przejdziecie na moją stronę. Nie wszyscy. Jeden z was będzie się boczył.

Po chwili ciszy Polak lub Holender pyta:

– Czy chodzi o tamto morderstwo?

– W hotelu na odprawie powiedziałem, że wczoraj przed wieczorem została zgwałcona, może zrobiła to z własnej woli, tego już nie da się wyjaśnić, i uduszona pokojówka. Kto jest sprawcą, nie wiadomo. Na razie nie wiadomo. Miejskowa policja kryminalna podejrzewa jednego z was. Poza nami w hotelu nie ma innych gości.

– Dlaczego tylko nas? – pyta Holender. – Mógł to zrobić ktoś miejscowy albo ktoś z obsługi hotelowej.

– Policja już rozpoczęła śledztwo. Jeden z policjantów zaczął przesłuchania od recepcjonisty i zrobił sobie przerwę na kolację. Wybrał się do tej restauracji, w której teraz jesteśmy. Dziś rano został znaleziony w parku niedaleko naszego hotelu. Czy ma to związek z morderstwem w Schwarzer Adler? – Mischke domyśla się, że Skarbeck rozciągnął ręce, dając słuchaczom do zrozumienia, że nie zna odpowiedzi na pytanie. – Komisarz Flügel, z którym o tym rozmawiałem po obiedzie, ma zamiar przesłuchać wszystkich gości hotelowych. Udało mi się go ubłagać, żeby nie zaczął tego przed zawodami. Zapewne jutro przyjdzie do hotelu lub każdy z was zostanie wezwany do komendy i będzie musiał odpowiedzieć na pytania śledczego.

– To się odpowie.

– A jeżeli się okaże, Maksymiak, że gwałcicielem i mordercą jest jeden z was?

– Jeden z nas. Dlaczego siebie doktor wyklucza?

– Jeden z was – powtarza Skarbeck takim głosem, jakby coś wiedział. – Na przykład... wy.

– Ja mam alibi – twierdzi Maksymiak.

– Co masz?

– Po południu byłem u najmłodszej siostry ojca. Jeszcze przed wojną wydała się za Niemca. Mieszka przy Ribbeckweg. Można sprawdzić. Steinke. Siostra Sophie. Szwagier Lothar. Wróciłem...

– Wróciliście, Maksymiak, przed północą, co zanotował recepcjonista – potwierdza Skarbeck.

– Maksymiak nie, to który, doktorze? – Mischke jest pewny, że pytanie zadał Holender.

– Wiem który. To znaczy się domyślam.

– Niech doktor powie policji i będzie po wszystkim.

– A wy, Hauer, nazwiecie mnie kapusiem? I się rozniesie, że doktor Skarbeck kolaboruje z policją. Ten numer nie przejdzie, panie Hauer. Zdaje się, że tak mówią w twojej Holandii.

– Niech doktor powie nam, a któryś z nas pójdzie na policję.

– Domyślcie się.

– Ja odpadam.

– Mam żonę. Hauer i van der Lubbe też są żonaci.



– A Randjärv i Gurgull nie?  
– Młodszy Kocsis jeszcze kawaler.  
– Kalihack!  
– Josef, tyś tę pokojówkę wydymał. Każdy wie, żeś pies na baby. Ale żebyś ty ją i zabił? Nie wierzę, Josef. Powiedz coś. Broń się.  
– A doktor?  
– Co ja?  
– Tyle poza domem, to i... Po południu wychodził doktor z pokoju?  
– I co z tego, Maksymiak?  
– A to, doktorze, że ta pokojówka została zamordowana właśnie po południu. Po obiedzie, jak wracaliśmy z restauracji, myśmy ją spotkali na korytarzu. Wychodził Kalihack na popisy przed ratuszem. I wychodził doktor. Reszta została w pokojach. To kto by ją? My? O... nie damy się.  
Skarbeck robi się czerwony na nalanej twarzy. Na czole pojawiają się nagle krople potu.

## 26

– Szkoda - mówi inspektor Brachmann takim głosem, jakby nie zgadzał się z tym, co się wydarzyło na jego oczach. - Wielka szkoda, że do czegoś takiego doszło. Tak nie powinno się stać wtedy, kiedy odbywają się zapaśnicze mistrzostwa Europy.  
– Nie znam się na zapasach, mimo to uważam, że pan dyrektor trafił w samo sedno. Mnie by to nigdy nie przyszło do głowy - biczuje się Flügel.  
– Kalihack był zdecydowanie lepszy niż ten... no... Ten, co z nim wygrał. Jak mu tam? Podpowiedzcie, komisarzu.  
– Gurgull, panie dyrektorze. Atleta z Austrii.  
– Moim zdaniem Kalihack został niesłusznie zdyskwalifikowany. Sędzia dopatrzył się chwytu wykonanego niezgodnie z przepisami.

To był modelowy nelson! W dodatku podwójny. Po prostu Kalihack ma większy zasięg ramion. A że w trakcie pojedynku coś gadał?... Zgoda, odzywanie się na macie jest nieregulaminowe, ale przecież te jego komentarze nie miały wpływu na przeciwnika i bardzo podobały się publiczności. Silny i dowcipny.

– Zgadzam się z bardzo słuszną uwagą pana dyrektora.

– Kalihack, jak mi ktoś powiedział, może nawet nadburmistrz Finke albo, albo... nieistotne... urodził się w Grünbergu. Prawda to?

– Ja powiedziałem przy obiedzie, panie dyrektorze. Kalihack tu się urodził i zanim wyjechał do Berlina, pracował w miejscowej fabryce mostów i konstrukcji stalowych.

– Jakie to by było miłe, gdyby mistrzem Europy w zapasach, odbywających się w Grünbergu, został grünberczyk z urodzenia, prawda, komisarzu? Jak by się ludzie cieszyli. A ile piwa... Przede wszystkim potrzebne są nam takie sukcesy. *Deutschland, Deutschland über Alles / über alles in der Welt* – nuci Brachmann, wybijając rytm palcami o blat stolika.

Flügel mu przytakuje. Po krótkim namyśle nieco onieśmielony mówi:

– Podobno, ale tego proszę nie przyjmować na sto procent, Kalihack czymś podpadł zarządowi klubu, to znaczy osobiście doktorowi Skarbeckowi.

– Podpadł? A to co innego. Czyli został ukarany. A tak konkretnie za co?

– Niestety, tego jeszcze nie wiem, ale zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby się dowiedzieć i złożę panu dyrektorowi sto-sow-ny meldunek.

– Zapasy, komisarzu Flügel, to wyjątkowo trudna dyscyplina sportu. Na przykład w pływaniu widomo: kto pierwszy dotknie brzegu basenu, ten jest zwycięzcą. Identycznie w biegach. W skoku wzwyż... kto wyżej. W dal...

– Jak w rzucie granatem. Kto dalej, ten wygrywa. W regimencie rzucaliśmy do celu kamieniami odpowiedniej wagi. Nie chwaląc się, byłem najlepszy.

– Gratuluję. A tego waszego Kalihacka szkoda. Naprawdę szkoda – powtarza gość z Liegnitz, jakby rzeczywiście go żałował. – Skrzywdzony

zawodnik to... to jak... – Brachmann pochyła się nad stolikiem, ale nic mu nie przychodzi do głowy. – Sami najlepiej wiecie.

– W całej rozciągłości zgadzam się z panem dyrektorem.

– Dlatego, komisarzu Flügel, my, policjanci kryminalni, uznajemy Kalihacka za zwycięzcę i wznosimy toast na jego cześć. – Inspektor sięga po koniakówkę, wciąga aromat winiaku do nosa i najpierw wypija łyżeczek złocistego trunku marki Gold, jakby jeszcze nie wierzył, że to winiak o wyjątkowym smaku i bukacie. Po chwili uśmiecha się zadowolony i, kiwając głową z podziwem, wypija jeszcze jeden, teraz większy łyk.

Flügel spodziewał się, że Brachmann zapyta go, czy trunek na pewno pochodzi z którejś z miejscowych wytwórni, dlatego kazał Normannowi, żeby spisał wszystkie nazwy fabryczek i ich wyrobów. Kiedy pada to pytanie, zadowolony komisarz nie odpowiada wprost i krótko, lecz długo i powoli wyjaśnia, ile zakładów produkujących spirytualia było i ile pozostało w mieście. Czołowe wytwórnie winiaków w Niemczech należą do grünberskich potomków Heinricha Raetscha i Alberta Buchholza. A są jeszcze destylatornie Pilzów, Bethego i Plathego, Ottona Mülscha, Hoffmanna, manufaktura założona przez Eduarda Seidela, Grünberger Spiritfabrik und Weinbrennerei należąca niegdy do Maya, Grünberger Cognac-Brennerei Richard Leonhard. Trudno sobie wyobrazić ważną uroczystość bez wina Marke Landkarte z wytwórni założonej jeszcze na początku poprzedniego wieku przez Augusta Gremplera, Karla Häuslera i Friedricha Förstera. Landkarte, roter sekt i riesling powstają z soku wyciskanego z winnych gron zbieranych na miejscowych plantacjach. Krótko przed obchodami siedemsetlecia Grünbergu browarnicy z Bergschloss uwarzyli piwo Jubiläum o smaku niemożliwym do bezspornego określenia.

– Nie uważam się za znawcę winiaków, mimo to twierdzę, że nie ma lepszych trunków niż te, które pochodzą z wytwórni Raetschów. Dorównują tym z Bingen, a podobno ich scharlachberg nie jest gorszy o francuskiego delemaina. Mnie, zawsze staram się mówić szczerze, najbardziej smakuje co innego od Raetschów. Mianowicie weinbrand Weiss. Mimo że Gold, którym pan dyrektor się zachwyca, jest nazywany winiakiem szlachetnym, wolę się delektować Weissem. Kieliszeczek wieczorem po kolacji. Smak podobny, a trunek troszkę tańszy. Do tego koniecznie papierosik dobrej marki – mówi

Flügel, pokazując ręką na posrebrzaną cygarnicę leżącą na stoliku przed Brachmannem.

– Przepraszam, panie dyrektorze, że przeszkadzam. Proszę o pozwolenie na zwrócenie się do pana komisarza Flügela.

Inspektor widzi wyprężonego mężczyznę w cywilnym ubraniu. Nie wie, kim on jest, ale kiwa głową i daje mu znak oczami, że się zgadza.

– Stało się coś, starszy asystencie kryminalny? – pyta Flügel z wyższością w głosie.

– Nieprzyjemna sprawa, panie komisarzu. Bardzo nieprzyjemna. Więcej niż przykra. Katastrofa.

– To znaczy? Mówcie jaśniej. I krótko, bo jestem zajęty.

– Mamy trupa w Deutsche Reichshalle.

– Trup? Skąd się tam wziął?

– Prawdopodobnie morderstwo.

– W tej restauracji, tam gdzie wieczorem odbyły się mistrzostwa Europy w zapasach? – odzywa się Brachmann z niedowierzaniem.

Normann kiwa głową, po czym wyjaśnia:

– W magazynku produktów, do którego można wejść z kuchni i przebieralni, gdzie była szatnia dla zawodników, pan Stier natknął się na...

– Stier jest dzierżawcą i zarządcą restauracji. Nasz zaufany człowiek – twierdzi Flügel, zwracając się do inspektora. – Dalej, starszy asystencie kryminalny.

– W tym magazynku pan Stier natknął się na trupa. Właściwie to nie sam pan Stier.

– Jeżeli nie pan Stier, to kto? Przestańcie kręcić, Normann – sztorcuje go komisarz. – Nie mamy czasu na... na...

– Pomocnik kucharza, panie komisarzu, który po coś wszedł do magazynku.

– Ten trup to od dawna tam? Co o nim wiadomo?

Normann pochyla się nad Flügelem i mówi szeptem:

– Gurgull.

– A kto to taki?

– Gurgull...

– Ten od nas, co... co...? – próbuje sobie przypomnieć komisarz. – Co uczy w szkole przy Neumarkt?

– W gimnazjum uczy pan Grühl.

– Jedni Gurgullowie mieszkają przy Züllichauerstrasse. Drudzy, jak się jedzie na Altkessel. Który z nich?

– Tego, co przy drodze na Altkessel, znam dobrze. To mój sąsiad. Gustav robi w wodociągach, pani Gurgull jest pomywaczką w tej nowej restauracji na Augusthöhe. Jest jeszcze jeden Gurgull, brat mojego sąsiada, ale to też nie ten.

– Normann, mel-duj-cie, który Gurgull?

– Ten, co dziś został mistrzem Europy.

– Do kurwy nędzy! – klnie Flügel, uderzając pięścią w blat stolika. – Przepraszam pana dyrektora... Tak mnie wkurwiliście, Normann, że... że... – próbuje usprawiedliwić swoje wzburzenie komisarz, lecz nic nie przychodzi mu do głowy. – Muszę wypić, bo zaraz szlag mnie trafi z powodu tego kretyna. Czym zawiniłem, panie dyrektorze, że z takim półgłówkiem muszę pracować?

# Niedziela, 11 czerwca 1922 roku

## 27

Doktor Brucks milczącym gestem każe policjantom rewirowym zdjąć sznur z haka, a gdy to zrobili, pokazuje, gdzie mają położyć denata. Jak ma w zwyczaju, wyjmuje z kieszeni marynarki białą chusteczkę, rozkłada ją na posadzce i dopiero wtedy, klęcząc na prawym kolanie, aby lepiej przyjrzeć się ciału, swoje spostrzeżenia zapisuje w kajecie. Mimo że już dawno domyślił się, co spowodowało śmierć, na ten temat jeszcze się nie wypowiedział. Znakiem danym ręką odsyła podwachmistrza Rateia pod drzwi, a starszemu wachmistrzowi Gerlachowi poleca pilnować porządku na korytarzu. Gdyby ktoś inny wydał im takie rozkazy, pewnie by je zlekceważyli. Brucksa szanują bardziej niż komendanta grünberskiej policji.

– Jak mogło do tego dojść, panie doktorze? – pyta Skarbeck, obserwując Brucksa. – Dlaczego akurat w Deutsche Reichshalle? Żeby kiedy indziej, ale podczas takich mistrzostw. Kto go? Kto, doktorze?

– Drugie w tym tygodniu – odzywa się ktoś spod drzwi.

– Tamto było w Schwarzer Adler. Jakaś pokojówka, a tu nowo kreowany mistrz Europy – mówi Skarbeck.

– To i dobrze że mistrzem nie został Kalihack, bo by pewnie wisiał – znów odzywa się ktoś spod drzwi.

Milcząc, medyk czeka na komisarza Flügela lub któregoś z jego podwładnych, kogo poinformuje, że denat to atletyczny mężczyzna przed czterdziestką. Zmarł śmiercią gwałtowną, co trzeba potwierdzić podczas sekcji w zakładzie medycyny sądowej, bo z pewnością bez względu na koszty ciało zostanie przetransportowane do Breslau. Gdyby ofiarą był grünberczyk, doktor Brucks jako miejski koroner

wypełniłby kartę zgonu i na tym zakończył swoje obowiązki. Reszta by należała do Paula Kleinerta, właściciela zakładu pogrzebowego Zur Ruhe, który mimo nocy pewnie liczy na to, że będzie mógł przewieźć zwłoki do chłodni. Zresztą, jeżeli ciało najpierw zostanie przetransportowane do Breslau, to i tak za tydzień czy nawet później, kiedy medyk sądowy zakończy obdukcję i wyda opinię, firma pogrzebowa Kleinerta zrobi to, do czego została powołana.

– Przyjechał po śmierć – jeszcze raz odzywa się ktoś spod drzwi.

Zarządca restauracji już powiedział Brucksowi, że mężczyzna powieszony w magazynku to zwycięzca zawodów. Kiedy Gurgull tam się znalazł i dlaczego, tego Stier nie umiał wyjaśnić. Szatnia zapaśników w czasie mistrzostw była przy umywalni w sąsiednim pomieszczeniu. Między przebieralnią i magazynkiem produktów są drzwi, ale przecież Stier nakazał Fischerowi, żeby je zamknął na klucz od środka. Pewnie kelner znowu nie wykonał polecenia, podejrzewa dzierżawca Deutsche Reichshalle. Wszystko na mojej głowie. I teraz jeszcze nieboszczyk. Oby się nie okazało, że to ofiara zaplanowanego morderstwa, prosi w myślach Stier. Najpierw udusił pokojówkę w hotelu, teraz siłacza. Jeżeli nie morderstwo, to samobójstwo. Ale Stier nie wierzy, żeby Gurgull chwilę po tym, jak został mistrzem, powiesił się z własnej woli. Dlaczego miałby targnąć się na swoje życie akurat zaraz po tym, kiedy dostał tytuł i nagrodę, za którą można kupić konia rasy Schlesisches warmblut, o czym od dawna myśli Stier. Pewnie z kimś zadarł i ten ktoś go zabił. Może nawet przez przypadek. Kto? Nie to martwiło Stiera, lecz to, że jeśli się rozniesie po mieście i okolicy, czego dzierżawca jest pewny, że w Deutsche Reichshalle ktoś zginął, nawet mieszkańcy pobliskich kamienic będą omijać restaurację. Zupełna klapa. A już mu się wydawało, że zamieniając przynoszący kiepski zysk Vereinshaus na Deutsche Reichshalle i godząc się, aby mistrzostwa odbyły się w odmienionej restauracji, chwycił byka za rogi.

– Przejście! – Tubalny głos dociera do doktora Brucksa zza niedomkniętych drzwi. Pewnie policjant toruje drogę komuś ważnemu. Lekarz domyśla się, że za chwilę wejdzie do magazynku komisarz Flügel albo któryś asystent kryminalny. Wolałby, żeby to nie był ten sam aż za bardzo dociekliwy podwachmistrz, który w piątek przed wieczorem w hotelu Schwarzer Adler zadawał mu wręcz banalne

pytania. Przecież nawet praktykant Vorweg uznałby, że zanim pokojówka została uduszona, była gwałcona lub zrobiła to z własnej woli. Może sprawca obiecał jej zarobek, a teraz takie czasy, że gdy mowa o pieniądzach, to nawet kobieta od lat czekająca na powrót męża z wojny przestaje myśleć. Wprawdzie w Deutsche Reichshalle nie doszło do gwałtu, ale lekarz nie ma wątpliwości, że Austriak odszedł z tego świata na własne życzenie. Cholera, dlatego dopiero teraz przypomniałem sobie o Vorwegu, karci się w myślach doktor Brucks. On powinien tu być i się uczyć. Ma zostać moim zięciem i następcą w klinice.

– Nasz medyk sądowy, panie dyrektorze – Flügel przedstawia Brucksa inspektorowi Brachmannowi. – Mój szef z Liegnitz – zwraca się do właściciela kliniki położniczej przy Bahnhofstrasse. – Jaki jest rezultat autopsji, doktorze?

– Wychowałem się w rodzinie lekarskiej. Praktykuję od ćwierć wieku, najpierw krótko w Breslau, potem już tylko w Grünbergu, a jako lekarz sądowy i koroner miejski od dwunastu lat. Nie znam takiego medyka, który po przeprowadzeniu wstępnych oględzin na miejscu popełnienia przestępstwa potrafi na gorąco przedstawić trafne wnioski.

– O jakim przestępstwie doktor mówi? – pyta Brachmann.

– Ciało wisiało na haku. Kazałem je zdjąć, ponieważ to, co zobaczyłem, uznałem za mistyfikację.

– Kto upoważnił doktora do podjęcia takiej decyzji? – odzywa się Flügel słusznie przewidując, że jeśli on o to nie zapyta, to identyczne pytanie padnie z ust prawie już zjeżonego Brachmanna.

– Wyjęliście mi to z ust, komisarzu. Kto upoważnił doktora? – pyta inspektor. – Za to powinno się panu odebrać zezwolenie na wykonywanie zadań medyka sądowego.

– Wisielec inscenizowany, panowie – wyjaśnia lekarz, ani nie odpowiadając na pytania policjantów, ani nic sobie nie robiąc z groźby. – Ofiara gwałtownej śmierci. To znaczy nie zawału, nie krwiaka mózgu, nie wylewu, nie upadku, nie...

– Doktorze, obaj dobrze wiemy, czym różni się śmierć gwałtowna od śmierci naturalnej – Brachmann przerywa Brucksowi. – Proszę dalej mówić. Jest późno. Jutro pan może sobie pospać, a policję czeka wyjątkowo trudna i odpowiedzialna praca śledcza. Gdyby nawet było



tak, jak pan wnioskuje, doktorze, trzeba mieć jakieś dowody. Poszlaki to za mało.

– Zaczęła się niedziela – odzywa się ktoś spod drzwi, lecz nikt nie zwraca na niego uwagi.

– Ciało wisiało na haku. Jednak zgonu mężczyzny nie spowodowało przerwanie rdzenia kręgowego, jak to najczęściej bywa w przypadku wisielców.

– A co? Przecież pan powiedział, że denat wisiał na haku i mimo że nie ma pan żadnych uprawnień do prowadzenia śledztwa, kazał go zdjąć.

– Żeby wstępnie stwierdzić, co spowodowało jego śmierć, musiałem obejrzeć ciało. Żeby stwierdzić definitywnie, trzeba przeprowadzić obdukcję w specjalistycznej placówce, na ogół w zakładzie medycyny sądowej – odpowiada Brucks rozdrażniony uwagą Brachmanna, cofa się i ciężko wzdycha.

– A tak na pierwszy rzut oka? – pyta inspektor łagodniejszym tonem.

– Mężczyzna został uderzony kanciastym przedmiotem w głowę, czego namacalny ślad jest na prawej skroni, co z pewnością spowodowało utratę przytomności.

– A nie przyszło panu do głowy, że mógł się poślizgnąć i w coś walnąć? Dużo to trzeba, jak się waży ze trzy cetnary albo i więcej? – Brachmann pokazuje ręką na denata. Martwy Gurgull wydaje się jeszcze bardziej zwalisty.

Medyk krzywi usta i przecina ręką powietrze, co oznacza, że poślizgu nie odrzuca, ale i nie traktuje hipotezy policjanta poważnie.

– Gdyby nawet stało się tak, jak pan dyrektor powiedział, to nie uderzenie głową o coś twardego mogło spowodować jego śmierć. A co?... Dopóki nie zostanie przeprowadzona sekcja zwłok, żadnej hipotezy nie można wykluczyć.

– Co zatem stało się, doktorze, jeśli pan potrafi wskazać konkretną przyczynę zgonu? No, słucham.

Jeszcze jedna aluzja i powiem ci coś takiego, bubku policyjny, że wejdzie ci to w pięty, grozi doktor w coraz bardziej odważnych myślach. Flügel dobrze wie, że kto zaczyna wojnę z Brucksem, ten zawsze przegrywa, ale przecież nie powie tego inspektorowi.

– Czasem, to znaczy pod nieobecność doktora Brucksa, korzystamy ze wsparcia doktora Bergemanna ze szpitala Bethesda. On także ma uprawnienia medyka sądowego, ale wolimy współpracować z panem doktorem. Między sobą mówimy: nasz najlepszy śledczy – próbuje załagodzić nieprzyjemną sytuację Flügela.

– Nie po to przyjechałem do Grünbergu, komisarzu, żebyście zachwalali mi kwalifikacje doktora – rzuca inspektor Brachmann cierpko. – No, jaka jest prawdziwa przyczyna zgonu tego tu? – zwraca się do Brucksa.

– Uduszenie – odpowiada lekarz, mrugając do sekretarza kryminalnego, jakby tym gestem przekonywał go, że zwierchnikami nie trzeba się przejmować. – Ale nie uduszenie przy użyciu sznura. Ani nie zadziergnięcie. Ani nie zagardlenie. I nie zadławienie.

– A jakie inne może być uduszenie?

– Na przykład przy pomocy poduszki. Tu mogło dojść do uduszenia przy użyciu rąk. Ten, kto to zrobił, potrafi giąć podkowy.

– Przecież denat ma sznur na szyi.

– Upozorowany wisielec.

– Upozorowany? – niedowierza Brachmann.

– Przypuszczam, że najpierw został uderzony kanciastym lub obłym przedmiotem z metalu w głowę, później uduszony przy użyciu rąk i dopiero po tym powieszony na haku.

– Po co?

– Na przykład żeby upozorować samobójstwo.

– Samobójstwo? – znowu niedowierza Brachmann.

– To było morderstwo – twierdzi Brucks, zwracając się do Flügela.

– Kto go?

– Kto, kiedy, dlaczego walnął go w głowę, udusił, założył sznur na szyję i powiesił ciało na haku? To są pytania, na które jest zobowiązana odpowiedzieć policja kryminalna, czego nie powinienem przypominać panu inspektorowi, chociaż siedząc za biurkiem w Liegnitz o tym może pan nie pamiętać – odgryza się lekarz.

– Czy coś więcej wiadomo o denacie poza tym, że w finale pokonał tego waszego... Kalihacka i został mistrzem Europy oraz że otrzymał nagrodę ufundowaną przez grünberskich przedsiębiorców? – Brachmann udaje, że szpila wbita przez Brucksa go nie ukłuła.

– Christian Gurgull, Austriak z Villach, członek Europäischer Athleten-Club „Samson” w Berlinie – odpowiada Stier.

– Skąd to wiecie?

– Taka informacja jest w aneksie do umowy, którą sporządziliśmy na długo przed mistrzostwami. Wolałem się zabezpieczyć. To w razie gdyby urząd finansowy czy policja... – urywa zarządca restauracji i spogląda na Flügel. – Takie czasy, że, jak mówią w moich rodzinnych stronach, strzeżonego Pan Bóg strzeże.

– A ktoś zaglądał do jego kieszeni? Ktoś sprawdził, czy to na pewno Gurgull? Atleci jak kłosa w snopie zboża są do siebie podobni.

Normann nie domyśla się, że on to musi zrobić. Dopiero kiedy Flügel odchrząkuje i kiwa głową w jego stronę, starszy asystent kryminalny podchodzi do nieboszczyka, przykłęka na lewe kolano i przez chwilę zastanawia się, do której kieszeni zajrzeć, żeby od razu trafić na pugilares. Swoje dokumenty zawsze ma po lewej stronie marynarki, tak jak nakazują przepisy. Dwoma palcami prawej ręki podnosi klapę, lewą dłoń wsuwa między koszulę i marynarkę.

– Jest. – Wyjąwszy pugilares z kieszeni, wstaje, rozgląda się, ale ponieważ ani komisarz Flügel, ani inspektor Brachmann nie ma ochoty zajrzeć do środka, on to robi. – Pusty. Nic nie ma.

– Jak to nic? – Skarbeck wrywa mu portfel, sprawdza, po czym telepie nim tak, jakby wytrząsał banknoty. – Powinno być pięćset marek. Tyle wynosi nagroda za pierwsze miejsce.

Przez magazynek przechodzi pomruk zaskoczenia, a potem zapada cisza.

– Ktoś go zamordował dla pieniędzy – odzywa się doktor Brucks. – Nie pierwsze i pewnie nie ostatnie morderstwo na tle rabunkowym w naszym Grünbergu.

– Cóż, komisarzu – Brachmann robi krok w kierunku Flügela – trzeba postępować zgodnie z procedurami obowiązującymi w policji kryminalnej Niederschlesien. – Nie mówi, że to będzie trudne śledztwo. Jeżeli grünberska komórka kripo wskaże sprawcę, który już podczas przesłuchania wstępnego przyznał się do zabójstwa Gurgulla, na pewno centrala przyśle swoich śledczych, żeby sprawdzili protokoły. Breslauczycy i liegnitzczycy mają się za władczych, dlatego na ogół nie ufają prowincjonalnym policjantom. Zresztą dyrektor Brachmann

nie inaczej traktuje sekretarza kryminalnego Flügela i jego podwładnych.

– To znaczy, panie inspektorze, że sami mamy przeprowadzić śledztwo? – upewnia się komisarz.

– Czekam na raport. Ile dni potrzebujecie? Dwa, trzy wystarczy?

– Takiego śledztwa jeszcze nie prowadziliśmy.

– Daję wam czas do najbliższego piątku. – Brachmann wyjmując zegarek z kieszonki kamizelki, chwilę przypatruje się wskazówkom, jakby nie dowierzał, że przed kwadransem minęła północ. – A teraz odwieźcie mnie do hotelu.

Gdyby Schreiter nie leżał w szpitalu, jemu Flügel kazałby zająć się sprawą. W razie niepowodzenia mógłby zrzucić winę na brak doświadczenia młodszego asystenta. A tak będzie musiał wyznaczyć kogoś innego. Jako zwierzchnik policji kryminalnej w Grünbergu nie prowadzi przesłuchań, co nie znaczy, że nie wtrąca się do każdego śledztwa. Największe doświadczenie ma Normann, ale póki Schreiter nie wydobrzeje, a nie zanosí się na jego szybki powrót do służby, starszy wachmistrz do swoich obowiązków doda zadania zlecone młodszemu asystentowi. Chyba sam będę musiał poprowadzić to śledztwo. Poprowadzić to i dokończyć tamto, które zaczął Schreiter w hotelu Schwarzer Adler. Flügel już ma zamiar zameldować Brachmannowi, że skoro denat jest Austriakiem, to on osobiście zajmie się sprawą, gdy sobie przypomina, że na niedzielne przedpołudnie zapowiedział swój przyjazd do Grünbergu szwagier z Glogau, sekretarz kryminalny w tamtejszej komendzie. Szwagra miał gościć w poprzednim tygodniu, kiedy miasto świętowało siedemsetlecie, lecz wtedy wszyscy policjanci porządkowi i kryminalni pełnili całodobową służbę. Do pomocy im komenda rejencji w Liegnitz skierowała żandarmów z okolicznych miasteczek i pododdział rezerwowy. To w razie gdyby miejscowi stróże porządku nie mogli sobie poradzić. Wprawdzie podchmielonych gości nie brakowało, ale na szczęście nikt nie został zaciukany, a że było kilku napadniętych, pobitych, okradzionych, to nic nadzwyczajnego. Podczas każdej zabawy to się zdarza.

– Jeden z kelnerów słyszał kłótnię – odzywa się Stier.

– Kto z kim się kłócił? Który kelner słyszał? Jego nazwisko?

– Fischer. W szatni kłócili się zawodnicy i doktor Skarbeck. O co, tego nie wie. Tylu gości było w restauracji, że kelner nie mógł stać i słuchać.

Brachmann rozgląda się, lecz nie dostrzega Skarbecka.

– Doktor wyszedł – zgaduje Flügel.

– Czym prędzej trzeba go przesłuchać – decyduje inspektor. – A i nie zaszkodzi przepytąć tego kelnera.

– Redaktor Mischke będzie wiedział więcej. On zawsze najwięcej wie – twierdzi Stier. – Takie osobowe źródło informacji.

– Ten wszarz? – Inspektor pochyla się z dezaprobatą w stronę Flügela. Komisarz kiwa głową, ale nie przyznaje się, że korzysta z informacji Mischkego, i wtedy drętwieje, bo przypomina sobie, co redaktor napisał o Brachmannie. Ale to przecież była święta prawda. Czy tylko policjanci i urzędnicy rejencyjni przyjeżdżają do takich miast jak Grünberg, Glogau, Freystadt, Sagan, Crossen na kontrolę, a w rzeczywistości po to, żeby się najeść i napić na cudzy koszt? Przecież identycznie zachowują się ci z Breslau i Berlina.

– Kiedy Fischer usłyszał kłótnię w szatni, to dał znać Mischkemu – ujawnia Stier. – Redaktor wszedł do magazynku i...

– Jakim prawem?! – wydziera się Brachmann.

– Gdyby nie kelnerzy, Mischke nie wiedziałby połowy tego, co wie. On im płaci za informacje. Takie czasy, że każdy chce zarobić.

– Natychmiast zacząć śledztwo! Od redaktora!

– W nocy? – pyta komisarz Flügel. Zganiony piorunującym spojrzeniem inspektora, odwraca się do starszego wachmistrza: – Normann, wykonać!

– Po nocy?

– Wy-ko-nać!

Gdyby sekretarz kryminalny wydał rozkaz w dzień, starszy wachmistrz Normann pomaszerowałby na Sprottauer Bahnhof, skąd odjeżdżają pociągi małej kolei w kierunku południowym i po dziesięciu minutach jazdy by wysiadł na stacyjce Grünberg-Oberstadt. Stamtąd jest żabi skok do kamienicy przy An der Lattwiese, gdzie mieszka redaktor Mischke. Od północy aż do szóstej nie kursują pociągi firmy Kleinbahn Grünberg-Sprottau, a Normann musi natychmiast przesłuchać dziennikarza. Doświadczenie kusi starszego asystenta kryminalnego, żeby to zrobić dopiero z rana. A jeżeli przełożony zechce sprawdzić wcześniej, czy podwładny wykonał zadanie? Po Flügelu tego można się spodziewać. Już groził Normannowi przeniesieniem do policji porządkowej we Freystadt. Jeszcze w Deutsche Reichshalle starszy wachmistrz zdał sobie sprawę, że w środku nocy nie przywoła dorożki, musi więc drałować na nogach ciemnymi uliczkami miasta. Na szczęście niebo jest gwiazdziste, a nagrzane powietrze przyjemnie pachnie aromatem pobliskich winnic. W zimie na pewno poczekałby do białego rana z wykonaniem zadania.

Normann zapala papierosa i stoi, bo nie pamięta, za którymi drzwiami jest mieszkanie Mischkego, a nie chce obudzić przypadkowego lokatora. Gdy tak się zastanawia, słyszy zbliżające się ni to szuranie, ni to człapanie. Kuna? Mysz? Pies? Chwilę później dostrzega sylwetkę w ciemności, wydaje mu się, że to mężczyzna. Włamywacz! Ale zaraz przypomina sobie, że kamienice majątnych grünberczyków stoją po obu stronach reprezentacyjnej Bahnhofstrasse, przy Breslauerstrasse, Niederstrasse i wianuszkami oplatają ratusz. Na Gartenstrasse nawet najbardziej sprytny złodziejasek i szachraj, za jakiego uważa Arnolda, niewiele zdobędzie. Pewnie więc któryś lokator wraca do domu. A skąd o tej porze? Z knajpy albo z przybytku uciech, wyjaśnia sobie policjant. Starszy wachmistrz czeka jeszcze chwilkę i wychodzi z cienia.

– Człowieku, tu mieszkanie?

Mężczyzna zaskoczony pytaniem natychmiast się zatrzymuje i nabiera wody do ust, po czym lekko się pochyła, stoi tak, jakby sobie nie dowierzał.

– A?

– Zapytałem, czy tu mieszkanie. Odpowiadajcie.

– Ty wy, Normann?

– Zgadza się - mimo że jeszcze nie może sobie przypomnieć, skąd zna tego mężczyznę, potwierdza starszy asystent kryminalny. Na pewno gdzieś go widział.

– Wszystkiego bym się spodziewał, tylko nie was w środku nocy.

To samo powinien powiedzieć Normann. Wprawdzie Gerlach służy w policji porządkowej, ale to przecież ten sam budynek przy Oberthorstrasse 5, gdzie mijają się od wielu lat. Właściwie dopiero od tego dnia, kiedy po kursie dla asystentów kryminalnych Normann został przeniesiony z komisariatu powiatowego w Freystadt do komendy miejskiej w Grünbergu.

– Ja do Mischkego. Które wejście do jego mieszkania?

– O tu - odpowiada Gerlach, pokazując na drzwi po prawej stronie. - Jeżeli jest. Kawaler, a każdy kawaler póki się nie ożeni, też musi pokosztować chleba. Mischke smakuje chleb z niejednego pieca. W powszedni dzień ja bym go szukał w innym miejscu. - Gerlach dodaje szeptem: - Na Kapellenweg.

– Na Kapellenweg? - dziwi się starszy asystent kryminalny.

– To wy nie wiecie, czyjeż żoneczce dogadza redaktor? Mężulek od rana do nocy na służbie, a on w tym czasie... tego... no. - Normann nie odpowiada, więc Gerlach zadaje kolejne pytanie: - Kto jest dyrektorem banku przy dawnej Kaiser-Wilhelm-Strasse, teraz Freiheitstrasse? - Normann dalej milczy. Wtedy, kiedy zmieniano nazwy ulic, on jeszcze był policjantem rewirowym we Freystadt. - Marny z was śledczy - wytyka mu Gerlach. Normann chciałby się odgryźć, ale nie wie jak. - Mamy noc z soboty na niedzielę. Ślubny tej damy jest w domu i pewnie jeszcze z wieczora zrobił to, co należy do jego obowiązków małżeńskich. O tej porze przewrócił się na drugi bok.

– Co wy mi tu? - wreszcie odzywa się Normann.

– Dziś szukałbym Mischkego na Niederstrasse.

– U tego Arnolda, co na wprost hotelu Kaiserhof ma...? - nie kończąc zdania, pyta starszy asystent kryminalny jakby sprawdzał, czy dobrze zapamiętał, że tam jest najbardziej znany i jednocześnie tajemny przybytek uciech, w którym on jeszcze nie był. - To znaczy nie u niego samego, a z którąś latawicą?

– Jakiście wy... Ja nie jestem śledczym, a wiem aż tyle. Nie z pierwszą lepszą, Norman, żeby go poczęstowała jakąś francją, a z konkretną. I to taką, że i wy byście chcieli sobie... Mischke zatyka konkretną szparę, Norman – powtarza policjant porządkowy i śmieje się zadowolony ze swojej przewagi nad śledczym. Starszy wachmistrz nie dowierza, Gerlach więc mówi, że chodzi o Heidi. – Ona jest bardziej wycwaniona od tej Kathrin, co ją któryś skurwiel wykończył w Schwarzer Adler. Jednej nocy Heidi rozkłada nogi Mischkemu, drugiej Schreiterowi. Innym też, ale oni o tym nie wiedzą. Wydawałoby się, że skoro obaj są po wysokich szkołach w Breslau, to powinni o tym wiedzieć, a oni nic. Głusi i zaślepieni. Heidi robi to dla przyjemności, ale nie swojej i nie za darmo. A że poturbowany Schreiter leży w szpitalu, Mischke korzysta z okazji.

– W takim razie... – zaczyna Normann i urywa, bo nie wie, jak zakończyć zdanie. Chciałby poprosić starego wachmistrza o radę, lecz wtedy potwierdzi się to, co przed chwilą wytknął mu Gerlach. Że jest marnym śledczym. – Co mi radzicie?

– Tu czekać na redaktora nie ma sensu. Może wrócić wnet, a może i dopiero rano albo pójdzie prosto na nabożeństwo. Niedziela. On chodzi do tego nowego kościoła, co stoi przy skrzyżowaniu Eberhard-König Strasse z Bahnhofstrasse.

– A, Christuskirche!

– Christuskirche jest przy Kaiser-Wilhelm Platz, to znaczy po nowemu przy Freiheitsplatz. Ten kościół należy do staroluteran. Zanim go postawili, modlili się tam, gdzie teraz jest muzeum.

– Mischke chodzi do Erlöserkirche?

– Erlöserkirche – potwierdza Gerlach. – Ja od dziecka każdej niedzieli chodzę do Zum Garten Christi.

– Tak samo i ja.

– A po co policji kryminalnej redaktor Mischke? Znowu czegoś nie wiecie, a on to wie? Bez niego...

– Jest rozkaz przesłuchać Mischkego.

– Podejrzewacie redaktora, że już wie, kto załatwił tego Austriaka, który wygrał mistrzostwa? Możliwe. Był na zapleczu restauracji? Był. Pan Stier to potwierdził. Coś słyszał? Na pewno.



– Dopóki śledztwo nie zostanie zamknięte, policja kryminalna ma prawo podejrzewać każdego bez wyjątku.

– Jak najbardziej.

– Burmistrz Ouvrier mówił, że Mischke jest jak święty dla katolika. Tyle, ile on zrobił dla miasta... Rozkaz to rozkaz. Musowo wykonać.

– Jeszcze was, Normann, nie było w Grünbergu, gdy Mischke dobierał się do najstarszej córki burmistrza. Podobno miał zamiar z nią się ożenić, tylko że pan Ouvrier nie zezwolił. Wydał córkę za syna pana Wesolka. I dobrze zrobił. Przy Mischkem by biedowała, a ona nie jest nauczona jeść suchy chleb. Jaki pożytek z Mischkego jako męża? Co on ma? A pisać to i wy potraficie.

– Pójdę już – Normann przerywa staremu wachmistrzowi. – Będę go szukać na Niederstrasse.

– Nie ma co szukać po całej kamienicy. Na pewno dogadza sobie z tą Heidi – śmieje się Gerlach. – Mischke... ten to ma kondycję. Ja, jak byłem w jego wieku... Teraz mniej, ale raz w tygodniu muszę sobie. A wy to nie?

## 29

Mischkemu zostało do napisania jeszcze kilka zdań, kiedy słyszy skrzypnięcie drzwi do pokoju w redakcji „Grünberger Tageblatt”. Nie odrywając wzroku od klawiatury dalekopisu, mówi:

– Proszę usiąść i poczekać. Za chwilę skończę pisanie.

– Ho, ho! Tu ładniej niż u nas na komisariacie.

Redaktor Mischke poznaje po głosie, że to starszy asystent kryminalny Normann, dlatego nie wstaje, nawet nie odwraca się w stronę drzwi. Ma w głowie zdania, którymi zakończy relację z tego, co w sobotę wieczorem działo się podczas zapaśniczych mistrzostw Europy. Już napisał między innymi, kto stał na podium i ile dostał marek jako nagrodę za zajęcie pierwszego miejsca. Duży akapit poświęcił Kalihackowi, mimo że wbrew temu, czego spodziewali się ci, którzy

przyszli do Deutsche Reichshalle, grünberczyk nie został mistrzem. Zaraz po zawodach, gdy w głowie układał plan tego, co napisze, miał zamiar skomentować przegraną Kalihacka, lecz później postanowił z tego zrezygnować. Nie tylko jego zdaniem grünberczyk był wyraźnie lepszy od Gurgulla, dlaczego więc został zdyskwalifikowany? Pewnie wykonał jakiś niedozwolony chwyt, bo co by innego? O komentarz Mischke zwrócił się do doktora Skarbecka, a ten stwierdził, że decyzja sędziego jest ostateczna i on jako przedstawiciel organizatora zawodów nie ma zamiaru nie tylko jej podważać, ale i dyskutować. Zresztą za rok odbędą się kolejne mistrzostwa, tym razem we francuskim Clermont-Ferrand, gdzie Kalihack będzie miał okazję zrewanżować się Gurgullowi. Skarbeck ukrył przed Mischkem, że rozmawiał z zastępcą prefekta departamentu Puy-de-Dôme i merem miasta na temat tego, kto powinien wygrać zawody. Jego zdaniem byłoby najlepiej, gdyby zwycięzcą przyszłorocznych mistrzostw został Adrien Barrier, atleta urodzony w Madriat, a to miejscowość niedaleko Clermont-Ferrand.

– Nikt nie ma monopolu na wygrywanie. Przegrana w meczniku dobrze podziela na Kalihacka. Ostatnio tak się rozzuchwalił, że nie byłem w stanie zawrócić go na drogę umiaru. Zawodnik tej klasy, co Kalihack, musi świecić przykładem – rzucił doktor Skarbeck tonem niebudzącym wątpliwości, że jednak on decyduje o wszystkim, co się dzieje w Europäischer Athleten-Club „Samson”. – Sport zawodowy w przeciwieństwie do sportu amatorskiego z jednej strony jest sposobem zarabiania pieniędzy, z drugiej, może ważniejszej, ma dawać radość tym, którzy kupują bilety i przychodzą na zawody, a po nich dyskutują przy piwie. Czy sport zawodowy można go potraktować tak jak teatr? Z pewnością. Na scenie są najlepsi aktorzy, w naszej sytuacji zapaśnicy. Jeszcze jedno, bardzo ważne: sport tak zawodowy, jak i amatorski, kształtuje postawy patriotyczne.

– I daję wiarę w lepsze jutro, a to nam, Niemcom, którzy wyszli z tej wielkiej wojny narodów upokorzeni, jest bardzo potrzebne. Teraz sport jest lekarstwem na nasze dusze – stwierdził Mischke prowokująco, z czym Skarbeck się zgodził, przytakując, ale czego nie skomentował. Dziennikarz spodziewał się, że nie tylko pozna komentarz berlińczyka na ten temat, lecz i usłyszy pochwałę za takie myślenie.

– Zdążyłem. Miałem termin do dziewiątej – mówi Mischke zadowolony, spoglądając na junghansa. Chowa zegarek do kieszonki

w kamizelce, wstaje od dalekopisu, podnosi rękę, przeciąga się i chwilę stoi tak, jakby dopiero teraz zauważył starszego asystenta kryminalnego. – A co was, Normann, w niedzielę z rana sprowadza do mnie? Wydarzyło się coś, o czym nie wiem? Komisarz Flügel przysłał was, żebym o tym napisał? Tylko wezmę papier i ołówek. Zapalicie? Po co ja się zresztą pytam?

Normann wyciąga rękę po salema.

– O, dziś luksusowe? – pyta z niedowierzaniem policjant. Chciałby wziąć dwa papierosy, lecz nie ma odwagi. Posiedzę dłużej, kalkuluje, to jeszcze raz zostanę poczęstowany.

– Weźcie dwa – zachęca Mischke, jakby czytał w myślach starszego wachmistrza.

Onieśmielony Normann niby się krępuje, ale nie odmawia. Bierze dwa papierosy i jeden chowa do kieszeni.

– Pan redaktor to... – Policjantowi brakuje słów, aby wyrazić to, co mu przyszło do głowy. Uśmiecha się do Mischkego zadowolony. Dobrze zaczął się tydzień, myśli. – Tego drugiego zapalę sobie po obiadku. W niedzielę moja gotuje lepiej. Świątecznie. Zawsze jest mięso. A pan redaktor pewnie pójdzie na obiadek do restauracji Kaiserhof. Nie radzę iść do Deutsche Reichshalle.

– Za daleko. Kaiserhof mam prawie pod nosem. W niedzielę lubię zajrzeć do Wiener Café. Podają tam najlepszy w mieście sznycel po wiedeńsku. Sznycel i zimne piwko. Stier i kucharze w Deutsche Reichshalle jeszcze muszą się pouczyć. Widziałem wczoraj, co podawali. Za darmo bym tego nie przełknął. Ale wy pewnie...?

– Ja do pana redaktora w bardzo ważnej sprawie – przyznaje nieśmiało Normann. Zapaliwszy salema, zawile opowiada, czyje ciało znaleziono w magazynku produktów. – Pan komisarz Flügel kazał przesłuchać pana redaktora.

– Komisarz uważa, że mam coś wspólnego z tym, co się wydarzyło w Deutsche Reichshalle? A może... że ja wysłałem Austriaka na tamten świat?

Normann ani nie potwierdza, ani nie rozkłada rąk, ani nie kręci głową. Dopiero po namyśle się odzywa:

– Byłem tam, gdzie pan redaktor zamieszkuje. Gerlach, ten stary wachmistrz, co też mieszka przy Gartenstrasse, powiedział, że jak pana

redaktora nie ma w mieszkaniu, to trzeba szukać w wiadomym miejscu na Niederstrasse. Po ciemku przez pół miasta. Będzie ze trzy kilometry albo i więcej. Dobrze, że nie padało. Jakby pan redaktor zabił, to nie poszedłby do Heidi, tylko nawiał. Pan redaktor nie mógł zabić Austriaka, bo i po co?

Mischke wybucha gromkim śmiechem i podrywa się z krzesła, krąży po pokoju. Po chwili uspokojony mówi:

– Takiego wielkoluda mógł zabić tylko taki sam albo jeszcze większy wielkolud.

Starszy asystent kryminalny otwiera usta i zamiera w bezruchu. Zgadza się z Mischkem, ale nie przytakuje. Karci się, że to, co przed chwilą usłyszał, nie przyszło mu do głowy wcześniej. Przecież mężczyzna równy wzrostem i wagą Mischkemu nie jest w stanie powalić atlety. Gurgula zabił ktoś tak samo rozrośnięty jak on, czyli ktoś spośród zapaśników, wnioskuje Normann. Kto? Gdyby tego się dowiedział, miałby prawo domagać się awansu co najmniej na podsekretarza kryminalnego. A i pewnie dostałby nagrodę. I może krzyż za wierną służbę w policji.

– Pan redaktor tam był i słyszał, jak się kłócili – powtarza starszy wachmistrz to, co powiedział Stier. – Kto, z kim, gdzie, w jakich okolicznościach?

– Nie kłótnię, Normann, nie kłótnię. Słyszałem dyskusję. Nie wszystko zrozumiałem, jak i nie wiem, z czyich ust padało to, co docierało do mnie. Nie wiem, ponieważ przebywałem za ścianą. Głosy docierały do mnie przez lufcik pod sufitem.

– Czego dotyczyła ta dyskusja? – starszy wachmistrz pyta po długim namyśle. – No, o czym oni rozmawiali?

– Analizowali przebieg zawodów – odpowiada Mischke wymijająco i zaczyna w myślach dociekać. Skoro Gurgull został mistrzem Europy i nie żyje, to ten, który go zamordował, ma coś na sumieniu. Może Austriak czegoś się domagał? Na przykład pieniędzy. A może powiedział, że wie, kto najpierw zgwałcił i potem udusił pokojówkę w hotelu Schwarzer Adler? I może zagroził sprawcy, że jeśli on nie zostanie mistrzem Europy, to pójdzie na komisariat i wszystko wyśpiewa. To by wskazywało na kogoś spośród zapaśników. Ale czy doktor Skarbeck tego by nie wiedział albo się

nie domyślił? Coś mi tu nie pasuje. – To, co usłyszałem, na pewno miało charakter ekspresyjny. Owszem, padały pełnokrwiste określenia, ale przecież twarda męska dyskusja polega na tym, żeby używać mocnych argumentów. Zgadza się ze mną?

– Faktycznie.

– Zapaśnicy analizowali układ tabeli. Jakiej tabeli? Tego nie powiedzieli, a ja się nie domyśliłem.

– W takim razie tyle. Gdyby jeszcze coś konkretnego przypomniało się panu redaktorowi, to ja... – kończy rozmowę Normann. Wstaje z nadzieją, że Mischke poczęstuje go salemem. Nie doczekawszy się tego, wychodzi z pokoju.

Został zamordowany nie pierwszy lepszy gość restauracji Deutsche Reichshalle, a obcokrajowiec, mistrz Europy w zapasach. Urzędowe śledztwo powinien prowadzić najstarszy rangą policjant kryminalny, czyli komisarz Flügel, nie bez racji uważa Mischke. W tym momencie przychodzi mu do głowy, że coś się za tym kryje. Co? To spróbuje wyjaśnić, prowadząc własne śledztwo. Zacznie od rozmowy z doktorem Skarbeckiem. Musi się pospieszyć, żeby czytelnicy wtorkowej „Grünberger Tageblatt” dowiedzieli się prawdy jeszcze zanim policja zamknie sprawę.

## 30

Tak wzburzonego dyrektora Brachmanna komisarz Flügel nie pamięta, a zna go od co najmniej dziesięciu lat. Gdyby nie decyzja inspektora, Flügel pewnie nie zostałby sekretarzem kryminalnym i zwierzchnikiem ośmiu asystentów w Grünbergu. Wczoraj wieczorem w restauracji hotelu Kaiserhof komisarz spodziewał się, że usłyszy od dyrektora pytanie, czy jest gotów przenieść się do Liegnitz, gdzie byłby jego zastępcą najpierw w randzie starszego komisarza czy nadkomisarza, potem podinspektora i za pięć, sześć lat młodszego inspektora albo od razu inspektora. W kwietniu podczas cokuwartalnej odprawy

sekretarzy kryminalnych dyrektor Brachmann powiedział, że jego zastępca uległ wypadkowi podczas wykonywania obowiązków służbowych i z tego powodu nie może sprawować swojej funkcji. Do Flügela dotarła inna wersja tego zdarzenia. To nie był wypadek podczas wycieczki na Schneekoppe, lecz okaleczenie przez hotelową prostytutkę w Krummhübel, której policjant nie chciał zapłacić za to, za co inni płacą bez ociągania. W niedalekiej przyszłości, gdy dyrektor Brachmann awansuje do Polizei Präsidium w Breslau, być może właśnie Flügel zajmie jego gabinet, czego inspektor nie ukrywał. Na swojego zastępcę wyznaczy szwagra z Glogau, także sekretarza kryminalnego, tego, który miał przyjechać poprzedniej niedzieli do Grünbergu, lecz z powodu święta siedemsetlecia miasta przesunął odwiedzin o tydzień. Zaraz po powrocie do domu Flügel pochwalił się Sophie, że po odprawie Brachmann zapytał go, czy miałby kto zająć jego miejsce w Grünbergu, gdyby on przeniósł się do inspektoratu policji kryminalnej w Liegnitz. Od tamtego czasu żona nie daje mu spokoju, a bywa, że między zachwykami nad Liegnitz pada pytanie o Breslau, gdzie najstarszy brat Sophie jest nauczycielem łaciny w gimnazjum i gdzie ona także chciałaby mieszkać. A tu kłapa. Nie dość że po wyjściu z Deutsche Reichshalle inspektor Brachmann nie podał ręki Flügelowi na pożegnanie, to jeszcze rzucił tonem rozkazującym, aby najpóźniej przed południem w niedzielę złożył mu meldunek z przebiegu śledztwa w sprawie zabójstwa w restauracji.

– Nie wyjadę z Grünbergu, póki morderca nie zostanie aresztowany. Gdyby został zabity Niemiec... Zabójstwo cudzoziemca, w dodatku nowego mistrza Europy w zapasach, oznacza, że po zebraniu dowodów sprawą zajmą się wyższe instancje. Czekam do południa. Jasne, Flügel?

– Ale ja...

– Milczeć.

Komisarz Flügel jest przekonany, że gdyby przesłuchał redaktora Mischkego, a ten coś więcej powiedział na temat zdarzenia w restauracji, dyrektor Brachmann wsiadłby do samochodu i dał mu spokój. Mógłby wtedy ugościć szwagra tak, jak wypada to zrobić.

Normann zameldował mu, że z rana zastał Mischkego w biurze „Grünberger Tageblatt”. Redaktor niczego ważnego nie powiedział. Owszem, słyszał podniesione głosy dochodzące z szatni zapaśników,

ale to nie była kłótnia, lecz dyskusja. Atleci sprzeciali się, wytykali sobie błędy, śmiali się, pokrzykiwali.

– Zapaśnicy analizowali układ tabeli – starszy asystent kryminalny powtórzył to, co usłyszał od dziennikarza.

– A co tam było do analizowania, Normann?

– Tak powiedział pan redaktor Mischke.

Flügel jest przekonany, że Normann sobie nie poradzi ze śledztwem. Może poprowadzić rutynowe przesłuchanie, ale niewymagające myślenia i kojarzenia odpowiedzi świadków, a przecucie podpowiada sekretarzowi kryminalnemu, że wyjaśnienie tego, co się stało w Deutsche Reichshalle, będzie skomplikowane. Właściwie to Flügel nie wie, od czego zacząć śledztwo. Przede wszystkim zastanawia się, komu zależało na tym, żeby pozbawić życia Austriaka, mistrza Europy. I to w jaki sposób? Ile trzeba mieć krzepy w rękach, żeby mężczyznę ważącego co najmniej trzy cetnary zawiesić na haku. A jeżeli było tak, jak powiedział doktor Brucks, najpierw rąbnąć go w bańkę, potem udusić gołymi łapami. Tego nie mógł zrobić ktokolwiek spośród grünberczyków. Chociaż nie, zmienia zdanie komisarz. Przecież znam takiego jednego, który waży tyle co denat i ma niewiele mniej niż dwa metry wzrostu. I jak szybko przyszedł mu na myśl podwachmistrz Ratei z policji porządkowej, tak szybko go wykluczył z kręgu podejrzanych. Flügel przypuszcza, że mordercą jest ktoś przyjezdny, komu Gurgull zalazł za skórę albo był mu dłużny pieniądze lub, co uważa za najbardziej prawdopodobne, któryś uczestnik mistrzostw. Który? Doktora Skarbecka wyeliminował ze względu na niski wzrost, otyłość i wiek. Kalihacka także wykluczył. Maksymiak albo Randjärv? A może któryś z braci Węgrów? Starszy był na froncie, na pewno strzelał i trafiał. Kto raz zabił, zabije i drugi raz, i trzeci. Im więcej razy odbierze życie, robi to z tym większą łatwością. Flügel nikogo nie zastrzelił ani na froncie zachodnim, ani na wschodnim, chociaż miał ku temu sporo okazji. O Stierze komisarz wie, że przyjechał z Posen, gdzie jeszcze dwa lata temu dzierżawił restaurację Friedrichshof. Tam została jego żona i dzieci. W Grünbergu mieszka w pokoiku nad Deutsche Reichshalle, ale najczęściej można go znaleźć u wdowy po współwłaścicielu kopalni węgla Mathilde. Od niego trzeba zacząć przesłuchania, postanawia sekretarz kryminalny, gdy przychodzi mu na myśl pokojówka Kathrin Krüger. Przecież zanim została

uduszona, została zgwałcona. A może sprawcą zabójstwa jest ta sama osoba? To by znaczyło, że nie Stier, lecz ktoś, kto przed wieczorem w piątek przebywał w hotelu Schwarzer Adler. Jaka szkoda, że Schreiter nie dokończył tamtego śledztwa. A tak w ogóle to Flügel ubolewa nad losem młodszego asystenta kryminalnego. W przeciwieństwie do pozostałych asystentów Schreiter nie postępuje wyłącznie według policyjnych procedur i zawsze ma jakieś wątpliwości. Na ogół wkurza tym komisarza, ale i czasem podpowiada drogi wyjścia z bardzo trudnych sytuacji.

– Zrobimy tak – odzywa się do starszego wachmistrza – wy, Normann, pójdziecie do Schwarzer Adler i przesłuchacie zarządcę hotelu. Ja w tym czasie porozmawiam z doktorem Skarbeckiem.

– Jak skończę z panem dyrektorem Wachnikiem, to co dalej?

– Jeszcze dziś, Normann, musimy mieć mordercę. Dziś, ro-zu-mie-cie?

– Co mam nie rozumieć. Pan każe, sługa musi.

– Albo zrobimy inaczej.

– To znaczy jak?

– Ja do hotelu, przesłucham Skarbecka i Wachnika, wy do Stiera. Macie go tak – Flügel podniósł zaciśnięte dłonie – żeby wszystko wyśpiewał. Stier musi coś wiedzieć.

– Mnie tam wszystko jedno. I tak z tego nic nie będzie, bo pan redaktor Mischke nas uprzedzi.

Komisarz myśli identycznie, lecz ukrywa to przed starszym wachmistrem. Byłoby najlepiej, gdyby znowu udało się przekupić dziennikarza, ale on będzie się wykręcał. To cwany lis.

– Mam na niego haka – cieszy się sekretarz kryminalny, zacierając dłonie. Po chwili mówi, że pewnie nic z tego nie wyjdzie, bo tyle razy próbował zwabić Mischkego do budynku przy Oberthostrasse 5 i nigdy to się nie udało. – Popróbujemy, Normann?

– Pan każe, sługa musi.



Jeszcze w sobotę przed południem sekretarz miasta podpowiedział nadburmistrzowi, aby pożegnalne śniadanie z atletami odbyło się w niedzielę w hotelowej restauracji. Poza Finkem powinien w nim uczestniczyć fundator głównej nagrody, wybrani przedsiębiorcy, właściciele lub zarządcy Schwarzer Adler i Deutsche Reichshalle. Spotkanie, o którym nie znajdzie się nawet pół zdania w „Grünberger Tageblatt” i „Grünberger Wochenblatt”, Widenka uważa za nieudane, dlatego trzeba zaprosić na nie przedstawicieli obu redakcji. Nie muszą siedzieć przy głównym stole. Przed wieczornym finałem o mistrzostwo Europy nadburmistrz zapytał doktora Skarbecka, czy nie będzie miał nic przeciw temu, jeżeli oprócz awizowanych osób na śniadanie pożegnalne przyjdą pastorzy i ksiądz katolicki. A dziś wczesnym rankiem Widenka dał znać Skarbeckowi, że nie tylko nadburmistrz odwołał swój udział w spotkaniu, ale i duchowni. Sekretarz miasta nie wyjaśnił, pod czyim wpływem i dlaczego Finke podjął taką decyzję. Skarbeck pomyślał, że po tym, co się stało w Deutsche Reichshalle, gdyby był nadburmistrzem, zachowałby się identycznie.

Zanim kelner postawił przed każdym atletą talerz z kiełbaskami, jajkami faszerowanymi szynką i szpinakiem, z plastrami baleronu i żółtym serem, Skarbeck zakomunikował, że obecność zapaśników w Grünbergu się przedłuży. Ile dni czy tylko godzin jeszcze będą mieszkali w Schwarzer Adler, to zależy od policji kryminalnej. Kto zapłaci za przedłużony pobyt i utrzymanie, tego doktor nie wie. Na pewno nie Europäischer Athleten-Club „Samson”.

– Beze mnie. Żona ma wyznaczony termin porodu na wtorek. To będzie nasze pierwsze dziecko. Chłopak. Choćby nie wiem co, wracam do mojego Paide. – Estończyk podnosi zaciśniętą dłoń, co ma oznaczać, że nawet siłą policja kryminalna go nie zatrzyma.

– Rozumiem was, Randjärv – odpowiada spokojnym głosem Skarbeck. – Niestety nie mam żadnego wpływu na decyzje podejmowane przez miejscową policję.

– Ja – Estończyk uderza pięścią w piersi tak mocno, że aż echo roznosi się po restauracji – nikomu nie zrobiłem niczego złego. Zająłem

trzecie miejsce, bo takie było ustalenie. Ale, panie doktorze Skarbeck, jak tak dalej pan będzie szwindlował i w ostatniej chwili zmieniał scenariusze, to wypiszę się z tego cyrku. Ostatnio w moim Paide ja miałem wygrać i wygrałem. Tak było ustalone. W Grünbergu miał zwyciężyć Kalihack? Miał. Czym Josef zawinił, że został zdyskwalifikowany? Przecież to był przekręt na oczach ludzi. Dziś się udało panu nas oszwabić. Na drugi raz się nie uda.

– Kalihack jest wicemistrzem Europy. Tamta sprawa wczoraj wieczorem została zamknięta na wieki wieków. Nikt poważny nie będzie nią się zajmował – twierdzi Skarbeck. – Grünberg już za nami. Myślcie o następnym turnieju. Tak zarabiacie na życie.

– My też musimy wracać. – Młodszy Kocsis pokazuje na brata. – Wczoraj nasza matula miała świętować swoje sześćdziesiąte urodziny. Uroczystość przesunęła na środę. Gdyby żył ojciec... Ona ma tylko nas.

– Za dwie godziny odjeżdża pociąg do Posen. Przesiadka na Warszawę i prosto do Paide. Idę się spakować i do widzenia. – Estończyk wstaje od stołu.

– Siadajcie, Randjärv! Nie wy będziecie decydowali, kiedy wyjedziecie. Powtarzam: póki miejscowa policja kryminalna nie wyda pozwolenia na opuszczenie hotelu, nikt nie wyjdzie nawet na ulicę. Chyba że przesłuchają wszystkich albo zabójca przyzna się wcześniej. Zabójca i złodziej – podkreśla Skarbeck. – Nie dość że zabił, to jeszcze obrabował nieboszczyka. Jeśli za to sąd nie skaże go na karę przez powieszenie, to winny będzie siedział w pierdlu do usranej śmierci. – Doktor zawsze stara się panować nad nerwami. Teraz nawet nie próbuje ujarzmić emocji. – Jutro muszę być w Berlinie. Na popołudnie zaplanowaliśmy posiedzenie zarządu klubu. Przed nami zawody o Grosser Pariser Preis. Jeśli ktoś cokolwiek wie na temat tego, co się stało w Deutsche Reichshalle, niech nie czeka. Niech mówi. Dlaczego niewinni mają cierpieć? Powtarzam: o tym, kiedy będziemy mogli opuścić Grünberg, zadecyduje miejscowa komórka policji kryminalnej.

Pomruk niezadowolenia niesie się po restauracji. Atleci zjedli wszystko, co im podał kelner (wczoraj było dużo mniej na talerzach) i dyskutują przy stolikach, jakby układali plan ucieczki z hotelu. Skarbeck tym się nie przejmuje. Bez jego zgody nikt nie wyjedzie,

gdyż wszystkie paszporty leżą zdeponowane w sejfie, który stoi w gabinecie dyrektora Wachnika.

– A gdzie jest Kalihack? – Dopiero teraz starszy z braci Kocsisów zauważa brak grünberczyka.

– Maksymiak, gdzie jest Kalihack? – powtarza pytanie doktor Skarbeck.

– Nie wiem.

– Nie wiecie?

– Dlaczego mam wiedzieć?

– Mieszkanie razem, to kto ma wiedzieć? Kalihack jeszcze śpi czy już wstał i... i...?

– Nie.

– Idźcie, Maksymiak, do pokoju i go przyprowadźcie. Ale tak na jednej nodze.

– Kalihacka nie ma w pokoju.

Doktor Skarbeck wstaje, rozgląda się po sali, chociaż dobrze wie, że nie zobaczy Kalihacka.

– Tu go nie ma, w pokoju, mówicie, nie ma, to gdzie jest?

– Nie wiem.

– Nie wiecie, Maksymiak, gdzie jest wasz współtowarzysz z pokoju?

– Jak Pana Boga szczerze kocham, nie wiem.

– To kto ma wiedzieć? Randjärv? Kocsisowie? Może ja?

– Tej nocy Kalihack nie spał w swoim łóżku.

– A w czyim?

– Mnie on się nie spowiada.

– Pewnie poszedł do tego kuzyna, co jest za miejscowego policjanta – domyśla się Randjärv. – Chwalił się, że kiedyś razem jeździli po knajpach i robili za siłaczy. Potem kuzyn się ohajtał i dupa błada.

– W tej sali, gdzie... był taki gliniarz jak, nie przymierzając, na moje oko Kalihack albo jeszcze bardziej zwalisty.

– I może on... naszego Gurgulla... tego no?

– Dla pieniędzy – odzywa się dotąd milczący Besarab. Nikt nie wie, jak się nazywa, a ponieważ ma ciemniejszą skórę i smoliste włosy, wszyscy uważają go za Cygana.

Już w nocy przyszło na myśl doktorowi Skarbeckowi, że Kalihack zabił Gurgulla. Nie mówi tego głośno, ale jeżeli policja nie będzie mogła wskazać mordercy, długo nie utrzyma języka za zębami. Trudno, straci takiego atletę, który jest, jak dowcipkują członkowie zarządu klubu, kurą znoszącą złote jajka, ale nikt mu nie zarzuci, że jako prawnik kryje mordercę.

## 32

Jeszcze przed przesłuchaniem Stiera komisarz Flügel każe Normannowi pomaszerować do szpitala Bethesda i zapytać Schreitera, kiedy zwlecze się z łóżka. Jeśli dziś przed południem, to nie on, a podwachmistrz poprowadzi śledztwo w sprawie zabójstwa Gurgulla. I nie sam Schreiter, lecz przy pomocy tego trepa Normanna. Kto go przyjął do policji kryminalnej? Normann nawet jako żandarm rewirowy nie poradzi sobie z najprostszym dochodzeniem, uważa komisarz, mimo to przydziela mu zadania do rozwiązania. Schreiter z Normannem zajmą się śledztwem, wtedy Flügel uwolniony od polecenia wydanego przez inspektora Brachmanna wróci do domu i będzie czekał na szwagra albo wybierze się na stację kolejową. Pociąg z Glogau przyjedzie kwadrans na jedenastą. A jeżeli doktor Bergemann zatrzyma Schreitera do poniedziałku albo i dłużej, to komisarz nie będzie miał innego wyjścia, jak pomaszerować do Schwarzer Adler i próbować czegoś się dowiedzieć od doktora Skarbecka, bo chyba nie od tych drabów, z których każdy wygląda jak biblijny Samson. Ich lepiej omijać z daleka. A może zacząć od przesłuchania dzierżawcy Deutsche Reichshalle albo tego kucharza, który znalazł denata w magazynku produktów? Rozmowę z Mischkem zostawi na później. Zresztą redaktor nie był świadkiem zabójstwa, a że coś słyszał, to może nie mieć znaczenia w śledztwie. Teraz najważniejsze jest zdobycie takich informacji, po których dyrektor Brachmann wyjedzie

z Grünbergu usatysfakcjonowany i Flügel znowu będzie miał nadzieję na awans do inspektoratu w Liegnitz.

Droga do Bethesdy i powrót na Obertorstrasse 5 zajmuje Normannowi prawie trzy kwadransy. Jak komisarz się spodziewał, mimo że Schreiter czuje się dużo lepiej, będzie leżał w szpitalu do poniedziałku. Tak zdecydował doktor Bergemann.

– Nie ma na co czekać, Normann. Nikt poza nami... Bierzymy się za robotę.

– Tak jest – odpowiada wyprężony starszy asystent kryminalny, czym zaskakuje Flügela, ponieważ zawsze zadaje bzdurne pytania albo zasłania się innym również pilnym zadaniem.

– Od kogo byście zaczęli? Chodzi o to, żeby jak najwięcej osób przesłuchać i za dużo się nie nachodzić. No, starszy asystencie kryminalny. Ja jestem przyjezdny, a wy mieszkacie w Grünbergu od dawna. Można powiedzieć, że znacie każdego – stwierdza komisarz. Normann przytakuje zadowolony. – Może już kogoś podejrzewacie?

Normann nie przypomina, że zanim awansował do Grünbergu, był policjantem rewirowym we Freystadt. Dlaczego został przeniesiony do policji kryminalnej, tego nie wie i nikt mu nie wyjaśnił.

– Był taki, Pruschke. Robił za pomocnika u kowala na Rothenburger Strasse. On miał coś nie tak z głową. Któregoś dnia tego kowala o tak. – Starszy wachmistrz bierze zamach i ze świstem przecina ręką powietrze. – Jednym ciosem go, taką miał siłę.

– Zabił – domyśla się Flügel.

– Żeby od razu zabił. Powalił prosto na kowadło i jeszcze go lemieszem, o tu. – Normann pokazuje na skroń. – Głowa jak... jak... – Starszy asystent kryminalny nie wie, z czym porównać to, co wtedy widział. – Mózg na wierzchu. O mało się nie pożygałem.

– Ma-ka-bra.

– Kowal nazywał się inaczej. Zaraz, jak to było? Milchmann? Nie. Maurer? Też nie, ale jakoś tak podobnie. O, mam! Müller.

– Makabra, Normann, znaczy tyle co okropność. Przeróżający widok.

– Aa! – Starszy wachmistrz odzywa się przeciągle. – Pruschke miał być sądzony, jak wróci z wojny. Udało mu się. Jeszcze nie wrócił.

I pewnie nie wróci. Jego kości leżą gdzieś tam. Kości pana Krügera, tego co jego żonę w Schwarzer Adler... też tam leżą.

– Może był jakiś seryjny morderca?

Starszy asystent kryminalny milczy, jakby się zastanawiał. Już zaczyna kręcić głową, gdy sobie przypomina:

– Jeszcze przed wojną był taki. Nie tu w Grünbergu. U nas we Freystadt. Ten mordował same młode kobiety. Podobno najpierw je gwałcił, później dusił na śmierć. Żeby się nie wydało. Co on namordował tych kobiet. Długo nie było można go nakryć. Aż w końcu wpadł. Niech pan komisarz zgadnie gdzie.

– Zazwyczaj przestępcy wpadają tam, gdzie tego najmniej się spodziewają. Ten... – Flügel robi minę, jakby nic nie przychodziło mu do głowy. – Może w burdelu.

– Nie, nie – cieszy się starszy wachmistrz, że komisarz nie zgadł. – W wagonie.

– W wagonie kolejowym?

– W wagonie tej kolei, co przez Freystadt jeździ ze Sprottau do Grünbergu. Konduktora też o mało co nie udusił.

– Wy mi tu, Normann, przestańcie trzepać jęzorem bez potrzeby. Jak się on nazywa?

– Tyle lat. Człowiek nie pamięta. Było w gazetach. Pan redaktor Mischke by wiedział.

– Twierdzicie, że ten morderca mieszkał w Freystadt.

– W Grünbergu on tylko jedną. I to kogo?

– Kogo?

– Zakonnicę. Wraciała od chorej z Gartenstrasse na Glasserplatz. Tam, gdzie dom zakonny, w parku, ale nie w tym, gdzie wczoraj znaleźli naszego Schreitera. Tamto było w parku koło stacji Oberstadt. Tam ją zgwałcił i udusił. Pogrzeb był taki, jakby chowali samego burmistrza.

– I co z nim?

– Pan burmistrz żyje.

– Pytam o tego, który zabił zakonnicę.

– Co z nim zrobili? – dziwi się Normann, że Flügel zadał takie pytanie. – A co mieli zrobić? Pod sąd i czapa. Nawet nie wiadomo, gdzie go zakopali. Pewnie pod płotem.

– To po co o nim tyle opowiadaliście?

– Pan komisarz zapytał...

Odzywa się telefon na biurku Flügela. Komisarz przez chwilę obejmuje wzrokiem aparat, jakby nie wierzył, że ktoś dzwoni w niedzielę z rana. Niechętnie wyciąga rękę po słuchawkę, podnosi ją do ucha, przedstawia się rutynowo i w jednej chwili robi się jeszcze bledszy niż ściana za jego plecami. Kto jest po drugiej stronie, tego nie wyjaśnia. Normann się domyśla, że to ktoś bardzo ważny, bo jego szef wyprężył się, przytakuje i kiwa głową. Inspektor Brachmann?

– Pan nadburmistrz osobiście – informuje Flügel. Już nie jest błady. Teraz ma sińce pod oczami. – Do wieczora musimy mieć mordercę. Tego, który zabił pokojówkę i tego, który zamordował zapaśnika.

– Aż dwóch?

– Do wieczora, Normann. Słyszeliście?

– Co miałem nie słyszeć?

– Do wieczora.

– Jak się da, to będzie. Jak się nie da...

– Milczeć! Wy-ko-nać!

## 33

Jeszcze Normann nie wyszedł z budynku redakcji, a już Mischke ma plan na przedpołudnie. W połowie rozmowy z policjantem postanawia, że nie będzie czekał, aż komisarz Flügel przesłucha doktora Skarbecka i w zaufaniu mu powie, czego się dowiedział. Zaraz pójdzie do Schwarzer Adler, zada berlińczykowi pytania, które przysły mu do głowy w trakcie tego, kiedy Normann opowiadał, co policja wie na temat wczorajszego morderstwa w Deutsche Reichshalle. Kto, jeżeli nie członek zarządu Europäischer Athleten-Club „Samson” najlepiej zna zapaśników? Przed kilkunastoma sekundami Mischke zmienił zdanie, jednak później porozmawia z Skarbeckiem. Zresztą pewnie Flügel już go przesłuchał i wychodząc z hotelu zabronił odpowiadania na pytania osób, które nie migną mu przed oczyma

legitymacją policji kryminalnej. Nie ma co się spieszyć. Dopóki komisarz nie będzie pewny, że ma mordercę lub zna do niego drogę, żaden uczestnik mistrzostw nie wyjedzie z Grünbergu. Chyba że wymknie się niezauważalnie, a to wystarczy Flügelowi, żeby rozesłać za nim listy gończe i mimo że będzie brakowało bezspornych dowodów winy, sekretarz kryminalny uzna go za sprawcę morderstwa. Dlatego Mischke wybierze inną drogę.

Najpierw pójdzie na Hohe Strasse i porozmawia z Fischerem. Ten niepozorny kelner nie tylko go lubi, lecz i ma do niego zaufanie. Kto wczoraj wieczorem pokazał mu, z którego miejsca będzie najlepiej widział, co się dzieje w sali i na macie? Kto nie musiał mówić, a jednak powiedział, że atleci kłócą się w szatni? To i dziś kelner nie powinien mieć tajemnic przed Mischkem. Nawet jeżeli Fischer nie wie, kogo podejrzewać o zamordowanie Gurgulla, to może zdradzi mu coś takiego, czego nie przekaże komisarzowi Flügelowi. Od pierwszego dnia pracy w „Grünberger Tageblatt” Mischke traktuje kelnerów, sutenerów i fiakierów niemal na równi z policjantami. Gdyby nie oni, a właściwie gdyby nie papierosy i piwo, które dziennikarz im funduje, wiedziałby dużo mniej o tym, co się dzieje w mieście. Jeszcze są prostytutki, tyle że Mischke nie potrafi wyciągnąć z nich tego, co może być ważne.

Idzie przez Postplatz, gdy dociera do niego woń czegoś, co pachnie jak smażona kiełbasa z cebulą i kurkami albo rolada w sosie śmietanowo-grzybowym. Właśnie to, bo co innego by sprawiło, że ślina zbiera się pod językiem i burczy mu w brzuchu. Wczoraj wieczorem niewiele zjadł, to i głód dał znać o sobie. W nocy poszedł do Heidi nie po to, żeby napychać żołądek. Złakniony staje przy filarze podtrzymującym piętro kamienicy i zastanawia się, gdzie zje najszybciej. Zazwyczaj chodzi na śniadanie do restauracji hotelowej w Schwarzer Adler, ale dziś to wykluczone. Nie powinien pokazywać się ani w tym, ani w innym hotelu, bo jeszcze ktoś by go zaczął i zaczął wypytywać, czy coś się stało w mieście, że on już na nogach. W niedzielę przed południem wszystkie restauracje w pobliżu ratusza są nieczynne. Ich drzwi otwierają się dopiero po nabożeństwach. Poszedłby do Deutsche Reischhalle, skąd blisko na Hohe Strasse, gdzie mieszka Fischer, tyle że po tym, co tam się wydarzyło, pewnie i na drzwiach tej restauracji wisi kłódka.



– Miałem rację, prawda?! – Donośne pytanie wyrywa Mischkego z rozmyślań. Odrywa wzrok od bruku i widzi biały fartuch, nad nim tkwi czupryna Krawutschkego, stojącego w drzwiach apteki Adler.

– Z czym miał pan rację?

– Z tym, że zapaśniczym mistrzem Europy zostanie ten, który urodził się w Grünbergu.

– Kalihack?

– Kalihack dostał baty.

– Kalihack nie jest mistrzem? Dzisiaj żałuję, że nie założyłem się z panem. A o co miał być ten zakład?

– Jak to o co? O butelkę wina od Pilza albo lepiej od Kulczyńskiego – przypomina aptekarz i dopiero teraz chmurzy czoło po tym, co usłyszał od Mischkego. – To Kalihack nie wygrał? Przecież grünberczyk miał zostać mistrzem. Tak zostało ustalone.

– Kalihack był najlepszy. Nawet ten, kto nie zna się na zapasach, to powie.

– Kalihack był najlepszy i przegrał? Coś mi tu pan redaktor...

– Nie miałbym tyle odwagi, żeby okłamać powszechnie szanowanego obywatela Grünbergu, zasłużonego weterana i oficera rezerwy w stanie spoczynku oraz, czego zazdroszczę, znawcę serc kobiecych – Mischke kadzi aptekarzowi. – Kalihack, panie Krawutschke, przegrał dopiero w finale. Właściwie to nie przegrał, lecz został zdyskwalifikowany.

– Zdyskwalifikowany? – niedowierza aptekarz. – Za co?

– Sędzia dopatrył się chwytu niezgodnego z przepisami.

– Oni mają jakieś przepisy?

Mischke robi taką minę, z której wynika, że nad tym się nie zastanawiał.

– Może na mistrzostwa ustalają specjalne zasady.

– Jeszcze jeden szwindel, panie redaktorze. Te mistrzostwa są wielkim szwindlem. – Z tym stwierdzeniem Mischke się zgadza, lecz tego nie mówi. – Na Kalihacka nie ma mocnych. On położy każdego, bo to mistrz podwójnego nelsona. Co to znaczy, tego nie wiem. Wczoraj przed południem prezes klubu był u mnie w aptece i tak powiedział.

– A po co był doktor Skarbeck?

– Tajemnica – rzuca niewyraźnie Krawutschke i cofa się do apteki.

Droga na Hohe Strasse zajmuje Mischkemu nie więcej niż kwadrans niespiesznym marszem. Gdyby nie zatrzymał się przy stawku w parku przylegającym do Grünstrasse, gdzie wczoraj z rana policjanci znaleźli nieprzytomnego podwachmistrza Schreitera, byłby dwie, trzy minuty szybciej. Przy stawku przychodzi mu do głowy, że to, co się stało poprzedniej nocy w parku, ma związek z morderstwem w Deutsche Reichshalle, a może i z zabójstwem w Schwarzer Adler. Jaki? Tego na razie nie wie, lecz już wyczuwa pismo nosem, a jego wyraźnie za długi nos dotąd jeszcze go nie zawiódł.

Puka w drzwi. Nie jest pewien, czy Fischera zastanie w domu. W niedzielne przedpołudnie większość grünberczyków można spotkać w Erlösekirche lub w Zum Garten Christi. Tymi, co chodzą na nabożeństwa w kościele staroluterańskim przy Freiheitsplatz, Mischke nigdy się nie interesował, jak i nie ciekawi go, czym różni się wiara staroluterańska od ewangelickiej. Gdyby nie to, co stało się wczoraj późnym wieczorem w Deutsche Reichshalle, o tej porze sam także byłby w Erlösekirche. Kiedyś Heidi zapytała go, czy kościół ewangelicki jest tak samo bogato wystrojony jak katolicki, do którego ona czasem zagląda. Wyjaśnił, że jest krzyż, ołtarz, na którym zawsze leży Pismo Święte, ambona. Brakuje obrazów i figur. Ewangelicy traktują Biblię jako jedyne źródło wiary, ale czy Heidi zrozumiała, tego nie był pewny.

Długo nie czeka pod drzwiami, aż ten sam mężczyzna, z którym rozmawiał wczoraj, wychodzi z domu.

– Do mnie pan redaktor?

Wczoraj Mischke nie zwrócił uwagi na wygląd Fischera. Wieczorem w restauracji nawet nie przyszło mu do głowy, żeby przyjrzeć się kelnerowi. Teraz poznał go po zachrypniętym głosie.

– Czy policja była u was, Fischer?

– W niedzielę?

– W niedzielę.

– A po co policja?

– Żeby porozmawiać.

– Ani policji, ani nikogo. Pan redaktor jest pierwszy. Aa, tamto. – Mischke kiwa głową, a Fischer nie przyznaje się, że odgadnął, dlaczego

dziennikarz zapytał o policję. Przytakuje i uśmiecha się zadowolony, że zgadł.

– Wczoraj wieczorem, kiedy przyszedłem do restauracji, spotkałem was, Fischer, na korytarzu. Zgadza się?

– Co ma się nie zgadzać? Przecież tak było. Jeszcze zaprowadziłem pana redaktora do tego pokoju za gabinetem szefa, gdzie... i pokazałem okienko, przez które można oglądać salę.

Mischke to potwierdza i uśmiecha się zadowolony, że kelner go nie zignorował.

– Czy wtedy coś zwróciło waszą uwagę? – Fischer nie rozumie pytania, dlatego otwiera usta i patrzy na Mischkego takim wzrokiem, jakby go prosił o powtórzenie i wyjaśnienie. – No, czy coś wydało się wam, Fischer, nie takie, jakie było zawsze?

– Bo ja wiem. – Kelner mruży oczy i przechyla głowę w bok. – Chyba nie.

– Może widzieliście kogoś, kto był przy kuchni, a nie powinien tam być?

– Poza panem redaktorem nikogo.

– Ja to ja.

– Nikogo więcej.

– Na pewno?

– Szef, pan Stier nie przychodził?

– Cały wieczór szef zabawiał pana prezydenta rejencji.

– Może...? Może...? – Nikt nie przychodzi Mischkemu na myśl.

Fischer znowu mruży oczy, ale już nie wzrusza ramionami i nie przechyla głowy w prawo. Wygląda tak, jakby w kinie pamięci odtwarzał obraz tego, co działo się wczoraj w Deutsche Reichshalle.

– Arnold! – wystrzela.

– Co, Arnold? – pyta Mischke. Ma przed oczami ten widok, kiedy Arnold zwała się na podłogę i uderza głową o kant wysokiego progu między korytarzem i pokojem. Nie rusza się. Chwała Bogu, że Arnold tamto, w kamienicy przy Niederstrasse, przeżył, cieszy się, szczerząc zęby do Fischera.

– Arnold też tam był, panie redaktorze. Nie pierwszy raz. Arnold czasem zagląda do gabinetu szefa i rozmawia z panem Stierem.

– W którym miejscu widzieliście Arnolda?

– Pan był w tym pokoju dla lepszych gości, on przy drzwiach głównej sali. Pan Stier mu pozwolił.

– I on by tego Gurgulla? – Mischke podnosi zaciśniętą pięść i zaraz ją opuszcza. Ma wątpliwości, czy Arnold zamordował zapaśnika. Austriak to wielkolud, a Arnold wygląda jak czeladnik z zakładu fryzjerskiego.

– On mógł i panią Krüger, to znaczy pokojówkę. – Fischer niewprawnie demonstruje chwyt oburęczny.

– Tak się wam wydaje czy coś wiecie?

– Moja Leoni słyszała, jak Arnold namawiał panią Krüger, żeby tego... no... Nie zgodziła się, bo mąż wróci i... A jej mąż od dawna wacha kwiatki od dołu – mówi Fischer przyciszonym głosem, jakby się obawiał, że ktoś zaczął się za rogiem i podsłuchuje. – Gdyby Arnold nie był bez winy, to by nie napadł na pana podwachmistrza Schreitera. Co on robi, to panu redaktorowi wiadomo. Większej szui u nas nie ma.

– Z kim rozmawiasz, Thomas? – Przez niedomknięte drzwi obaj słyszą kobiecy głos.

– Matka – informuje Fischer. – Powiedziałem wszystko, co wiedziałem – zapewnia i czeka, czy Mischke zada mu jeszcze jakies pytanie.

– Do widzenia. Gdyby coś się wam nadto przypomniało...

– O! Ratei. On też tam przyszedł, tyle że później. Nawet mnie zapytał, gdzie zastanie Kalihacka. – Pokręciwszy głową, Fischer mówi: – Ratei nie mógł. Policjant przecież.

Mischke nie jest tego pewien. Ratei ma ze dwa metry wzrostu i waży pewnie więcej niż on i Fischer razem. Ale czy policjant by zamordował Gurgulla? A może usłyszał, ile wynosi nagroda, którą dostał mistrz Europy i połakomił się na szmal? Są ludzie, którym się zdaje, że kto ma dużo pieniędzy, ten czuje się szczęśliwy, ponieważ stać go na to, o czym biedniejsi mogą tylko pomarzyć. Mischke ich nie potępia, ma jednak powody, aby sądzić, że zło zaczyna się od braku pieniędzy, szczególnie jeżeli dotyczy młodych i samotnych kobiet.

Doktor Skarbeck siedzi przy pustym już stoliku w restauracji hotelowej, gdzie czeka na komisarza Flügela. Jeszcze w trakcie śniadania dyrektor Wachnik powiadomił go, że policja potraktowała sprawę wyjątkowo poważnie, dlatego prowadzi ją osobiście sekretarz kryminalny, który najpóźniej za dwa kwadranse przyjdzie do Schwarzer Adler i wtedy rozpocznie przesłuchania. Ma zamiar rozmawiać z wszystkimi atletami. Minęła godzina albo i więcej, a komisarza nie ma. Skarbeck czeka, bo co ma robić, skoro policja zabroniła jemu i zapaśnikom opuszczać Grünberg do czasu, aż zapadnie adekwatna decyzja. Jako prawnik ze stopniem doktora Skarbeck zdaje sobie sprawę z tego, co oznacza zwrot „adekwatna decyzja”. Tyle razy słyszał to określenie, że wcale go nie zdziwiło, gdy padło z ust dyrektora hotelu. Nie interesuje go, kto ją podejmie, lecz kiedy to się stanie. Oby jak najszybciej. Zdaniem dyrektora Wachnika, o ile chodzi o śledztwo, a w tej kwestii zarządca Schwarzer Adler ma spore doświadczenie, w Grünbergu niewiele zależy od komisarza Flügela. Nawet nie od nadburmistrza Finkego. Jeżeli nie od nich, to od kogo? O to Skarbeck nie zapytał. Wachnik najpierw się uśmiechnął, później się rozejrzał, czy nikt nie podsłuchuje i prosząc o dyskrecję, dodał szeptem:

– Od tego, który do zeszłego roku przed dwadzieścia lat władał miastem i który ma nadzieję, że po najbliższych wyborach wróci do gabinetu na pierwszym piętrze w ratuszu. Prawdę mówiąc, to pod jego rządami Grünberg in Schlesien wybił się na miasto, w którym naprawdę chce się żyć. Tyle zieleni, szerokie ulice... Nasza Bahnhofstrasse prezentuje się nie gorzej niż Neue Schweidnitzer Strasse w Breslau. Gdyby nie starania pana doktora Ouvriera, nadal mielibyśmy tylko burmistrza. Mamy urząd nadburmistrza jak Hirschberg im Riesengebirge, Görlitz, Glogau czy Liegnitz, a to najwyższa liga wśród miast prowincji Niederschlesien.

Skarbeck się nie odezwał. Miał w głowie co innego i jeszcze nie zdecydował, czy ujawni to sekretarzowi kryminalnemu. Wczoraj w Deutsche Reichshalle, już po eliminacjach, ale jeszcze przed finałem zawodów, przyszedł do niego Gurgull. Austriak powiedział, że wie, kto

zamordował pokojówkę w hotelu. Przechodził wtedy korytarzem. Gdy usłyszał ni to jęki, ni rżenie za drzwiami służbówki, zatrzymał się i uchylił drzwi ciekawy, kto tam jest. Jeśli zostanie mistrzem Europy, to nigdy nie ujawni nazwiska mordercy. Skarbeck usiłował go przekonać, że w Grünbergu musi zwyciężyć Kalihack. Gurgull, tak jako ustalono na odprawie, musi przegrać z grünberczykiem, ale Austriak nie chciał ustąpić.

– Albo zostanę mistrzem Europy, albo idę na policję – zagroził.

Skarbeck miał dwa wyjścia. Pierwsze: nakazać Kalihackowi, żeby przegrał z Gurgulle. Gdyby się nie zgodził, wtedy musiałby powtórzyć mu to, czego się dowiedział od Austriaka i donieść do policji. To by oznaczało, że Europäischer Athleten-Club „Samson” straci najlepszego zapaśnika. Było i drugie wyjście: polecić sędziemu, aby w pierwszej minucie pojedynku Kalihacka i Gurgulla zdyskwalifikował grünberczyka, co na pewno zostanie źle przyjęte przez publiczność i miejscowe władze, ale klub niewiele straci. Jeżeli sędzia będzie zwlekał z dyskwalifikacją, Kalihack założy podwójnego nelsona i powali Gurgulla na matę. Z jakiego powodu sędzia ma zdyskwalifikować Kalihacka, tego nie wyjaśnił. Zresztą czy sędziego powinno interesować to, o czym myśli Skarbeck? Sędzia dostaje pieniądze za to, do czego został wynajęty. Berlińczyk wybrał jednak drugie wyjście przede wszystkim dlatego, że po dyskwalifikacji Kalihack będzie tylko od niego zależny.

Trzeci albo czwarty raz doktor spogląda na ogromny zegar uczepony ściany nad bufetem. Postanawia, że dłużej nie będzie czekał na policjanta. Każde spóźnienie oznacza brak kindersztuby, a spóźnienie więcej niż godzinne jest nie tylko lekceważeniem niemieckiego prawnika, lecz i ignorowaniem obowiązków służbowych przez komisarza Flügela, co oznacza, że doktor Skarbeck nie ma obowiązku zastosować się do nakazu nieopuszczania hotelu. Zresztą nie dostał tego polecenia na piśmie. Zaraz skrzyknie zapaśników i oznajmi, że grünberska policja kryminalna bagatelizuje własny nakaz, mogą więc wracać do swoich domów. Wstaje i zdecydowanym krokiem rusza w stronę wyjścia z restauracji akurat w chwili, gdy otwierają się drzwi.

– Doktor Skarbeck? – Słyszy pytanie. Domyśla się, że to ktoś z policji, ale nie jest tego pewny, bo może z magistratu

albo od fundatora nagrody. Mimo złości zatrzymuje się i kiwa głową. Wczoraj wieczorem widział policjantów na zapleczu Deutsche Reichshalle, ale czy wśród nich był ten, który na niego patrzy? Pewnie komisarz Flügel. Z sekretarzem kryminalnym rozmawiał jedynie przez telefon. Stoi i czeka, kiedy pewny siebie mężczyzna się przedstawi. – Tam usiądziemy. – Nieznajomy wskazuje stolik, od którego dopiero co wstał Skarbeck.

– Pan...? – zaczyna berlińczyk z pokorą, do czego nie jest przyzwyczajony, ale teraz nie ma innego wyjścia, jak tylko być tym mniej ważnym, i urywa.

– Prawda, my się nie znamy, chociaż ja doktora to bym od razu... Mały, brzuchaty. Za dużo golonki i piwa, doktorze Skarbeck. Niech się pan nie obraża. Mówię szczerze i dobrze radzę: niech pan mniej przesiaduje w knajpie, a więcej na powietrzu. Komisarz Flügel, sekretarz kryminalny, najważniejsza osoba w tutejszej jednostce policji śledczej – wyjaśnia z wyższością w głosie i zachowaniu. – Podjąłem taką decyzję, która musi pana doktora ucieszyć.

– Po tym, co się stało wczoraj wieczorem, nic nie jest w stanie mnie ucieszyć, panie sekretarzu kryminalny. Tyle razy organizowałem zawody zapaśnicze, w tylu miastach, że... Różne rzeczy przychodziły mi do głowy, ale nie to, że zostanie zamordowany nowo kreowany mistrz Europy. Tego nie mógł zrobić nikt spośród uczestników zawodów. Znam ich. Dopóty zapaśnicy są bojowi, dopóki walczą na macie. Poza matą stają się przyjaciółmi.

– Przeprowadzimy śledztwo. Na razie podjąłem taką decyzję, która musi pana doktora ucieszyć – powtarza komisarz. Widząc zaciekawienie w oczach Skarbecka, dodaje: – Jeden warunek do spełnienia i szlus.

Policjant jest pewny, że berlińczyk zapyta, jaki to warunek, a Skarbeck nie odzywa się, tylko patrzy gdzieś za okno. Flügel się denerwuje, ale mimo to nie popędza członka zarządu klubu Samson i czeka. Nie pamięta, kto pierwszy powiedział, że cierpliwość jest towarzyszką mądrości, mimo to stara się postępować według tego pouczenia.

– Co pan, sekretarzu kryminalny, powiedziałby żonie i dziecku Gurgulla, gdyby był na moim miejscu? Co jego rodzicom? Co jego młodszym braciom, także wysokiej klasy zapaśnikom? Czym by pan

próbował przekonać zarząd Europäischer Athleten-Club „Samson”, że morderstwo w Grünbergu podczas mistrzostw Europy to wypadek?

Flügel krzywi się i macha ręką, jakby to, o co zapytał Skarbeck, było bez znaczenia.

– Na koszt policji ciało denata zostanie przewiezione do Breslau. W instytucie medycyny sądowej będzie przeprowadzona sekcja zwłok. Czy pan, doktorze Skarbeck, wie, ile za to zapłacimy?

– Nie wiem i to mnie nie interesuje. W przeciwieństwie do pana nawet mnie nie obchodzi, jak się nazywa zabójca Gurgulla. Mnie interesuje jedynie motyw morderstwa. Prawdopodobnie wiąże się on z pieniędzmi. Ktoś zamordował mistrza Europy w zapasach dla pieniędzy? Jeżeli to okaże się prawdą, panie sekretarzu kryminalny, to domagam się, aby sprawa została nagłośniona przez gazety, a zabójca poniósł najwyższą karę – mówi tonem prokuratorskim Skarbeck, co mu przychodzi bez trudu.

– A mnie, doktorze, interesują koszty transportu zwłok do Breslau i obdukcji. Czyli także pieniądze. Gdyby nie to, że obywatel Austrii poniósł śmierć podczas mistrzostw Europy, nie nakazałbym przeprowadzenia sekcji w Breslau. Z niej niewiele nowego się dowiemy. Przecież wiadomo: gdzie, kiedy i jak został zamordowany Gurgull.

– Po co więc to badanie?

– Przepisy. – Flügel nie przyznaje się, że dziś rano tak zdecydował inspektor Brachmann. Gdyby od niego zależało, przyjąłby opinię doktora Brucksa.

– Przepisy?

– Nie wiemy, doktorze Skarbeck, kto jest mordercą. Może stoi za tym jakaś organizacja wroga państwu niemieckiemu? Mało to upokorzeń dotknęło nasz kraj po wielkiej wojnie? Może sprawcą jest ktoś spośród zapaśników obcokrajowców? Dlatego muszę przesłuchać pana i wszystkich atletów bez wyjątku.

– Pan uważa, że ja zamordowałem Gurgulla? Jak pan śmie mnie podejrzewać o tak niehumaniczny czyn? Mnie, doktora prawa i adwokata? Mnie, członka zarządu Europäischer Athleten-Club „Samson”?

– Policja kryminalna bierze pod uwagę każdego, kto między ósmą wieczorem a północą przebywał w Deutsche Reichshalle. Każdy, kto wtedy tam był, może być sprawcą. Policja kryminalna nikogo



nie wyklucza i na razie nikogo nie oskarża. Pan, jak i ci, którzy tam przebywali, są jedynie podejrzani.

– Wypraszam sobie. Złożę zażalenie na pana zachowanie.

– Pan, doktorze Skarbeck... – Flügel nie kończy zdania. Przychodzi mu do głowy, że skoro berlińczyk jest doktorem prawa i adwokatem, to pewnie zna osoby z centrali policji. Z nimi lepiej nie zaczynać dyskusji, a tym bardziej nie wolno prowadzić wojny na argumenty. Nawet gdybym miał niepodważalne dowody czyjejs winy, nigdy nie wygram, myśli komisarz. Nie tylko przegram, lecz i zostanę wykreślony z listy kandydatów na przyszłego szefa policji kryminalnej w Liegnitz, na czym tak zależy mojej Sophie. – W sytuacji, gdy dokonano morderstwa, pierwszym obowiązkiem służby śledczej, doktorze Skarbeck, jest przesłuchanie świadków i podejrzanych – wyjaśnia Flügel tonem ugodowym i nieco spolegliwym. – Jeszcze nikomu nie postawiliśmy zarzutów, co nie znaczy, że nikogo nie mamy na oku.

– Tym lepiej – odpowiada berlińczyk takim głosem, jakby to on był policjantem kryminalnym. – Jestem gotów odpowiedzieć na wszystkie pytania.

Kto zamordował Gurgulla? Są dwie hipotezy, twierdzi Flügel. Obie policjant bierze pod uwagę. Jedną powinien odrzucić. Którą? Na razie nie potrafi zdecydować. Z tego, co zapamiętał ze szkolenia w Liegnitz, zdarzają się napady nagłe i incydentalne. Ten na zapleczu Deutsche Reichshalle mógł urzeczywistnić przypadkowy sprawca, który nawet nie wiedział, ile pieniędzy dostał Gurgull za zwycięstwo w finale mistrzostw. Ale i mógł zamordować go ktoś, kto znał wysokość nagrody. Ten jeszcze nieznanego na długo przed zakończeniem mistrzostw schował się w magazynie żywności i cierpliwie czekał. Gdy Gurgull pojawił się na zapleczu restauracji, wyszedł z ukrycia i go ogłuszył. Czym? Doktor Brucks stwierdził, że mężczyzna został uderzony kanciastym przedmiotem w głowę. Pewnie takim drewnem, jakim kucharze palą w piecu, zgaduje komisarz. Potem morderca wciągnął nieprzytomnego Gurgulla do magazynku, tam go udusił rękoma, założył sznur na szyję i zwłoki powiesił na haku, żeby upozorować samobójstwo. Przecież jeżeli chciał go okraść, mógł to zrobić wtedy, gdy Gurgull leżał zamroczony. Zabrać pieniądze i uciec tylnym wyjściem. Austriaka zamordował ktoś, kto miał powód,

żeby mu odebrać życie. Ktoś, kto go znał i wiedział, ile wynosiła nagroda. Flügell jest przekonany, że nikt spośród grünberczyków nie znał tego atlety.

– Czy Gurgull kiedykolwiek był w Grünbergu?

– Nigdy o tym nie mówił – odpowiada doktor Skarbeck. – A dlaczego to interesuje pana komisarza?

– Może mieszka tu ktoś z jego krewnych? – Flügel ma ochotę przypomnieć Skarbeckowi, że zadaniem świadka jest odpowiadanie na pytania śledczego, lecz rezygnuje z tego. Lepiej wyjdzie na tym, jeżeli nie będzie komentował jego zachowania.

– Czy w Grünbergu mieszka ktoś z krewnych Gurgulla? – Skarbeck powtarza pytanie i milknie, jakby się zastanawiał, po czym odpowiada: – Tego nie wiem.

– Może ktoś go odwiedzał w hotelu?

– Niech pan popyta w recepcji.

– A jaki on był na kobiety? – Flügelowi przypomina się, że w piątek przed wieczorem w hotelu Schwarzer Adler została zgwałcona i uduszona pokojówka. Kazał Schreiterowi rozpocząć śledztwo, ale z góry założył, że jeśli nawet podwachmistrz wytypuje winowajcę, on umorzy sprawę. Teraz zmienia zdanie. Dziś, najpóźniej jutro przed południem musi się dowiedzieć, kto zamordował Gurgulla. W poniedziałek, kiedy Schreiter wyjdzie ze szpitala, każe mu dokończyć tamto śledztwo.

– Kogoś pan doktor podejrzewa?

– O co?

– No... – zaczyna policjant i urywa. Dopiero teraz do niego dociera, że berlińczyk próbuje nad nim górować. – Kogo doktor podejrzewa o zamordowanie obywatela Gurgulla?

– Nikogo spośród uczestników zapaśniczych mistrzostw Europy – odpowiada Skarbeck. – Proszę o kolejne pytanie, jeżeli pan komisarz je ma. Mój czas jest cenny. Spieszę się na posiedzenie zarządu klubu Samson.

Udajesz ważniaka, ocenia go w myślach sekretarz kryminalny. Będziesz tu siedział tak długo, aż wszystko wyśpiewasz. Uważasz, że jak jesteś z Berlina, to możesz mnie traktować z góry? Nie takich cwaniaczków zmuszałem do mówienia.

– Dokąd pan poszedł po zakończeniu zawodów?

– W towarzystwie prezydenta rejencji, pana doktora Büchtinga oraz fundatora nagrody, niestety nazwiska nie zapamiętałem, złożyłem gratulacje zwycięzcy. Pogratulowałem zapaśnikom, którzy zajęli drugie i trzecie miejsca.

– A czy był pan na zapleczu restauracji?

– Tak.

– W jakim celu?

– Nie rozumiem pytania.

– Zapytałem, w jakim celu poszedł pan na zaplecze restauracji.

– Mam w zwyczaju dziękowanie w imieniu klubu tym zawodnikom, którzy nie dostali się do wąskiego finału. Zrobiłem to i kazałem im wrócić do hotelu. W restauracji pozostali czterej finaliści, wśród nich zamordowany. Poza nimi na zapleczu Deutsche Reichshalle spotkałem kilka osób. Domyślałem się, że część to obsługa. Widziałem również pana redaktora Mischkego i, niestety, nie znam nazwiska, na pewno był to policjant rewirowy. Taki rosły. – Skarbeck podnosi ręce, jakby tym gestem wzmocnić swoje spostrzeżenie.

– Podwachmistrz Ratei – rzuca natychmiast Flügel. – Policjanta trzeba wykluczyć z grona podejrzanych.

– Dlaczego?

– Uważa pan, doktorze Skarbeck, że podwachmistrz Ratei zamordował Gurgulla? – pyta komisarz i po krótkim namyśle dodaje: – Nonsens. Jednak żeby nie było wątpliwości, Rateia też się przesłucha. Dla formalności przesłucha się także Mischkego. No i całą obsługę restauracji. Jeszcze jakiś wniosek?

– Moim zadaniem nie jest składanie wniosków.

Masz mnie, fiucie obrzezany, za prowincjonalnego służbistę. Zgoda, jestem służbistą, ale nie prowincjuszem. Jeszcze trochę i zostanę dyrektorem policji kryminalnej w rejencji Liegnitz.

– A teraz niech doktor wezwie tych zapaśników, których spotkał na zapleczu. Jednak najpierw ich nazwiska.

– Kalihack, Randjärv i Maksymiak. Tego pierwszego nie było na śniadaniu. Współlokator twierdzi, że zniknął.

– Przecież zabroniłem wychodzić z hotelu.

– Zniknął – powtarza berlińczyk, rozkładając bezradnie ręce.

– Nikt bez powodu nie znika, doktorze Skarbeck. Nikt. Czyli to on. On! – woła komisarz przekonany, że już wie, kto jest mordercą. – Ale żeby Kalihack zamordował? W swoim Grünbergu?

– Też nie wierzę.

– A ja muszę.

## 35

– Pan redaktor powiedział, że jeśli usłyszę coś nowego na temat zabójstwa w restauracji przy Grosse Bergstrasse, gdzie jestem kelnerem, to mam przyjść i opowiedzieć. Dlatego jestem – przypomina Fischer, odpowiadając na pytające spojrzenie Mischkego.

Dziennikarz nie przyznaje się, że to przyzwyczajenie zawodowe. Tak Mischke mówił do każdego, z kim rozmawiał i od kogo sporo się dowiadywał, ale nie aż tyle, żeby wystarczyło na artykuł, który spowoduje dyskusję czytelników i potwierdzi jego umiejętności publicystyczne. Policjanci kryminalni identycznie kończą każdą rozmowę ze świadkami. Mischke nie zbywa kelnera z Deutsche Reichshalle, gdzie wczoraj zakończyły się zapaśnicze mistrzostwa Europy i gdzie został zamordowany ich zwycięzca.

Fischer przyniósł guzik średniej wielkości, jaki można kupić w sklepiku z pasmanterią obok komendy policji przy Oberthorstrasse 5. Położył go na dłoni, jakby to była złota dwudziestomarkówka z czasów Wilhelma II przed abdykacją i wyjaśnia, że Leoni, jego narzeczona, znalazła ten guzik wczoraj przed wieczorem, kiedy weszła do służbówki w Schwarzer Adler, gdzie jest pokojówką. Delikatnie, jakby to rzeczywiście była złota moneta, Mischke bierze cieniowany guzik w palce prawej ręki i długo ogląda go najpierw od strony wypukłej, potem wklęsłej. Niczego szczególnego nie dostrzega, mimo to kładzie go na swojej lewej dłoni, zdjęwszy pingle z nosa, jeszcze raz wpatruje się w okrągłą płaszczyznę z czterema dziurkami wydrążonymi obok siebie na środku. Dochodzi do wniosku, że to, co przyniósł Fischer,

nie jest zapięciem palta, prochowca, pelisy, futra czy jeszcze innego, bardziej cennego wierzchniego okrycia. Guzik płaszczowy powinien być większy i masywniejszy, mieć dwie dziurki, być wykonany ze szlachetnego materialu, który z daleka wygląda jak plaster z rogu bawolego lub z porcelany. Guzik koszulowy jest dużo mniejszy i najczęściej mlecznobiały albo perłowy. Nie odzywając się, pochyla głowę i ogląda guziki w swojej kamizelce, chwilę później zatrzymuje wzrok na kaftanie Fischera, po czym kładzie palec wskazujący prawej dłoni na guziku swojego ubrania i jak niewidomy maca go z obu stron. Na obrzeżu wyczuwa litery układające się w napis. Przypomina sobie, że gdy przed świętami kupował jesionkę w domu towarowym Wilhelma Graua, sprzedawca pochwalił jego wybór. Wyleciała mu z głowy nazwa zakładu krawieckiego, który uszył okrycie. Pamięta, że to był wyrób markowej firmy, a takie umieszczają swoje znaki na ściankach guzików lub właczają je w obrzeża. Jeszcze raz podnosi przedmiot na wysokość oczu i wpatruje się w białe litery wciśnięte w jego gładki brzeg. Otto Kraft. Nigdy nie słyszał nazwy takiej firmy, ale jest niemal pewny, że to, co trzyma w lewej dłoni, oderwało się od czyjejs marynarki. Mischke każe Fischerowi opowiedzieć ze szczegółami, jaką drogą guzik dostał się w jego ręce. O tym, że Leoni znalazła go w hotelowej służbówce, usłyszał przed chwilą. Nawet się domyśla, dlaczego Fischer przyszedł do redakcji z guzikiem, lecz jeszcze nie zdradza swojej hipotezy, bo może nie ma racji. Dotąd Mischke nigdy nie skompromitował się publicznie, co nie znaczy, że jest jak jakiś mędrzec.

– No, Fischer, mówcie. – Mischke wyciąga zegarek z kamizelki, długo wpatruje się w cyferblat i kręci głową, jakby dokądś się spieszył. Zdecydował, że odwiedzi Heidi, ale dopiero wieczorem. Minęła dwunasta, więc pora obiadowa. Ma ochotę na zupę szparagową i coś dziczyzny, czyli zaraz pójdzie do restauracji hotelu Kaiserhof albo do Wiener Café, dokąd bliżej i gdzie taniej.

Fischer wyjaśnia, że guzik znajdował się za nogą tej sofy, na której leżała martwa Kathrin Krüger, pewnie dlatego nie zauważył go podwachmistrz Schreiter ani nikt inny podczas wstępnej obdukcji przeprowadzonej przez doktora Brucksa. Kiedy w nocy z piątku na sobotę dwaj grabarze z firmy pogrzebowej Zur Ruhe włożyli nieboszczkę do szarego worka i wynieśli ją ze służbówki, policjant kazał dyrektorowi Wachnikowi zamknąć drzwi na klucz i bez jego zgody

nikogo tam nie wpuszczać ani nie sprzątać pomieszczenia. Mimo zakazu Leoni weszła do służbówki w sobotę rano, żeby wyjąć z szafy zabrudzone fartuchy, przynieść je do domu, wyprać, wyprasować i w poniedziałek odnieść do hotelu. Jednego tygodnia robiła to Hedwig Knoblich, drugiego Kathrin Krüger, trzeciego Leoni Baubach. W tym tygodniu wypadła na Kathrin, a ponieważ ona nie żyje, Leoni zdecydowała, że dopóki pan Wachnik nie przyjmie do pracy nowej pokojówki, ona będzie prała fartuchy za Kathrin. Gdy je wyjmowała, z szafy wypadła zapinka do włosów i potoczyła się po podłodze aż pod sofę. Leoni się schyliła, jednak ręka okazała się za krótka, żeby dosięgnąć zapinki, posłużyła się więc kijem do szczotki.

– I wtedy natrafiła na ten guzik, który pan redaktor ma na dłoni – kończy składać relację Fischer, pokazując oczyma na lewą rękę Mischkego.

– A wy z tym prosto do mnie. Słusznie.

– Tak, jak pan redaktor kazał. – Fischer się wyprostowuje i uśmiecha, ale nie mówi, że spodziewa się nagrody. To nawyk zawodowy każdego kelnera.

Czy guzik ma jakiś związek z morderstwem w Schwarzer Adler, tego Mischke na razie nie wie. Uważa, że można tego dowieść tylko w jeden sposób: sprawdzić, przy czyjej marynarce brakuje guzika z literami na obrzeżu układającymi się w napis „Otto Kraft”. Ale jak to zrobić? Przecież nikt nie wezwie wszystkich mężczyzn, którzy byli w piątek w Schwarzer Adler. A jeżeli guzik leżał za nogą sofy od dawna? Mischkemu też się zdarzyło wyjść z domu w marynarce z oberwanym guzikiem, co spostrzegł dopiero w redakcji. Nie tylko jemu. Dobrze pamięta, że wczoraj, kiedy opowiadał sekretarzowi miasta o sławnych osobach urodzonych w Grünbergu, zauważył brak trzeciego guzika przy jego marynarce. Zresztą nie tylko to, bo i przetarte brzegi rękawów. Widenka jest kawalerem, nie ma więc kto zwrócić mu uwagi na defekty w garderobie. Sekretarz miasta nie mógł zamordować Kathrin Krüger i z tego powodu, że jak twierdzą bywalcy balów w Ressource, nie zwraca uwagi na kobiety. Podobno do wynajmowanego przez niego mieszkania przy Berlinerstrasse wieczorami zagląda dyrektor hotelu Schwarzer Adler i wychodzi nad ranem, co nie podoba się właścicielce kamienicy. Gdyby Widenka zalegał z opłatami i nie był sekretarzem miasta, wypowiedziałyby mu kwaterę.

– Mam! – wykrzykuje Mischke takim głosem, jakby znalazł złoty kolczyk z diamentowym oczkiem. Otwiera szufladę biurka, w której trzyma zdjęcia, gdy zdaje sobie sprawę, że przy kelnerze nie może zrobić tego, co mu przyszło na myśl. – Fischer, jeszcze coś ważnego chcecie mi przekazać?

Kelner kręci głową, a to oznacza, że wszystko, z czym przyszedł do redakcji „Grünberger Tageblatt”, powiedział. Widząc oczy Mischkego wskazujące drzwi, kłania się i wychodzi z pokoju.

– Zapraszam do Deutsche Reichshalle na najlepszą goloneczkę w Grünbergu. Już ja się postaram, żeby kucharz przyrządził taką golonkę – zaciska pięści i cmoka – jakiej pan redaktor jeszcze nie smakował. Nazywa się: po berlińsku. Do widzenia, panie redaktorze. A ten guzik...

– Nie lubię nawet najlepiej przypieczonej golonki. Nie przepadam za niczym zbyt tłustym, co nie znaczy, że nie wybiorę się do waszej restauracji na przykład na szparagi w sosie holenderskim. Uwielbiam je – rzuca dziennikarz, czekając, kiedy Fischer zamknie drzwi za sobą.

– Szparagi to nie nasza specjalność. U nas króluje prawdziwe mięso. Przede wszystkim wieprzowina, panie redaktorze. W naszej restauracji można najeść się do syta i popić dobrym piwem – zachęca kelner takim tonem, jakby był właścicielem Deutsche Reichshalle.

Mischke nie odpowiada. Niespokojnie czeka, kiedy Fischer wyjdzie z pokoju, wtedy on wyjmie fotografie z szuflady i rozłoży je na biurku. Wśród nich są te, które wczoraj zrobił Linckelmann w swoim zakładzie przy Holzstrasse, dokąd doktor Skarbeck przyprowadził czterech zapaśników. Członek zarządu Europäischer Athleten-Club „Samson” ujawnił redaktorowi, że wśród nich znajduje się zwycięzca mistrzostw. Kto, tego nie powiedział, ale wyglądało na to, że tryumfotorem zostanie Kalihack, co nie zdziwiło Mischkego, mimo iż nawet taki sport jak zapasy traktował jako współzawodnictwo. W Grünbergu powinien wygrać nie Austriak, nie Polak i nie Estończyk, a grünberczyk z urodzenia, co ucieszy mieszkańców miasta. Przecież nikt nie organizuje zawodów, koncertu, wystawy czy jubileuszu wyłącznie dlatego, aby wydać pieniądze i zająć ludziom czas, tak jak nikt nie chodzi do kościoła w niedzielę wyłącznie z potrzeby serca i nakazu religijnego, lecz i żeby poparadować przed sąsiadami.

Mimo że Mischke tyle razy przyglądał się zdjęciom, sięga po szkło powiększające, pochyla się nad biurkiem i lustruje osoby sfotografowane. Teraz nie interesują go twarze i ramiona. Przypatruje się odświętnym ubiorom zapaśników. Wszyscy mają ciemne marynarki, spod których wystają kamizelki i białe koszule ozdobione krawatami. Przypomina sobie, że Skarbeck był wystrojony kubek w kubek jak atleci, pewnie więc te ubrania zostały uszyte na koszt klubu w tej samej pracowni krawieckiej. Przy marynarce Gurgulla połyskują dwa rzędy cieniowanych guzików układających się w kształt litery V, w każdym po trzy sztuki, identycznych jak ten, który narzeczona Fischera znalazła za nogą sofy w hotelowej służbówce. Czy na obrzeżach mają białe litery tworzące napis Otto Kraft, tego nie może stwierdzić. Na marynarkach Randjärva i Maksymiaka również nie brakuje guzików, co nie cieszy Mischkego, bo to wyklucza Estończyka, Polaka i Austriaka z grona podejrzanych o zamordowanie pokojówki. Wyprostowuje się przekonany, że oglądanie czwartego zdjęcia nie ma sensu. Guzik leżący po prawej stronie biurka oderwał się lub został oderwany od marynarki Kalihacka. Jeżeli on jest gwałcicielem i mordercą Kathrin Krüger, to i on mógł zabić Gurgulla. Kto raz zabił, zabije i drugi raz, i trzeci. To morderca seryjny.

## 36

Zadowolony z siebie komisarz Flügel zameldował inspektorowi Brachmannowi, że śledztwo dotyczące zabójstwa podczas mistrzostw Europy w zapasach nabrało tempa. Właściwie jest na ukończeniu. Pozostało wytropienie i schwytywanie zabójcy, to znaczy na razie podejrzanego, co będzie małym piwem. Sprawca nie wrócił na noc do hotelu, w którym mieszkają zawodnicy. Z pewnością zadekował się w mieszkaniu swojego kuzyna, policjanta rewirowego. Podwachmistrz Ratei jako funkcjonariusz państwowy musi zdawać sobie sprawę z tego, że za ukrywanie mordercy grozi surowa kara. A ponieważ dotąd



wywiązywał się ze swoich obowiązków służbowych tak, jak nakazują przepisy, więc i teraz nie powinien zrobić niczego kompromitującego policję, chociaż jako kuzyn podejrzanego jest w sytuacji nie do pozazdroszczenia.

– Ja, panie inspektorze, gdybym był na miejscu Rateia, nie wiem jak...

– Ale nie jesteście, komisarzu – Brachmann nie pozwolił Flügelowi rozwinąć wątku. Wziąwszy go pod ramię, wyprowadził na Niederstrasse, gdzie na poboczu ulicy stał jego służbowy automobil budzący ciekawość przechodniów zmierzających do pobliskich kościołów. Uśmiechnięty oznajmił, że po tym, co przed chwilą usłyszał, może spokojnie wracać do Liegnitz. – O wynikach śledztwa proszę informować mnie na bie-żą-co – podkreślił.

– Jeszcze dziś, najpóźniej jutro z samego rana zostanie przedstawiony panu dyrektorowi wyczerpujący raport – zapewnił go komisarz.

Godzinę później Flügel już nie był taki pewny, że do końca dnia wytropi podejrzanego i bez decyzji sądu zatrzyma go na dwie doby w policyjnym areszcie.

W pobliżu Kaiserhofu nie stała nawet jedna dorożka, a na Totengasse, gdzie mieszka Ratei, najkrótszą drogą przez Postplatz było co najmniej kwadrans spiesznego marszu. Komisarz zrugął Normanna, twierdząc, że starszy asystent kryminalny już dawno powinien być w kamienicy przy Totengasse i sprawdzić, czy na pewno tam ukrył się podejrzan. Normann nie tylko tego nie wykonał, ale jeszcze zapytał zwierzchnika, czy może sobie zrobić przerwę, bo minęła dwunasta, a on, jeśli nie zje obiadu w samo południe, będzie miał pustkę w głowie.

– Zawsze w niedzielę moja Käthchen wstaje pierwsza. Ja jeszcze wygrzewam się pod pierzynką, a ona już naciera żeberka solą, pieprzem, przekłada cebulą z majerankiem i czymś, co jest jej tajemnicą. Taki zapach idzie z kuchni, że jadłbym te żeberka na surowo. Potem Käthchen się stroi i pędzi na nabożeństwo do Zum Garten Christi. Po powrocie z kościoła dusi żeberka w kapuście kiszzonej. Na obiad podaje je ze smażonymi kartoflami. Do tego piwo. – Normann prostuje się, podnosi dwa palce do ust, przymyka oczy i mlaska. –

Pycha, panie komisarzu. Co ja mówię. Niebo w gębie! W Deutsche Reichshalle nie podają smaczniej. Może w Kaiserhof, ale ile tam trzeba zapłacić. Mówię panu, komisarzu, moja Kätchen czego się chwyci, to... Jakie miodowniki ona potrafi upiec, jakie...

– Pustkę w głowie to wy, starszy wachmistrzu, macie przed i po obiedzie – twierdzi zdyszany Flügel, przerywając Normannowi, co on kwituje śmiechem akurat w chwili, kiedy obaj zatrzymali się przed domem przy Totengasse.

Pewny, że narożne mieszkanie należy do Rateia, Normann wali pięścią w drzwi. Otwiera je podwachmistrz i zamiast coś powiedzieć, wybałuszywszy oczy, milczy zaskoczony, ani nie zapraszając policjantów do środka, ani nie chowając się w mieszkaniu.

– Przyszliśmy po Kalihacka – informuje komisarz Flügel takim tonem, jakby nie miał żadnych wątpliwości, gdzie ukrywa się poszukiwany zapaśnik.

– Po Kalihacka? – z niedowierzaniem pyta podwachmistrz. – Po którego Kalihacka?

– Jak, po którego? Jest więcej atletów Kalihacków? Wy mi tu, Ratei – Normann grozi mu palcem. – Gdzie jest Kalihack?

– E – śmieje się Ratei i zaraz pochmurnieje. Domyśla się, że jeżeli komisarz Flügel osobiście przyszedł na Totengasse, to sprawa jest poważna.

– Gdzie on jest?

– Kto?

– Kalihack.

– Josef?

– Ratei, gdzie jest ten Kalihack? – powtarza komisarz. Podwachmistrz natychmiast wyciąga ręce wzdłuż ciała i się wyprostowuje. – Za ukrywanie przestępcy grozi surowa kara do osadzenia w więzieniu włącznie.

– Nie wiem, gdzie jest Josef. Ostatni raz widziałem go wczoraj wieczorem w Deutsche Reichshalle.

– I może zaprzeczycie, że rozmawialiście z Kalihackiem? Nas, Ratei – komisarz pokazuje najpierw na siebie, później na Normanna – nie można oszukać. O czym była ta rozmowa? Ga-dać, ale już!

– Taki tłok, że... Ja tam nie byłem prywatnie. Miałem stać na balkonie, obserwować i w razie czego... Służba to służba – podkreśla Ratei i jakby uspokojony zwraca się do Flügela: – A dlaczego pan komisarz mnie pyta o Josefa?

Zza niedomkniętych drzwi wymyka się zapach duszonych żeberek. Normann przełyka ślinę. Dużo by dał, żeby teraz usiąść przy stole i najeść się do syta, a po obiedzie wypić chłodne piwo.

– Twierdzicie, podwachmistrzu, że widzieliście Kalihacka wczoraj wieczorem w Deutsche Reichshalle i zaprzeczacie, że z nim rozmawialiście. Mam uwierzyć? – Flügel uśmiecha się do Normanna, jakby nie wierzył w to, co usłyszał. – Kalihack to wasz niedaleki kuzyn. – Komisarz nie pamięta, od kogo się dowiedział, że Ratei jest spokrewniony z Kalihackiem, ale skoro podwachmistrz tego nie kwestionuje, to znaczy, że Flügel dobrze słyszał.

– W piątek przed wieczorem spotkaliśmy się w Wiener Café przy piwie.

– Tylko przy piwie?

– Nie widzieliśmy się ze cztery lata. Przy piwie wspominaliśmy dawne czasy. Wujek, to znaczy ojciec Josefa, był najstarszym bratem mojej matki. Josef i ja jesteśmy braćmi wujecznymi, panie komisarzu. – Ratei staje w rozkroku, nabiera powietrza do płuc, wypina pierś, podnosi ręce, zaciska usta i patrzy na Flügela z góry, jakby atletyczną postawą chciał wymusić na nim podziw. – Gdyby nie to, że za wcześniej się ożeniłem, też byłbym w Samsonie i inkasowałbym takie pieniądze, że... Szkoda gadać. Josef uskładał trochę grosiwa i chciałby je porządnie ulokować. Pan nadburmistrz Finke namawiał go do budowy osiedla dla optantów. – Zaskoczeni tym Flügel i Normann robią pytające miny. Żaden nie przyznaje się, że nie wie, kim są optanci. Flügel słyszał to określenie, lecz nie pamięta kiedy i gdzie. Normann już zapomniał, dla kogo ma być to osiedle. Starszy wachmistrz nie zwraca sobie głowy takimi sprawami.

– I będzie budował? – Flügel zaciera dłonie. – Nie ma co, porządny z niego grünberczyk. Więcej takich.

– Josef ma chęć na winnicę i winiarnię. Mnie – Ratei ścisza głos, jakby zdradzał tajemnicę – proponował, żebym został zarządcą tego interesu. Co to, to nie, Josef, powiedziałem. Teraz nie ma mody na wino.

Co innego piwo. O, panie komisarzu, dobre piwko, takie jak nasze jubiläum...

Flügel krzywi usta. Ratei więc urywa i milczy, tym bardziej że czuje zapach obiadu dochodzący przez niedomknięte drzwi. Gdyby komisarz nie przyszedł, już dawno by siedział przy stole i zajadał się żeberkami w kapuście. W zwykły dzień Emmi gotuje to, co jest najtańsze i żeby było tego dużo. Dopiero w niedzielę mięso pojawia się na obiadowym stole.

– Czyli, podwachmistrzu, twierdzicie, że nie ma u was Kalihacka – podsumowuje rozmowę komisarz, także czując głód.

Ratei nie ma nic przeciw temu, aby obaj śledczy weszli do jego mieszkania i sprawdzili, czy ich nie okłamał, ale na razie tego nie proponuje, ponieważ uważa, że musiałby zaprosić Flügela i Normanna do stołu. Żeberek w kapuście nie starczy dla wszystkich.

– Nie mam nic do ukrycia – zapewnia. – Może pan komisarz wejść i przeszukać moje mieszkanie – dodaje po namyśle, kładąc dłoń na klamce. Jest przekonany, że Flügel, machnie ręką i nie przestąpi progu.

– Jeżeli nie u was, to gdzie szukać Kalihacka?

Ratei natychmiast odpowiada:

– Ja bym poszedł do Arnolda. – Widząc zdziwienie w oczach komisarza, poważnieje i dodaje: – Josef jest pies na baby. Co noc musi jedną albo i dwie przedmuchać. Niekiedy i jeszcze w dzień. Taki z niego jebaka. Jak mieszkał w Grünbergu, to nawet aptekarzowej nie przepuścił. – Ratei zakrywa usta dłonią i mruga do Normanna, jakby wiedział jeszcze o czymś, czego przy komisarzu nie powinien ujawniać.

– Idziemy do Arnolda, Normann – rzuca Flügel. – Ale zanim weźmiemy go w obroty, musimy coś zjeść, bo mi kiszki marsza grają.

Arnold otwiera drzwi i gdy widzi Mischkego na korytarzu, chce je natychmiast zamknąć, czego dziennikarz się spodziewa. Mischke zdąży wsunąć czubek lewego półbuta w szparę między futryną i drzwiami.

– Zapomnij o tamtym. Już się nie gniewaj. Musiałem ci przywalić. Dziś jestem w pokojowej sprawie – mówi Mischke głosem zduszonym, jakby przeproszał Arnolda za to, co stało się w sobotę po południu. – To była *notabene* przede wszystkim twoja wina. Gdybyś nie kombinował, jak nie odpowiedzieć na moje pytania, to czy by do tego doszło? Proszę cię, abys zapomniiał o tamtym. Przestań się indyczyć. Kiedyś zaproszę cię do Kaiserhofu, postawię piwo na przeprosiny i będziemy kwita. Zgodna?

– Akurat – odzywa się Arnold niepewnie. Nie jest wyjątkiem, jak inni nie wierzy Mischkemu, policjantom i urzędnikom magistrackim.

– Teraz też mam pytanie. Bardzo ważne. Odpowiesz, dam ci święty spokój. Odejdę. Nie odpowiesz... – Mischke nie kończy. Przecież nie ma takiej władzy, która zmusi Arnolda do odpowiedzi. Co innego po dobroci. Po dobroci z każdym można się porozumieć. Ale jeśli winowajca ma coś do ukrycia i dlatego nie zechce odpowiedzieć nawet na bzdurne pytanie, to nie odpowie. – Długo jeszcze będziesz trzymał mnie za drzwiami? Noga mi ścierpnie. Wpuścisz do środka? Chyba że wolisz, abym odszedł i wrócił z komisarzem Flügelem. O, wtedy nie chciałbym być na twoim miejscu, alfonsie. Liczę do pięciu i albo-albo.

Arnold ustępuje. Gdyby nie podsiniaczone prawe oko, skóra otarta na nosie i przecięta górna warga, nikt by się nie domyślił, że wczoraj dostał lanie we własnym mieszkaniu. I to nie od kurwy czy jej gacha kąpanego w gorącej wodzie, którego przyprowadziła do pokoju wynajmowanego na godziny, a od dziennikarza w gruncie rzeczy uważanego za niegwałtownego, a tego się nie spodziewał. Wczoraj Mischke zadał pytania Arnoldowi, nie usłyszał nawet wymijającej odpowiedzi, dlatego zrobił to, co podwachmistrz Normann robi zawsze, gdy podejrzany uparcie milczy. Mimo tego że dziś wczorajsze pytania nie straciły nic ze swojej aktualności, Mischke ich nie przypomina. Zrobi to jutro, pojutrze, w połowie tygodnia, za pięć dni, ale najpierw je zada Schreiterowi, kiedy młodszy asystent kryminalny wyjdzie ze szpitala.

– Czy w piątek po południu byłeś na placu przed ratuszem? To pierwsze, co mnie interesuje – odzywa się Mischke. Arnold jeszcze nie odpowiada. Milcząc daje mu do zrozumienia, że czeka na drugą część pytania. Od niej zależy, ile sobie przypomni i jak zareaguje. Dziennikarz wyjaśnia więc, że w piątek po południu na schodach przed ratuszem popisywał się swoją siłą jeden z uczestników mistrzostw Europy w zapasach. To grünberczyk z urodzenia. Nazywa się Josef Kalihack. – Czy wtedy tam byłeś? Widziałeś Kalihacka? – Arnold kręci głową. – A słyszałeś o Kalihacku i o mistrzostwach? – Arnold boi się przytaknąć, tylko wybałusza już i tak wielkie oczy i milczy, jakby to miało być odpowiedzią na zadane pytania. – Aha, poza tobą jeszcze ktoś jest w mieszkaniu – domyśla się Mischke. Rozgląda się. Czwooro zamkniętych drzwi ze złocącymi się klamkami, lecz zza żadnych nie wymyka się nawet najcichsze jęknięcie, jakby ci, którzy tam są, nawet przestali oddychać. – Szukam Kalihacka – wyjaśnia szeptem.

– U mnie ma być Kalihack?

– Szukam w różnych miejscach. Zaczynam od najczęściej odwiedzanego.

– U mnie nie ma nikogo obcego – odpowiada Arnold, kolejno otwierając drzwi do pokoi, co potwierdza, że nie oszukuje Mischkego.

– A czy tu był ten, o którego zapytałem?

Arnold ma zamiar odpowiedzieć, że gdyby każdemu zdradzał za darmo, kto i kiedy przychodził do przybytku uciech, to by zbankrutował. W prowadzonym przez niego geszefcie na pierwszym miejscu są pieniądze i dyskrecja. Nawet Schreiter zobowiązał się bulić za każdą informację. Niedawno podwachmistrz przestał płacić, ale po tym, co się wydarzyło w nocy z piątku na sobotę w parku przylegającym do Grünstrasse, na pewno odda dług z nawiązką i nigdy nie będzie zalegał.

– Tyś go wtedy?

– Niech gdzie indziej redaktor zacznie szukać tego Kalihacka – podpowiada Arnold. W jego głosie Mischke wyczuwa pewność siebie, czego nie znosi, ale i obawę, że dziś postąpi z nim tak, jak postąpił wczoraj po południu. Czasami Mischke bywa impulsywny.

– A gdzie ty byś go szukał?

– Gdzie? W Schwarzer Adler.

– Nie wrócił na noc do hotelu.

– Kalihack jest tutejszy, to pewnie zadekował się u którejś, którą zna z dawnych lat – śmieje się Arnold.

Mischkemu także to przyszło do głowy. Gdyby wiedział, kogo Kalihack zna w Grünbergu, poszedłby tam natychmiast. Gdzie jeszcze mógł się ukryć? A może już go nie ma w mieście? To czym się wydostał? Pociągiem do Breslau i stamtąd przez Görlitz i Dresden do Berlina?

Bez słowa wychodzi na ulicę. Dopiero za niecałe dwa kwadransy odjeżdża osobowy do Breslau. Nie musi się spieszyć, żeby zdążyć przed odjazdem pociągu. Ale przecież Kalihack mógł pojechać w przeciwnym kierunku. Krótsza droga do Berlina prowadzi nie przez Breslau i Dresden, a przez Rothenburg, Reppen i Frankfurt an der Oder. Gdyby Mischke był na miejscu Kalihacka, na pewno wybrałby drogę okrężną.

Idzie ocienionym chodnikiem wzdłuż ogródków oddzielających pałacyki, wille, kamieniczki, niektóre jak belweder, od szerokiej Bahnhofstrasse. Jeszcze pod koniec dziewiętnastego wieku ta prawie bezludna część Grünbergu nazywała się Vorstadt. Po północnej stronie Polnische Kesselstrasse stały stodoły, południowe zbocza zajmowały winnice, między którymi rozsiadły się domki winiarzy. A teraz proszę. Tędy prowadzi reprezentacyjna aleja od ratusza do dworca kolejowego. Po obu jej stronach stoją budowle, na jakie stać jedynie fabrykantów, bankierów i ich następców, właścicieli naprawdę dużych fortun. Na wprost kliniki położniczej doktora Brucksa jest Lichtspieltheater z największą salą w mieście, dwa razy na dzień pokazujący te same filmy, które oglądają mieszkańcy Breslau w Ufa-Theater i Tauentzien-Theater. Do kina przytulił się dom doktora Schirmera z wyjątkowej urody wieżyczką. Ile razy Mischke tędy przemyka, tyle razy kieruje oczy na okienka wychodzące na Bahnhofstrasse. Chciałby z jej wysokości porównywać miasto, które zapamiętał w latach młodości, z tym, które wypiękniało pod nadzorem architekta Alberta Severina, jak on rodowitego grünberczyka. Za domem z wieżyczką anonimowy właściciel działki budowlanej postawił kamieniczkę szpecącą tę część miasta ogrodów, niedawno wydzierżawioną firmie Beuchelta na pokoje gościnne dla młodych specjalistów. Obok znajduje się okazały budynek Ernsta i Roberta Pilzów z kawiarnią Café Kaiserkrone na parterze. Po drugiej stronie ulicy stoi pałacyk bezdzietnej wdowy po zamożnym fabrykancie. Jeśli Mischke spisze swoje wspomnienia, to z pewnością

znajdzie się w nich niemało zdań o wystroju jadalni i saloniku, najwięcej jednak o sypialni. Jeszcze jako początkujący dziennikarz spędził tam wiele nocy i zjadł tyle samo śniadań przynoszonych do łóżka przez wdowę. Gdyby nie poznał Ingrid Scheinemann, żony dyrektora oddziału banku przy Freiheitstrasse, zostałby współwłaścicielem posiadłości i drugim mężem tej zaborczej kobiety. W następnym, najmniej wyróżniającym się budynku z płaskim dachem, do niedawna mieszkał kantor z kościoła Zum Garten Christi. Kto teraz, tego Mischke jeszcze nie wie, ale się dowie. Nawet nadburmistrz nie musi wiedzieć tyle, ile on powinien wiedzieć. Po lewej stronie jest korpulentna willa z nieciekawymi, małymi oknami i standardową fasadą. Gdyby nie specyficzny zapach wydobywający się z browaru Michallisa, znajdującego się na tyłach tej budowli, pomyślałby, że przechodzi obok prochowni. Kiedy mija jeszcze nie wykończony dom kupca Kurtziga, dociera do skrzyżowania Bahnhofstrasse z Neustadstrasse, gdzie spotyka kierownika muzeum, niedawno otwartego w nieczynnej kaplicy staroluterańskiej.

– Zapraszam do środka szanownego redaktora najbardziej poczytnej gazety w Grünbergu i powiecie. – Doktor Kloose pochyła głowę przed Mischkem, jakby on był nie dziennikarzem, a co najmniej sekretarzem miasta, wskazując ręką drzwi budynku z czerwonych cegieł. – „Panowie, gdyby ten człowiek nadal żył, nie byłoby mnie tutaj”. Czy pan pamięta, kto wypowiedział to wyjątkowo celne zdanie?

– Gdzieś je słyszałem, ale gdzie, w tej chwili nie potrafię sobie przypomnieć – odpowiada kłamiwie Mischke nie tyle zawstydzony, co zły na Kloosego. Doktor lubi popisywać się znajomością historii i egzaminować grünberczyków.

– To zdanie, szanowny panie redaktorze, wypowiedział cesarz Francuzów nad trumną filozofa, historyka, poety, pamiętnikarza, kompozytora i człowieka jeszcze wielu talentów po zajęciu Berlina w tysiąc osiemset szóstym. O kim mowa?

– Władcą Francji był Napoleon Bonaparte.

– Mały Francuz, jak nazywano cesarza, wypowiedział to zdanie, ale ja zapytałem szanownego pana redaktora nie o Bonapartego, lecz o to, kogo ono dotyczyło. W szkołach tego nie uczą, niestety, ale pan, absolwent Schlesische Friedrich-Wilhelms-Universität zu Breslau, powinien to wiedzieć.



– Kogo, kogo? – zastanawia się Mischke. Nikt nie przychodzi mu do głowy, mimo to robi taką minę, jakby wiedział, tylko nie był pewny. – Powiedziałbym, że...

– Spod jego pióra wyszła *Histoire du mon temps*.

– A, Wielki Fryc, panie doktorze!

– Od pewnego mieszkańca naszego miasta, niestety, nie życzył sobie, aby ujawnić jego personalia, muzeum dostało płótno olejne *Portret Fryderyka Wielkiego*. Czyjego pędzla, niestety, brakuje sygnatury i ofiarodawca nie wie. Obraz był przekazywany w rodzinie z pokolenia na pokolenie. Nawiasem mówiąc, dzieło mniej niż przeciętnej wartości artystycznej, niestety. Od wczoraj płótno dopełnia tę część ekspozycji, gdzie znajdują się obiekty z czasów wojen napoleońskich. Powinien szanowny pan redaktor je zobaczyć. Nie tylko obraz. Przybyło kilka, proszę mi wierzyć, naprawdę wartościowych eksponatów. Szanownego pana redaktora szczególnie powinny zainteresować kamienie hańbiące. Proszę sobie wyobrazić plotkarkę czy nierządnicę za karę dźwigającą dwanaście kilogramów na swoich ramionach. – Kierownik muzeum uśmiecha się aluzyjnie, po czym dodaje szeptem: – Takich mężczyzn, szanowny panie redaktorze, co to z kwiatka na kwiatek... w tamtych czasach nawet w ten sposób nie karano.

– Gdzieś przeczytałem, że w naszym mieście urodził się jeden z największych malarzy końca europejskiego baroku. Jak się on nazywał?

– Pyta szanowny pan redaktor o Kuntzego?

– Chyba inaczej się nazywał. – Mischke kręci głową. – Tu się urodził i jeszcze jako dziecko wyjechał do Krakau. Tam był pod opieką biskupa Załuskiego. Potem mieszkał w Italii. Podobno jego uczniem był sam Goya.

– Urodził się jako Kuntze. W zależności od nastroju towarzyszącego mu w trakcie malowania swoje obrazy podpisywał jako Tadeusz Konicz, Kunicz, Kończa, Kunze, Kuncze, Kuntzer, Cuns, Contze i tak dalej. W Italii nazywali go Taddeo Pollaco.

– Gdzie można zobaczyć jego obrazy? Może są w muzeum?

Teraz Kloze kręci głową.

– Gdybyśmy mieli chociaż jeden obraz Kuntzego, bylibyśmy szczęśliwi – odpowiada, uśmiechając się sam do siebie. – Najwięcej jego dzieł jest w Krakau i w Italii. Może kiedyś uda się zebrać pokaźną sumę pieniędzy i coś kupić albo chociaż wypożyczyć, albo, co jest prawdopodobne, zrobić kopie. Dobrze wykonane też mają swoją wartość. Może na stulecie naszego muzeum uda się utworzyć galerię Kuntzego. To naprawdę wielki artysta. Na razie musimy się zadowolić o wiele skromniejszymi eksponatami.

– Wiadomo, w którym domu urodził się Kuntze? – pyta Mischke, ale nie przyznaje się, że podpowiedział sekretarzowi miasta, aby na budynkach, w których przyszli na świat sławni grünberczycy, umieścić tablice.

– Szanowny panie redaktorze, Kuntze urodził się prawie dwieście lat temu – wyjaśnia kierownik muzeum. – Wracając do naszych kamieni hańbiących...

Mischke spodziewa się, że Klose będzie chciał mu opowiedzieć o procesach czarownic, o czym słyszał wiele razy, dlatego mówi:

– Spieszę się.

– Do kościoła? – pyta kierownik muzeum i sam sobie odpowiada: – Co za czasy, niestety. Wszyscy chodzą do Erlöserkirche, jakby to była jakaś cudowna świątynia. Prawda, kościół stanął jako wotum przebłagalne za ofiary wielkiej wojny, niestety, ale czy to oznacza, że tylko pod tamtym dachem trzeba czcić Pana? Gdyby nie to, że w niedzielę muszę być w muzeum, poszedłbym do Zum Garten Christi. Tam naprawdę jest wyjątkowa atmosfera. – Klose wyjmuje zegarek z kieszonki kamizelki. – A nie za późno na nabożeństwo? No, chyba że szanowny pan redaktor idzie do kościoła... Jakby to powiedzieć, żeby szanownego pana redaktora nie obrazić?... Prawda to, że znowu mamy zabójstwo? – pyta. Nie czekając odpowiedzi, kontynuuje: – Nie trzeba wywoływać wojny, żeby zadawać śmierć. Okropne, niestety. To co, wejdzie szanowny pan redaktor do muzeum?

– Naprawdę się spieszę.

Gdy Mischke dociera do Erlöserkirche, z kościoła wysypuje się mrowie odświętnie ubranych mężczyzn i kobiet. Wielu zna z widzenia, niektórych po nazwisku, z częścią rozmawiał nie raz i nie dwa, ale nie spodziewa się, że zobaczy Ingrid Scheinemann. Idzie na wprost

niego, mając lewą dłoń wsuniętą pod ramię wysokiego mężczyzny w eleganckim popielatym garniturze. Mimo tego że Mischke nie zamienił z nim jednego słowa, wie kim jest. W mieszkaniu przy Kapellenweg widział jego fotografię. To Gerhard Scheinemann, dyrektor oddziału banku przy Freiheitstrasse. Ingrid jest jego drugą żoną. Z pierwszą, przedwcześnie zmarłą, także nie doczekał się dzieci. Bezdzielni ludzie choćby wymyślili proch, przez sąsiadów i znajomych są traktowani tak, jakby byli niezapobiegliwi i nie myśleli o swojej starości, z czym nie zgadza się Mischke. Redaktor przechodzi na drugą stronę pachnącej kwiatami lip Bahnhofstrasse. Może gdyby się ukłonił Scheinemannom, Ingrid by się uśmiechnęła nieznacznie, a może by udała, że nie wie, kim jest, lecz woli nie ryzykować. Jutro po południu będzie w mieszkaniu przy Kapellenweg i na pewno nadarzy się okazja, aby zapytać, czy go widziała, kiedy szedł na dworzec i o czym pomyślała. Nie miał wątpliwości, że kiedyś ta ich znajomość-nie-znajomość musi się zakończyć, ale dopóki tylko oni oboje o niej wiedzą, nie chciał z niej rezygnować.

Nie zdąża przed odjazdem pociągu do Rothenburgu i dalej do Reppen. Dyżurny ruchu, którego zaczepia na pierwszym peronie, nie zapamiętał mężczyzny o rzucającym się w oczy wyglądzie.

– Panie redaktorze, Kalihacka nie da się nie zauważyć. – Kolejarz się zżyma, gdy Mischke jeszcze raz pyta, czy na pewno wie, o kogo chodzi.

– Bez wątpienia byście go poznali?

– Byłem wczoraj wieczorem na tych mistrzostwach w Deutsche Reichshalle. Musiałem, żeby nie wiem co. To świństwo, panie redaktorze. Świństwo i nic więcej nie mam do dodania. Może pan napisać w „Grünberger Tageblatt”, że tak powiedział Günter Wesolek. Świństwo.

– Jeżeli, Wesolek, chcecie, abym tak napisał, podajcie uzasadnienie.

– Josef był najlepszy. Josef powinien zostać mistrzem. Nie ten pulpet z Austrii. Josef jest najlepszym zapaśnikiem w całej Europie. Co ja mówię? Josef jest najlepszym zapaśnikiem na całym świecie! Jak jeszcze byliśmy tacy – Wesolek opuszcza rękę do pasa – już wtedy nie było mocnego na Josefa. Kładł wszystkich. Był tylko jeden, z którym walczył na poważnie. Peter, ten, który jest za policjanta. Josef to krewniak Rateia.

– Tak dobrze znacie Kalihacka?

– Oni mieszkali w tym samym domu, co my. Do naszego było wejście z Totengasse, do nich od podwórka.

– Czy to możliwe, żebyście nie zauważyli, kiedy Kalihack wsiadał do pociągu?

Dyżurny ruchu kręci głową.

– Znam ludzi z Schertendorf, Plothow, Seedorf. Większość wracała z nabożeństwa w Erlöserkirche. Wyszli z kościoła szybciej, żeby zdążyć na pociąg powrotny. Nie rozumiem, co ich ciągnie do Grünbergu – przyznaje się Wesolek. Wyraz jego twarzy potwierdza, że to prawda. – Przecież blisko swoich domów mają kościoły, w każdym odprawia się w niedzielę, a oni od dnia kiedy na placu przy Bahnhofstrasse stanęła ta nowa świątynia, przyjeżdżają do miasta.

– Kazania, Wesolek. Przyciągają ich kazania głoszone przez pastora Krebsa. Wszędzie można się modlić, nawet we własnym domu, ale nie wszędzie jest taki kaznodzieja. Głoszenie kazań jest sztuką. Jeszcze większą sztuką jest głosić je tak, aby zatrzymywały się w głowach prostych ludzi. Największą sztuką jest, gdy ludzie traktują je jako swoje drogowskazy. A my, Niemcy, teraz, po wielkiej wojnie, potrzebujemy takich kaznodziejów, którzy pokazują, w którą stronę iść.

Oniemiały dyżurny ruchu patrzy na Mischkego, jakby miał przed sobą nie dziennikarza, którego tyle razy widział przed ratuszem i o którym słyszał wiele kąśliwych opinii, lecz prelegenta z uniwersytetu w Breslau, którego spotkał pierwszy raz i nie wie, co odpowiedzieć, żeby nie trafić w jego czuły punkt.

– Aaa! – wykrzykuje dopiero po chwili.

## 38

– Aaa – powtarza Mischke, jakby przedrzeźniał Wesolka, po czym lekko odchyła głowę i przymruża oczy. To oznacza, że w jego mózgu nagle urodziło się pytanie, na które jeszcze nie zna odpowiedzi. Wie jedno:

natychmiast musi się dostać na drugi koniec miasta. Czym? Z dworca KPEV do Carla, nieczynnej kopalni węgla brunatnego, będzie ponad pięć mil najkrótszą drogą. W dzień powszedni wsiadłby do dorożki i kazał fiakierowi wieźć się w stronę Piastenhöhe. Nawet gdyby któryś grünberczyk chciał zarabiać w niedzielę, nie odważy się złamać regulaminu wydanego przez gildię dorożkarzy. Dostanie się tam piechotą w upalne popołudnie zajmie Mischkemu co najmniej godzinę. Nigdy nie chodził tak daleko, a przecież jeszcze musi wrócić do centrum miasta i coś postanowić.

– Mogę być w czymś pomocny, panie redaktorze? – odzywa się dyżurny ruchu, widząc jego zamyślane oczy.

Zamiast odpowiedzieć, Mischke macha ręką i bez pożegnania z zaciśniętymi ustami wychodzi na pusty plac przed dworcem. Stojąc ze wzrokiem skierowanym na zamkniętą bramę wytwórni markowych winiaków, likierów i wódek braci Raetschów, rozważa, którądy będzie najbliżej do Carla. Przez Bahnhofstrasse, Niederthorstrasse i Ring dojdzie do Oberthorstrasse, gdzie siedziba policji, ale przecież nie wejdzie tam i nie powie komisarzowi Flügelowi, co urodziło się w jego głowie. Zresztą, w niedzielę poza dyżurnym pewnie nikogo nie ma w komendzie. Z Oberthorstrasse przez Neumarkt i Hospitalstrasse dojdzie do skrzyżowania An der Lattwiese z Maulbeerallee. Zaraz, zaraz, a może kursują pociągi małej kolei? Wraca na dworzec i pyta dyżurnego ruchu, o której godzinie odchodzi najbliższy osobowy z dworca Sprottauer Bahnhof i za ile minut będzie na stacyjce Grünberg-Oberstadt, skąd jeszcze pół godziny piechotą do Carla.

– Toż święto. My pracujemy na okrągło przez cały rok, nawet w Boże Narodzenie i Wielkanoc, a oni mają wolne wszystkie niedziele. Ich pociągi jeżdżą od poniedziałku do soboty – wyjaśnia Wesolek, co niezadowolony Mischke kwituje cichym przekleństwem.

Nie ma innego wyjścia, jak ruszyć przed siebie i w taki skwar przemaszerować przez całe miasto aż do Piastenhöhe. Będzie pluł sobie w brodę, jeżeli tym razem się okaże, że przecucie go zawiodło. Dotąd zawsze było tak, jak to sobie zaplanował i jak się tego spodziewał, dlatego komisarz Flügel nigdy z niego nie drwił, a podsuwane wskazówki nie tylko brał pod uwagę, ale i wyciągał z nich wnioski. Starszy wachmistrz Normann kadził Mischkemu, że powinien zająć

gabinet sekretarza kryminalnego przy Oberthorstrasse 5. Nawet Widenka uważa go za osobę wyjątkową, bez której Grünberg nie byłby tym Grünbergiem, do którego lubi przyjeżdżać prezydent rejencji nawet bez oficjalnego powodu. To samo sekretarz miasta mówił o Schmidcie, Klosem, Brucksie, Severinie, siostrze Beuchelta i przede wszystkim o nadburmistrzu Finkem.

Wracając do centrum ocienioną lipami Bahnhofstrasse Mischke jeszcze raz próbuje odtworzyć w pamięci to, co się działo 23 marca w gabinecie nadburmistrza, kiedy został niespodziewanie wezwany do ratusza. Przypuszczał, że usłyszy o zmianach w programie obchodów siedemsetlecia Grünbergu, a zobaczył dwóch mężczyzn. Jeden był niski i spasiony, drugi przypominał Herkulesa z rzymskiego Forum Boarium. Pierwszy przedstawił się jako doktor Skarbeck z zarządu Europäischer Athleten-Club „Samson”. O drugim berlińczyk powiedział, że to nieprzeciętny siłacz, Josef Kalihack, rodowity grünberczyk, należący do znanego na całym świecie klubu atletów. Gdy niedawno się okazało, że Estończycy zrezygnowali z organizacji zapaśniczych mistrzostw Europy, Kalihack zaproponował, żeby zawody odbyły się w jego rodzinnym Grünbergu i uświetniły siedemsetlecie miasta, za co podziękował mu wylewny nadburmistrz. Potem Finke opowiedział o programie budowy domów dla optantów, nazywając to zadanie kurą znoszącą złote jajka i dodając, że liczy na zainteresowanie berlińczyków. Ta sprawa nie zaciekała doktora Skarbecka, a Kalihack ani nie potwierdził, że przemyśli propozycję, ani jej nie odrzucił. Ożywił się dopiero, gdy bodajże Widenka wspomniał o kopalniach węgla brunatnego wianuszkami okalających miasto, obecnie w większości nieczynnych. Wtedy Kalihack powiedział, że młodszych lat nigdy nie usunie ze swojej pamięci. One siedzą w jego głowie, jakby dostały się tam wczoraj. Gdy się coś przeszkrobało i ojciec odpinał pasek od spodni, to on w nogi i prosto tam, gdzie kopalnie. Padało albo zanosilo się na większe lanie, to pod dach albo i aż do szybu. Tam było najbezpieczniejsze miejsce. Patrząc na nadburmistrza, starał się przypomnieć sobie nazwy tkwiące na tablicach przed bramami kopalń. Trwało to za długo, Mischke otworzył więc już usta, kiedy Widenka przywołał te najbliższe: Beust, Friedrich Wilhelm, Mathilde, Carl. Gdy podsumował, że do Consolidierte Grünberger Gruben należało więcej niż jedenaście

kopaliń, Kalihack pochwalił się, że mógłby być przewodnikiem po korytarzach Carla, gdzie po awanturze w domu najczęściej się ukrywał. Zresztą nie tylko on.

– Co pan tu robi, redaktorze? – Zamyślony Mischke słyszy znajomy głos, ale jeszcze nie wie, kto go zauważył, więc się zatrzymuje i odrywa wzrok od bruku Maulbeerallee. Widzi mężczyznę kropla w kroplę jak profesor Schmidt. Nawet tak samo wysuwa prawę ramię i przekrzywia głowę.

– Pan profesor? – pyta niepewnie.

– Teraz tu mieszkam. – Schmidt wskazuje ręką willę, za którą rosną różowiejące morwy wygrzewające się w słońcu. Gdyby nie wejście usytuowane z boku, można by ją uznać za taki sam pałacyk, jak jeden z tych przy Bahnhofstrasse.

– Tego nie wiedziałem – przyznaje się Mischke. Wiele razy bywał w mieszkaniu profesora przy Krautstrasse, zaglądał do archiwum miejskiego, którym zarządza Schmidt, przeczytał *Geschichte de Stadt Grünberg Schlesien* jeszcze w rękopisie i nawet wniósł kilka uwag, czym nikomu się nie pochwalił. Gdy książka była gotowa, zapytał profesora, w oparciu o jakie dokumenty zapewnia, że Grünberg ma prawo świętować swoje siedemsetlecie w 1922 roku. Schmidt długo się zastanawiał, jakby został przyłapany na szachrajstwie i nie wiedział, co odpowiedzieć, a kiedy się odezwał, Mischke usłyszał to samo, co mu powiedział doktor Klose:

– Żadne miasto na świecie nie powstało w nocy z niedzieli na poniedziałek. Zanim władca zdecyduje się na wydanie aktu lokacyjnego, upływa wiele lat. Nikt nie wie, w którym roku ukazał się taki akt dotyczący Grünbergu. Może siedemset lat temu, może wcześniej. Na pewno w czasach piastowskich. Prawdopodobnie za panowania Henryka Brodatego. Wtedy obowiązywała zasada: większe miejscowości leżące nad środkową Odrą co trzydzieści, co czterdzieści kilometrów, otrzymują prawa miejskie. Na przykład Crossen, które było siedzibą kasztelana, stało się miastem przed 1238 rokiem, książęcy Glogau w 1253. Założony w 1125 roku Freystadt formalnie został miastem dopiero w 1273.

– A jeżeli za sto lat ci, którzy będą szykowali się do świętowania ośmiu wieków miasta, zapytają, gdzie jest akt lokacyjny lub inny

dokument poświadczający, że w 1922 roku mieliśmy prawo urządzić huczne obchody siedemsetlecia Grünbergu, jak pan to wyjaśni?

– To nie będzie moje zmartwienie.

– A czyje, doktorze Schmidt? Czyje, jeśli nie archiwisty?

– Mnie już nie będzie wśród żywych.

– Pana nie będzie, ale pozostanie relacja z jubileuszu w „Grünberger Tageblatt”. Pewnie i „Grünberger Wochenblatt” sporo napisze. Może „Niederschlesische Morgenzeitung” i „Breslauer Zeitung”, i nawet „Liegnitzer Volkszeitung”.

– Wtedy ktoś z autorytetem naukowym odpowie pytającym, że taki akt musiał być. Przecież nikt nie urządziłby jubileuszu siedemsetlecia miasta, nie znając podstawy historycznej, ten ktoś doda.

Schmidt nie powiedział tego, co Mischke usłyszał od sekretarza miejskiego zaraz po otwarciu muzeum, a czego nikt nie zlekceważył. Wtedy Widenka skontaktował:

– Według ententy Niemcy przegrały ostatnią wojnę. Cesarz Wilhelm II Hohenzollern abdykował. Ale to wcale nie znaczy, że państwo niemieckie przestało istnieć. Państwo się odbuduje i znowu Niemcy będą ponad wszystko. *Deutschland, Deutschland über alles* – Widenka zanucił pierwszą linijkę hymnu. Przyciszonym głosem dodał: – Nadburmistrz Finke zapowiedział, że postawimy pomnik tym, którzy nie wrócili z wielkiej wojny. Ludziom trzeba dać nadzieję, szanowny redaktorze. Obywatele Weimarer Republik muszą uwierzyć, że Niemcy nie zginęły i że odbudują się, i znowu będą potężne. Że urodzi się nowy Otto von Bismarck-Schönhausen. Że ten nowy będzie jeszcze bardziej twardy i władczy. Redaktorze Mischke, nie tylko po to urządzamy obchody siedemsetlecia Grünbergu i otwieramy muzeum, aby grünberczycy się bawili. Robimy to przede wszystkim dlatego, żeby w ich sercach wzniecić ducha narodowego. Doczeka się szanowny redaktor czasów, kiedy znowu będzie dumny z tego, że jest Niemcem.

– Oby pan, Widenka, miał rację – powiedział Mischke, jakby nie zgadzał się ze wszystkim, co usłyszał od sekretarza miasta. – Na razie nasze siedemsetlecie wygląda na jubileusz szyty grubymi nićmi. Szwindel.

Widenka przemilczał uwagę dziennikarza, ale odchrząknął, jakby nie wiedział, co odpowiedzieć.



Niedługo po otwarciu muzeum Mischkemu przyszło na myśl, że sekretarz miasta ma dużo racji. Co z tego, że za sto lat w tym, co się wydarzyło w 1922 roku w Grünbergu, ktoś będzie się doszukiwał oszustwa, skoro mieszkańcy są zadowoleni? Żaden sędzia nie wyda wyroku jedynie na podstawie spornych odpowiedzi świadków. Zresztą, tak świat jest urządzone, że tryumfator nikomu nie musi się tłumaczyć.

– Ten wielki dom w głębi ogrodu, gdzie mam swój pokój, należy do zięcia i córki. – Jak przez mgłę Mischke pamięta Luckie, która wyszła za mąż za stolarza Pitschmanna. W jego sklepie przy Mathaeiweg kupił etażerkę, biurko i dwa krzesła. – Tu jest najlepsze miejsce dla starca, który póki będzie mógł utrzymać pióro w palcach, tak długo będzie się starał wyciągać z historii miasta mniej znane fakty i je przedstawiać gdzie się tylko da.

– „Haus Gosiru”? – pyta Mischke, obejmując wzrokiem napis nad wejściem do domu.

– Pierwsze litery imion moich wnuczek – wyjaśnia Schmidt i przyciszonym głosem pyta, czy to prawda, że Kalihack zamordował swojego kolegę z maty.

– Skąd pan wie, że Kalihack zamordował swojego kolegę z maty?

Zaskoczony brakiem odpowiedzi Schmidt kuli się wyraźnie zawstydzony. Po chwili, jakby się usprawiedliwiał, mówi, że woli posłuchać muzyki. A najbardziej ceni genialne utwory wiedeńskich z rodziny Straussów.

– Czy pan wie, Mischke, że wysłuchałem koncertu orkiestry Johanna juniora Straussa w maju 1900 roku? Specjalnie przyjechałem wtedy z Kottwitz i dlatego niedługo po tym zdarzeniu przenieśliem się do Grünbergu. Bardzo mi się miasto podobało. A cyrk w sporcie mnie nie interesuje.

– Cyrk?

– Te mistrzostwa.

– Jaki cyrk, profesorze? Przecież to były mistrzostwa Europy w zapasach. Pierwsze wydarzenie tej rangi w Grünbergu. Każdy grunberczyk powinien być dumny. – Mischke ukrywa przed Schmidtem, że myśli identycznie jak on, lecz coś niewytłumaczalnego każe mu mówić inaczej.

– Cyrk i szwindel, redaktorze. Ludzie kupili bilety, żeby zobaczyć, jak grünberczyk zostaje mistrzem Europy. Miał wygrać Kalihack? Miał. I pewnie by wygrał, gdyby nie został zdyskwalifikowany. A dlaczego został zdyskwalifikowany? Z powodu tego, co stało się w piątek w hotelu Schwarzer Adler. Jest podejrzany o to, że zgwałcił i udusił pokojówkę. Póki policja nie przedstawi dowodów, nie ma mowy o jego winie. Zgadza się pan ze mną, redaktorze Mischke?

– Od kogo pan, profesorze, aż tyle wie?

– Zięć słyszał w kościele. To znaczy nie od pastora w Zum Garten Christi, a jak po nabożeństwie wyszedł na Ring. Pan Stier, ten, który dzierżawi Deutsche Reichshalle... Nie wierzę, że pan, Mischke, taki wszystkowiedzący redaktor, o tym nie słyszał.

Mischke już ma zamiar przytaknąć, gdy zdaje sobie sprawę z tego, że może Schmidt wie o czymś, czego mu nie powiedział starszy wachmistrz Normann i czego nie słyszał kelner Fischer. Profesor patrzy na niego, jakby oczekiwał potwierdzenia. Nie doczekawszy się, pyta:

– Pan pewnie wybrał się na przechadzkę? Może aż na Meiseberg i do wieży Bismarcka? Dawno tam nie byłem. Kiedyś z wnuczkami co tydzień wchodziłem do środka i sprawdzałem, które kopalnie węgla jeszcze są czynne. Starość już zaczyna dawać znać o sobie. W taką duchotę najlepiej ukryć się w cieniu.

– Nie... To znaczy tak. Wybrałem się na spacer. – Mischke uśmiecha się, schyla głowę i powoli rusza w stronę Piastenhöhe. Przez moment waha się, czy zapytać profesora o drogę do kopalni Carl, lecz rezygnuje z tego. Jeszcze by Schmidt zaczął go wypytywać, co go tam ciągnie, a tego nie może ujawnić.

– Będzie burza – zapowoiada profesor, unosząc już niemal białą głowę. – Deszcz jest najbardziej potrzebny w maju. Nie zaszkodzi, jeśli w czerwcu pada. Bez wody wszystko wyschnie w ogrodzie. A szkoda takich pięknych morw.

Duchota sygnalizuje ulewę z grzmotami i błyskami. Może i gradobicie, czego jeszcze nie było w tym roku, a czego najbardziej obawiają się właściciele winnic. Schmidt powiedział, że deszcz jest najbardziej potrzebny w maju. Jeśli w czerwcu pada i jest nie za gorąco, to oznacza, że na pewno będą obfite zbiory winogron. Niech leje, ale dopiero wieczorem, kiedy wrócę do domu, prosi w myślach Mischke. Tylko żeby nie błyskało się, nie waliły pioruny i nie doszło do oberwania chmury. Jeszcze więcej strat może spowodować grad, o czym przekonała się wytwórnia Fritz Briegera w sierpniu zeszłego roku. Spadające na jej winnicę bryły lodu wielkości kurzych jaj nie tylko strąciły dojrzewające winne grona, lecz i połamały pędy krzewów. Dlatego wytwórnia win musujących przy Burgstrasse jest nieczynna i nie wiadomo, czy zostanie otwarta w przyszłym roku. Wielka szkoda, bo dojrzewały w niej grona, z których powstawał Brieger Cabinet mający więcej zwolenników niż Brieger Rubin. Był tańszy i ładniej się prezentował na wystawach.

Mischkemu się wydaje, że zamknięty szyb Carl, do którego idzie od blisko godziny, znajduje się w pobliżu jeszcze czynnego szybu Carl Pohlenz, tak nazwanego na cześć odkrywcy pokładów węgla brunatnego wokół Grünbergu. Pół wieku temu górnictwo węglowe rozwijało się tak szybko, jakby chciało nie tylko nadrobić starcony czas, lecz i go wyprzedzić. Od zakończenia wielkiej wojny właściciele kopalń zamykają je przede wszystkim dlatego, że kryzys sprawił, iż ceny węgla rosły niemal w takim samym tempie jak ceny chleba, kartofli, mięsa, mleka i wszystkiego, co jest potrzebne grünberczykom do codziennego życia. Ponadto uruchomienie elektrowni węglowej przy Lessner Strasse przekonało fabrykantów, że bardziej się opłaca kupować energię elektryczną niż wydawać pieniądze na piece do spalania węgla. Najpierw trzeba przywieźć opał z kopalni, później wywieźć popiół na składowisko, za co też trzeba zapłacić.

– Którędy do Carla? – Mischke pyta mężczyznę wnoszącego gałęzie z lasu i układającego je na skraju drogi.

– Jak do kopalni, to w prawo. – Mężczyzna wskazuje głową ścieżkę przemykającą między sosnami. – Będzie więcej niż dziesięć lat, jak ją zamknęli. A szyb jeszcze stoi. Dookoła wyrosły brzozy. Są tacy, co schodzą pod ziemię i wydzierają bryłki węgla, ale nie o tej porze. Dopiero przed zimą. Ja wolę zapłacić i nazbierać gałęzi. Pan, widać,

nie po węgiel – dodaje, jakby się usprawiedliwiał, że wziął Mischkego za takiego, który ma zamiar zejść pod ziemię. – Ze sto metrów i...

Mischke się odwraca, podnosi lewą rękę, co może oznaczać, że dziękuje mężczyźnie za informację albo że zauważył ścieżkę i na pewno trafi. Zresztą wieża szybu jeszcze powinna górować nad brzózkami.

Po kilku minutach marszu Mischke się zatrzymuje, żeby wytrzeć pot z czoła i szyi. Jeżeli tam nie ma Kalihacka, to gdzie jest? Nie wrócił na noc do hotelu, nie wyjechał porannym pociągiem, nie schronił się w mieszkaniu Rateia. Gdyby był z którąś kurwą w kamienicy przy Niederstrasse, Arnold by mu powiedział. Gdzie więc go szukać?

Kalihack musi być w kopalni. W marcu wspomniał, że krył się w kopalni Carl. Mimo iż miał bliżej do także nieczynnych Beust i Friedrich Wilhelm, uciekał do Carla. Dlaczego tam? O to nikt nie zapytał, a on nie wyjaśnił.

Jest!

Mischke jeszcze go nie widzi. Na razie czuje, że Kalihack ukrył się pod ziemią. Jak tam się dostać? Nigdy nie był w kopalni głębinowej. Oglądał zdjęcia zrobione przez Linckelmanna, domyśla się więc, że atleta zszedł po drabinie albo spuścił się na linie zwisającej z dachu nadszybia, pod którym dawniej była winda lub platforma do wywozu fedrunku. Ile to metrów? Pewnie więcej niż dwadzieścia. Mischke słyszał, że górnicy, którzy fedrowali węgiel, nosili na głowach brązowe hełmy z lampkami karbidowymi.

Na spróchniałym płocie okalającym szyb wisi tablica z napisem: „Halt! / Gefahr. Betreten verboten. / Es dront zusammenzubrechen”.

Zmęczony i spocony, mimo ostrzeżenia opiera się łokciami o ogrodzenie i zapuszcza wzrok do studni szybu, skąd wydostaje się chłód, wilgoć i stęchły zapach. Póki oczy nie przyzwyczyły się do ciemności, niewiele dostrzegał. Teraz widzi drabinę opartą o zmurszałe deski i dwie liny. Trzy górne szczeble są złamane, na niższych zachowały się świeże ślady podeszew. Jedna z lin wygląda tak, jakby ktoś niedawno po nią sięgał. Kalihack albo ci, którzy wykradali węgiel spod ziemi.

– Kalihack! – woła Mischke. – Wiem, że tam jesteście! Kaalihaack! – powtarza śpiewnie, przeciągając jego nazwisko. – Wyjdźcie!

Porozmawiamy! Kalihack!

Odpowiada echo odbijające się o ściany szybu. Kalihack musi tam być. Jeżeli burza mnie nie przepędzi, to poczekam do nocy, postanawia Mischke. Pod osłoną ciemności Kalihack wyjdzie z kopalni. I co dalej? Przecież nie zatrzymam siłacza ani nie wezwę pomocy. Trzeba go teraz wywabić, ale jak to zrobić? Zejść pod ziemię i przekonywać, że jeżeli nie zamordował pokojówki i Gurgulla, to nie ma czego się obawiać. Niewinnego nikt nie postawi przed sądem. A jeżeli policjanci mają niepewne dowody jego winy albo nawet okruchy poszlak, muszą je przedstawić i wskazać świadków. Czy to takie trudne? A może jednak Kalihack jest mordercą i dlatego się ukrywa? Każdy może być zabójcą, jednak zabijanie w przeciwieństwie do kochania czy dawania życia innym nie jest powinnością każdej żywej istoty. Jest różnica między mordercą, który zabija bez specjalnego powodu lub żeby się nie wydało przestępstwo, i wojakiem na froncie, który zastrzelił nieprzyjacielskiego żołnierza, bo taki dostał rozkaz. Jeśli on nie zabije, to zostanie zabity. Gdy Mischke nad tym się zastanawia, słyszy trzask łamanych gałązek. Odwraca się i na ścieżce, którą przed kilkoma minutami doszedł do ogrodzenia szybu, widzi rosnącego mężczyznę w samej koszuli. Podwachmistrz Ratei? Mógł przewidzieć, że policjanci będą go śledzili, ale dlaczego Ratei ze służby porządkowej, a nie sekretarz kryminalny Flügel czy starszy asystent Normann?

– I co, panie redaktorze, jest tam Josef? – pyta Ratei, wskazując ręką, którą przebiega korytarz kopalni. Nie słysząc odpowiedzi ani nie widząc żadnego gestu, zapewnia Mischkego, że Kalihack musi być pod ziemią. – Bo gdzie by się zamelinował? Na prawo od szybu, mniej więcej w tym miejscu – pokazuje, przytupując nogą – górnicy mieli składzik. Taki magazynek, w którym na noc chowali oskardy i szufle. W dzień schodzili się tam na przerwy.

Mischke jeszcze nic nie mówi. Nie wierzy, że Ratei przyszedł do nieczynnej kopalni z własnej woli. W dodatku policjant zachowuje się tak, jakby nie był policjantem. Ile razy Mischke rozmawiał z Flügelem, tyle razy sekretarz kryminalny mu tłumaczył, że policjant jest zawsze na służbie. W mundurze albo po cywilnemu. Świątek i piątek. W dzień i w nocy. Jak doktor Brucks czy doktor Bergemann, pastor Krebs czy ksiądz Sappelt.

– Wołałem, ale nikt się nie odezwał. Pewnie nikogo tu nie ma – wątpi Mischke.

– Są ślady. – Ratei pokazuje na kołnierz ogrodzenia. – Niedawno ktoś przechodził na drugą stronę. – I tam. – Kieruje wzrok Mischkego na drabinę. – Josef. Kto by inny w niedzielę?

– Skąd wiecie, że Kalihack tu się ukrył?

– Skąd? – zastanawia się Ratei. – Przeczucie, panie redaktorze. Dawniej, jak byliśmy chłopakami, nieczynna kopalnia była naszym tajemnym schronieniem.

– Przypuszczam, że pokojówka w hotelu to także jego sprawka. Zgwałcił i zabił. I że Kathrin nie była jego pierwszą ofiarą. – Ratei podnosi zaciśnięte dłonie. – Josef jest chory. Na jego chorobę nie ma lekarstwa. Właścicie jest. Jedno. Trzeba go odseparować. Póki tego się nie zrobi, będą następne ofiary.

– Czy Kalihack dobrowolnie pozwoli się odizolować?

Ratei najpierw długo patrzy na dziennikarza, jakby nagle coś przyszło mu do głowy, lecz boi się konsekwencji, dlatego nie chce tego ujawnić. Po namyśle jednak się odzywa, ale robi to niepewnie:

– Wydaje mi się, że zarząd Samsona dobrze wie, jaki jest Josef. Trzymają go w klubie, bo jest maszynką do zarabiania pieniędzy. Gdy przestanie wygrywać, doktor Skarbeck odda go w ręce policji.

Mimo że upał zelżał, duchota jeszcze nie ustąpiła. Coraz więcej ciężkich chmur wisi nad lasem, zasłaniając słońce. Mischke jest przekonany, że niedługo odezwą się grzmoty i zaczną się błyskać. Nie padało od połowy maja, a deszcz jest bardzo potrzebny przede wszystkim na wzgórzach okrytych winnymi krzewami. Ostatnia zima była śnieżna, dlatego winorośle nie wymarły, co zapowiadało obfite zbiory, ale jeżeli nie spadnie deszcz, grona zaczną zasychać i zmarnieją.

– Nie ma na co czekać. Schodzę – decyduje się Ratei.

– Pod ziemię?

– Pod ziemię.

– Którędy?

– Najpierw po drabinie. Później troszkę w bok i znowu po drabinie. – Ratei rozchyła furtkę w ogrodzeniu. Mischke jej nie dostrzegł.

– A jeżeli drabina się zarwie? Albo szalunek nie wytrzyma? Albo...  
Może być coś jeszcze gorszego.

– To zginę – odpowiada policjant, takim głosem jakby w to nie wierzył. I zaraz dodaje: – Pan, redaktorze, będzie miał o czym pisać. Firma pogrzebowa zarobi.

– Dzieci zostaną bez ojca.

– Przyjdzie pan redaktor na gotowe. Dzieci odchowane. Tylko żenić się z ciepłą wdówką. Moja Emmi umie ugotować. A potrafi tyle samo albo jeszcze więcej niż Heidi. I za darmo – śmieje się Ratei.

## 40

Powietrze jest gęste i lepkie. Duchota taka, że trudno oddychać. Do tego jeszcze muszki wciskające się do uszu i nosa. Za wzgórzami już grzmi i się błyska. Chusteczkę, którą Mischke co chwila wyciera czoło, można wyżymać. Koszula przylepiła się do pleców. Spodnie kleją się do ud. Skarpety dawno zwilgotniały.

Minęło kilka minut, od kiedy się rozstali. Mischke już by chciał, żeby Ratei odezwał się spod ziemi albo dał jakiś znak. Zniecierpliwiony zagląda do szybu, przekrzywia głowę na lewą stronę, jakby lewe ucho potrafiło wychwycić nawet najcichszy dźwięk, ale nie dociera stamtąd żaden pogłos.

Mischke nigdy nie był w żadnej kopalni węgla, nie wie więc, jak długo trzeba iść podziemnym korytarzem, żeby dotrzeć do tego miejsca, gdzie się ukrył Kalihack. A jeżeli on się schował w innym miejscu, bo pewnie górnicy mieli tam więcej składzików na narzędzia? Ulewa nie poczeka, aż Ratei odszuka Kalihacka i obaj wydostaną się na powierzchnię. A może jest drugie, zapasowe wyjście z kopalni, o którym Ratei wie i jeszcze pamięta, jak do niego trafić? Tamtym chodnikiem wyprowadzi Kalihacka. I dokąd dalej? Przecież nie skuje kuzyna i nie zaprowadzi go na Obertorstrasse 5. Pomoże mu wydostać się z miasta, a mnie powie, że nie znalazł Kalihacka pod ziemią?

Jakie są dowody, że Kalihack jest podwójnym mordercą? Gdyby nie to, że nie wrócił do hotelu i tylko dlatego śledczy nie mogli go przesłuchać, na razie nie ma żadnych. Ani dowodów, ani świadków. Same poszlaki, a właściwie podejrzenia, domysły, hipotezy i konfabulacje. Jeżeli Kalihack jest niewinny, to kto zamordował Kathrin i Gurgulla? Na zdjęciach, które jeszcze przed mistrzostwami Linckelmann zrobił czterem zapaśnikom, widać brak guzika przy marynarce grünberczyka. Guzik znaleziony za nogą sofy w służbowce pokojówek może być tym oderwanym. Ale czy to jest ewidentny dowód jego winy? Nie byłby nawet wtedy, gdyby inne osoby dotykały guzika. Na pewno są na nim ślady palców Leoni Baubach, jej narzeczonego oraz Mischkego.

Ile to już czasu upłynęło? Wyciąga zegarek z kieszonki kamizelki i długo wpatruje się w cyferblat, jakby nie wierzył temu, co ma przed oczyma. Dopiero osiem minut? Mischkemu się wydaje, że więcej niż dwa kwadransy temu Ratei zszedł do szybu. Może i wcześniej. Czyżby Junghans stanął? Niemożliwe, żeby nowy zegarek się zepsuł. Nienakręcony? Przypomina sobie, że wczoraj zanim poszedł do Heidi, jak robi to codziennie przed spaniem, nakręcił go do oporu. Podnosi zegarek do lewego ucha, wstrzymuje oddech i nasłuchuje. Junghans tyka rytmicznie.

– Rateei! – woła i znowu przechyla głowę na lewo. Odpowiada mu echo z krateru szybu. – Rateei! – powtarza. – Znowu tylko echo się odzywa.

Nad Grünberg chyba nadciągnęły wszystkie ciężkie chmury z okolicznych wzgórz. Pociemniało nad lasem. Pierwsza kropla pacnęła Mischkego w plecy. Błysnęło nad Piastenhöhe i zaraz rozległ się rozdzierający ciszę grom. Po nim kolejny błysk jeszcze bliżej i seria ogłuszających grzmotów. Wir dusznego powietrza wyrывa kłębek suchej trawy z igliwem i niesie go za ogrodzenie szybu. Następna kropla spada na głowę Mischkego. Po niej jeszcze jedna. Dwie, trzy...

Trzeba się schować, ale gdzie? Sosny nie uchronią przed przelotnym deszczem, a tym bardziej przed ulewą, która zacznie się lada chwila. Przemoknę do suchej nitki, myśli dziennikarz. Przyłgnięcie plecami do wysokiego drzewa w trakcie burzy nie jest rozsądnym wyborem. Mischke pamięta fiakiera Baumanna, który zawiózł pasażerów do restauracji na Luisenthal. Gdy rozpętała się burza, z dorożką i końmi



skrył się pod samotnie stojącym dębem. Piorun uderzył w drzewo, spłoszone konie wyrwały przed siebie i pewnie by gnały alejkami Luisenthal, gdyby nie to, że zahaczyły sztelwą o słupek wytyczający drogę między rowami. Czy wtedy Baumann uderzył głową o kamień, co spowodowało jego śmierć na miejscu, tego doktor Brucks nie wyjaśnił.

Mischke się rozgląda. Po drugiej stronie resztek ogrodzenia okalającego szyb dostrzega pochyloną szopkę. Komu służyła i co w niej zostało, nad tym się nie zastanawia. Biegnie tam skulony. I kiedy ma się ukryć przed ulewą pod jej wykrzywionym dachem, najpierw błysk razii jego oczy, potem ogłuszający grzmot wdziera się do uszu. Chwyciwszy się za głowę, potyka się o kłodę i pada w pokrzywy.

Obolały, przemoknięty, powoli się podnosi. Widzi strugi deszczu uderzające w ziemię, ale ich nie słyszy. Czuje się tak, jakby miał tampony z waty w uszach. Tam, gdzie stało nadszybie, dostrzega zwalone drągi i wykoślawione deski. Patrzy z nadzieją, że za chwilę zobaczy dwie głowy wysuwające się ze zwaliska.

– Powiesił się. – Mischke patrzy na poruszające się usta Rateia, lecz nie słyszy jego głosu. Policjant tego się domyśla, dlatego przeciąga palcem wskazującym po swojej szyi. – Przywiązał starą linę do stropnicy i się powiesił.

– Kalihack nie żyje?

– Nie miał innego wyjścia, jak tylko odebrać sobie życie.

# Postłowie

Do napisania *Szwindlu w Grünbergu* zabierałem się już w 2011 roku (wtedy książka miała mieć tytuł *Śmierć na mistrzostwach Europy*). Zabierałem się i w następnych latach, a właściwie to i wcześniej, bo pomysł na tę powieść miałem w głowie od dawna. Nie pisałem jej przede wszystkim dlatego, że za mało wiedziałem o Grünbergu, który był wyróżniającym się miastem powiatowym w północnej części Dolnego Śląska, ale niewiele znaczącym wobec metropolitarne Breslau i rejencyjnej Liegnitz.

Tego, jak wyglądało życie codzienne na początku XX wieku, nasłuchiwałem się od mojego ojca podczas *wieczórek*, jak nazywał jesienno-zimowe wieczory przy ciepłym piecu. Tę wiedzę mój ojciec miał od swojego ojca, a jego ojciec od swojego ojca. Troszkę dodała mama, mimo że w jej domu rodzinnym niewiele mówiło się o dawnych czasach. Dziadek ze strony mamy nie opowiadał mi bajek. Co innego dziadek ze strony ojca. Słuchałem ich z wypiekami na twarzy. W nocy budziłem się z płaczem.

O Grünbergu przed i po wielkiej wojnie najwięcej dowiedziałem się z drugiego tomu *Historii Zielonej Góry. Dzieje miasta w XIX i XX wieku* (2012). Zaglądałem do pracy Hugona Schmidta *Gesichte der Stadt Grünberg Schles.* (1922), ale niewiele z niej wyniosłem, ponieważ została wydrukowana neogotycką szwabachą, a ten krój pisma jest mi obcy. Czerpałem z *Zabytków Zielonej Góry* (2010) Barbary Bieliniś-Kopeć, z *Zielonej Góry przełomu wieków XIX/XX* (2010) Tomasza Czyżniewskiego i ze *Znanych zielonogórczan XIX i XX wieku* (1999) Hieronima Szczegóły oraz z pracy zbiorowej *Zapisali się w dziejach Środkowego Nadodrza. Szkice biograficzne* (2009). Dosłownie przeglądałem teksty zamieszczone w czasopismach „Grünberger Wochenblatt” i „Grünberger Tageblatt”, wydrukowane szwabachą.

Znawczynie dziejów Zielonej Góry dr Izabeli Korniluk serdecznie dziękuję za podpowiedzi, gdzie jeszcze szukać informacji o mieście zaraz po wojnie 1914-1918. Dziękuję dr. Grzegorzowi Biszczyńskowi,

historykowi i zbieraczowi pamiątek związanych z dawną Zieloną Górą, za adresy, pod którymi mieściły się ważne instytucje miejskie. Dr. Sylwestrowi Woźniakowi, historykowi, politologowi i publicyście, dziękuję za informacje o górnictwie węgla brunatnego na Środkowym Nadodrze. Chylę głowę przed dr Agnieszką Gontaszewską-Piekarz, znawczynią historycznych kopalń w okolicach Zielonej Góry. Doktorowi habilitowanemu, historykowi i badaczowi świata z początków XX wieku, Tomaszowi Nodzyńskiemu z Uniwersytetu Zielonogórskiego dziękuję za przeczytanie pierwszej wersji powieści i uwagi dotyczące Europy po wielkiej wojnie. Zglądałem na facebookową stronę EX-Zielona Góra-2.

*Szwindel w Grünbergu* jest powieścią retro osadzoną w realiach dawnej Zielonej Góry. Większość nazwisk, nazw firm i zdarzeń zaczerpnąłem ze starych gazet i kronik, co nie znaczy, że nie powołałem do literackiego życia kilku bohaterów. Jest prawdą, że w 1922 roku miały miejsce bogate, jak na powojenne czasy, obchody siedemsetlecia miasta. Rozpoczynające się tydzień po nich zapaśnicze mistrzostwa Europy odbyły się tylko na kartkach mojej książki.

Podsumowanie: większość wydarzeń przedstawionych w powieści wynika z mojej wyobraźni. Wszelkie podobieństwo do historycznych postaci i faktów jest od początku do końca przypadkowe.

Zanim ostatnia wersja powieści trafiła do wydawnictwa, kilkoro przyjaciół, znajomych i interesujących się dziejami miasta przeczytało maszynopis. Część wskazało oczywiste błędy, część podpowiedziało uzupełnienia lub zasugerowało zmiany. Napracowała się redaktorka wydawnictwa dr Alina Polak-Woźniak a to proponując skróty, a to sugerując uzupełnienia, a to korygując niemieckie nazewnictwo.

Autorem pierwszej i ostatniej strony okładki, strony przedtytułowej i tytułowej jest Leszek Hermanowicz, mój kolega z redakcji „Nadodrza”, obecnie mieszkający w australijskiej Adelajdzie. Zdjęcie portalu wykonał Paweł Janczaruk, z którym pracowałem w redakcji „Gazety Lubuskiej”.

Wszystkim współpracownikom i pomocnikom dziękuję z głębi serca.

# Słowniczek nazw

Jeżeli nie podałem miejscowości, to nazwa dotyczy Zielonej Góry w 2021 roku

**Altkessel** - Stary Kisielin, obecnie część miasta

**An der Lattwiese** - ul. Jaskółcza

**An Graben** - ul. Mikołaja Kopernika

**Aus Grünbergs Vergangenheit:** - *gesammelte Bilder zur Geschichte der Stadt nach vorhandenen Chroniken und sonstigen Überlieferungen* - Z przeszłości Zielonej Góry: zebrane obrazy z historii miasta z dostępnych kronik i pozostałych przekazów

**Bahnhofstrasse** - al. Niepodległości

**Bergschloss** - po drugiej wojnie światowej funkcjonował jako Browar Zielona Góra, Zakłady Piwowarskie i Browary Zachodnie „Lubusz”, zamknięty w 1999 r.

**Berlinerstrasse** - ul. Jedności

**Brandenburg** - Brandenburgia

**Brauereiweg** - ul. Piwna

**Breitestrasse** - ul. gen. Władysława Sikorskiego

**Breslau** - Wrocław

**Breslauerstrasse** - ul. Wrocławska

**„Breslauer Zeitung”** - „Gazeta Wrocławska”

**Brieg** - Brzeg

**Bromberg** - Bydgoszcz

**Burgstrasse** - ul. Zamkowa

**Canth** - Kąty Wrocławskie

**Christuskirche** - kościół ewangelicko-augsburski Jezusowy

**Consolidierte Grünberger Gruben** - Zjednoczone Kopalnie Zielonogórskie

**Crossen an der Oder** - Krosno Odrzańskie

**Deutsche Reichshalle** - po 1945 r. kino Przełom, obecnie Wydział Komunikacji Urzędu Miasta

**„Deutsche Schachzeitung”** - „Niemiecka Gazeta Szachowa”

**Deutsche Wollenwaren Manufaktur** - Niemiecka Fabryka Wyrobów Wełnianych, po 1945 Polska Wełna, od 2008 r. galeria rozrywkowo-handlowa Focus Mall

**Deutschland, Deutschland über Alles / über alles in der Welt** - Niemcy, Niemcy ponad wszystko / ponad wszystko w świecie, pierwsze dwie linijki wiersza Augusta von Fallerslebena, który z muzyką Josepha Haydna w aranżacji Fritza Lubricha w 1922 stał się hymnem Republiki Weimarskiej, od 1991 r. trzecia zwrotka jest hymnem państwowym Niemiec

**Dresden** - Drezno

**Eberhard-König Strasse** - ul. Ułańska

**Erlöserkirche** - kościół rzymskokatolicki pw. Najświętszego Zbawiciela

**Europäischer Athleten-Club „Samson”** - Europejski Klub Atletów „Samson”

**Fliessweg** - ul. Dąbrówki

**Frankfurt an der Oder** - Frankfurt nad Odrą

**Freiheitsbrücke** - most Grunwaldzki we Wrocławiu zbudowany w 1910 jako Kaiserbrücke (most Cesarski), od 1919 r. był to Freiheitsbrücke (most Wolności), po objęciu władzy przez nazistów w Niemczech przywrócono mu pierwotną nazwę

**Friedrich-Wilhelms-Universität** - Uniwersytet Fryderyka Wilhelma, obecnie Uniwersytet Humboldtów w Berlinie

**Fünfkirchen** - Pecz na Węgrzech

**Gartenstrasse** - ul. Ogrodowa

**Geschichte der Stadt Grünberg Schles.** - Historia miasta Zielona Góra na Śląsku

**Glasserplatz** - pl. Powstańców Wielkopolskich

**Glogau** - Głogów

**Gollnow** - Goleniów

**Görlitz** - Zgorzelec

**Grosse Bergstrasse** - ul. Henryka Sienkiewicza

**Grosser Pariser Preis** - Wielka Nagroda Paryska

**Grünberg in Schlesien** - Zielona Góra

**„Grünberger Heimatbeilage“** - „Zielonogórski  
Dodatek Regionalny”

**„Grünberger Tageblatt“** - „Dziennik Zielonogórski”

**„Grünberger Wochenblatt“** - „Tygodnik  
Zielonogórski”

**Grünberger Volkshochschule** - Zielonogórski  
Uniwersytet Ludowy

**Grünbergshöhe** - Wzgórza Zielonogórskie

**Grüner Kranz** - do lat 90. XX wieku hotel Pod Wieżą,  
obecnie budynek mieszkalny

**Grüner Kreuz** - cmentarz, obecnie park Tysiąclecia  
i pl. Marszałka Józefa Piłsudskiego

**Grünstrasse** - ul. gen Józefa Sowińskiego

**Halt! / Gefahr. Betreten verboten. / Es dront  
zusammenzubrechen** - *Stój! / Niebezpieczeństwo.  
Zakaz wchodzenia. / Grozi zawaleniem.*

**Heimatmuseum** - muzeum regionalne

**Hessen** - Hesja

**Hirschberg** - wyniesienie bez polskiej nazwy

**Hirschberg im Riesengebirge** - Jelenia Góra

**Histoire du mon temps** - *Historia moich czasów*

**Hohe Strasse** - ul. Stroma

**Holzmarktstrasse** - ul. Drzewna

**Hospitalstrasse** - ul. Stanisława Moniuszki

**Jahrhunderthalle** - hala widowiskowo-sportowa  
we Wrocławiu, wzniesiona w latach 1911-1913,  
po 1945 r. nazywana Halą Ludową lub Halą Stulecia

**Kaiserhof** - hotel, po drugiej wojnie światowej znany  
jako Śródmiejski, od 2018 r. City Boutique Hotel

**Kaiser-Wilhelm Platz** - pl. Bohaterów

**Kaiser-Wilhelm Strasse** - ul. Bankowa

**Kapellenweg** - ul. Bohaterów Westerplatte

**Karlsbad** - Karlowe Wary w Czechach

**Katolische Kirchstrasse** - ul. Kościelna

**Kleinbahn Grünberg-Sprottau** - Mała Kolej Zielona  
Góra-Szprotawa, obecnie nieczynna

**Kottwitz** - Kotowice koło Głogowa

**Königliche Sächsische Technische Hochschule** -  
Królewska Saksońska Wyższa Szkoła Techniczna,  
obecnie Drezdeński Uniwersytet Techniczny

**KPEV** - Königlich Preussische Eisenbahn-Verwaltung,  
Zarząd Królewskich Pruskich Kolei Żelaznych, napis  
widniejący na emblematkach kolei, mimo że taka  
organizacja oficjalnie nie istniała

**Krakau** - Kraków

**Krautstrasse** - ul. Wandy

**Kripo** - popularny skrót Kriminalpolizei (policja  
kryminalna)

**Krummhübel** - Karpacz

**Kuelenrondel** - wieża popularnie nazywana Rodlem  
z Maczugą, obecnie obserwatorium astronomiczne  
Uniwersytetu Zielonogórskiego

**Küstrin** - Kostrzyn nad Odrą

**Lange Gasse** - ul. Długa

**Lawaldau** - Racula, obecnie część miasta

**Leipzig** - Lipsk

**Lessner Strasse** - ul. Krośnieńska

**Libau** - Lipawa na Łotwie

**Lichtspieltheater** - w latach 1945-2015 kino Nysa,  
obecnie niewykorzystywany budynek

**„Liegnitzer Volkszeitung“** - „Legnicka Gazeta  
Ludowa”

**Löwenberg** - Lwówek Śląski

**Luisenthal** - najbardziej popularne miejsce  
wypoczynku grünberczyków, po 1945 r. nazywane  
Wagmostawem, częściowo odbudowane jako Dolina  
Luizy

**Lutherstadt Wittenberg** - Wittenberga

**Mathaeiweg** - ul. Stanisława Wyspiańskiego

**Maulbeerallee** - ul. Wiśniowa

**Mecklenburg** - Meklemburgia

**Meiseberg** - Kosowa Góra nazywana też Górą Wilkanowską

**Memel** - Kłajpeda na Litwie

**Militär-Ehrenzeichen** - Wojskowa Odznaka Honorowa

**Neue Schweidnitzer Strasse** - ul. Świdnicka we Wrocławiu

**Neumarkt** - pl. Słowiański

**Neusalz** - Nowa Sól

**Neustadtstrasse** - ul. dr. Pieniężnego

**Nettkau** - Nietków koło Czerwieńska

**„Niederschlesisches Landpost“** - „Goniec Dolnośląski”

**„Niederschlesische Morgenzeitung“** - „Dolnośląska Gazeta Poranna”

**Niederstrasse** - ul. Kupiecka

**Niederthorstrasse** - ul. Stefana Żeromskiego

**Oberpräsidium der Provinz Niederschlesien zu Breslau** - Naczelne Prezydium Prowincji Dolny Śląsk we Wrocławiu

**Oberstadt** - nieczynny dworzec kolejowy w parku bez polskiej nazwy, obecnie budynek mieszkalny

**Oberthostrasse** - ul. Jana III Sobieskiego

**Oder** - Odra

**Paide** - Biały Kamień w Estonii

**Piastenhöhe** - Wzgórza Piastowskie

**Polnische Kesselstrasse** - nieistniejąca ulica, która biegła od ratusza przez pl. Teatralny do ul. Podgórznej i Szosy Kisielińskiej

**Posen** - Poznań

**3. Posensches Infanterie-Regiment Nr. 58** - 58. Poznański Pułk Piechoty

**Postplatz** - pl. Pocztowy

**Realencyclopädie der Classischen Altertumswissenschaft** - s kładająca się z ponad



stu tomów encyklopedia klasycznej starożytności, pierwszy tom ukazał się w 1839 r.

**Regierungspräsidium zu Liegnitz** - Prezydium Rejencji w Legnicy

**Reppen** - Rzepin

**Ressource** - budynek przy pl. Słowiańskim, obecnie zajmowany przez Wydział Prawa Uniwersytetu Zielonogórskiego

**Ribbeckweg** - ul. Sorbska

**Ring** - Stary Rynek

**Rohrbuschweg** - ul. Wazów

**Rothenburg an der Oder** - Czerwieńsk

**Rothenburger Strasse** - ul. gen. Jarosława Dąbrowskiego

**Saabor** - Zabór

**Sachsen** - Saksonia

**Sagan** - Żagań

**Samter** - Szamotuły

**Sandpfützen** - obecnie park im. gen. Józefa Sowińskiego

**Sankt Hedwig** - święta Jadwiga [Śląska], patronka konkatedry rzymskokatolickiej

**Schertendorf** - Przylep, obecnie część miasta

**Schlesien** - Śląsk

**Schlesische Friedrich-Wilhelm-Universität** - Śląski Uniwersytet im. Fryderyka Wilhelma, poprzednik Uniwersytetu Wrocławskiego

**Schlesischer Bahnhof** - dworzec kolejowy Ostbahnhof w Berlinie

**Schlesisches Warmblut** - Koń śląski

**Schneekoppe** - Śnieżka w Karkonoszach

**Schwarzer Adler** - hotel przy ul. gen. Władysława Sikorskiego, po drugiej wojnie światowej najpierw Biały Orzeł, potem Pod Orłem, zamknięty w 2001 r., obecnie budynek biurowy

**Schützenstrasse** - ul. Strzelecka

**Silberberg** - ul. Srebrna Góra, obecnie część  
al. Konstytucji 3 Maja

**Sozialdemokratische Partei Deutschlands** -  
Socjaldemokratyczna Partia Niemiec

**Sprottauer Bahnhof** - nieistniejący dworzec kolei  
popularnie zwanej Szprotawską

**Stettin** - Szczecin

**Stockholm** - Sztokholm

**Unruhstadt** - Kargowa

**Weissenstein** - Biały Kamień w Estonii

**Wreschen** - Września

**Vereinigung für Heimatschutz und Heimatpflege  
in Stadt und Kreis Grünberg** - Towarzystwo  
Pielęgnacji Tradycji Regionalnej w Mieście  
i Powiecie Zielona Góra

**Verwundetenabzeichen** - Odznaka za Rany

**Vorstadt** - Przedmieście

**Züllichauerstrasse** - ul. Sulechowska